

Margit Sandemo

W NIEZNANE

Saga o czarnoksiężniku tom 15

STRESZCZENIE

Przed dziesiątkami tysięcy lat, jeszcze przed czasami Atlantydy i legendarnej krainy Mu, istniało królestwo zwane Lemurią, położone między południowymi Indiami a Madagaskarem. W posiadaniu jego mieszkańców znajdowało się złociste Słońce, wielka kula, którą otrzymali od Obcych. Nikt nie wiedział, skąd przybyli Obcy. Złocista kula oraz dwa wielkie kamienie szlachetne były najcenniejszymi skarbami Lemurów, stanowiły bowiem klucz do Wrót, otwierających drogę do świata Obcych.

Święte Słońce i dwa towarzyszące mu kamienie, szafir i farangil, odznaczały się jeszcze wieloma innymi właściwościami. Obdarzały właścicieli nadprzyrodzonymi zdolnościami, dawały władzę, przysparzały sławy i bogactwa, potrafiły leczyć, a ponadto zapewniały nieśmiertelność. Legenda trzech kamieni przetrwała wieki i przed dwoma tysiącami lat założono pierwszy Zakon Świętego Słońca. Bracia zakonnicy zawsze kierowali się złem, walczyli o władzę i korzyści, jakie mogło zapewnić Słońce. Zdarzało się, że działalność Zakonu zamierała, by później znów zostać podjęta, zawsze przez złych ludzi.

Rycerze dążyli do zdobycia Świętego Słońca. Szafir i farangil wcale ich nie interesowały, nie pojmowali bowiem, że oba kamienie są niezbędne do odnalezienia Słońca, dlatego też ich poczynania skazane były na niepowodzenie. Do ich klęsk przyczynił się także fakt, iż ostatni Lemurowie na Ziemi nie chcieli mieć do czynienia ze złym Zakonem.

Pod koniec XVII wieku na Islandii żył młody czarnoksiężnik Móri. Oskarżony o czary, musiał opuścić ojczyznę. Przybył do Norwegii i tu spotkał młodzieńką bezbronną dziewczynę, Tiril, oraz kupca Erlinga Millera. Wszyscy troje, a także pies Nero, bardzo się zaprzyjaźnili.

Tiril dowiedziała się, że jest tylko przybraną córką swoich rodziców, a wtedy we

trójkę postanowili poznać prawdę o jej pochodzeniu, szczególnie po tym, jak dwóch nieznanymi usiłowało ją zamordować.

Okazało się, że prawdziwą matką Tiril jest księżna Theresa z Austrii. W jej rękach znalazły się kosztowności, które Zakon uważał za swoje. Klejnoty te przekazała w spadku swemu jedynemu dziecku, Tiril, i dlatego Zakon ścigał dziewczynę.

Theresa zabrała odnalezioną córkę i Móriego do Austrii, tam się osiedlili. Tiril i Móriemu urodziło się troje dzieci, osobliwy Dolg i bliźnięta, Taran i Villemann.

Cień, stwierdziwszy, że ma do czynienia z dobrymi ludźmi, został duchem opiekuńczym Dolga w nadziei, że chłopiec pomoże mu odnaleźć Święte Słońce.

Cień został na Ziemi przed dziesięcioma tysiącami lat, kiedy to Lemurię spotkała zagłada i wszyscy jej pozostali przy życiu mieszkańcy dzięki Słońcu przeszli przez Wrota do świata Obcych. Wszyscy, poza Cieniem i czworgiem Strażników.

Czarnoksiężnik Móri, przekraczając w młodości granice naszego świata ze światem istniejącym obok, sprowadził ze sobą do ludzkiego wymiaru grupę duchów. Duchy, wprowadzając budzące przerażenie, wspierają rodzinę w walce z zakonem rycerskim.

Jako pierwszy z kamieni Dolg odnalazł szafir, a także czuwającą nad nim Strażniczkę z rodu Lemurów. Później dotarł również do farangila i jego trojga Strażników. Niebieski szafir to kamień życiodajny, posiadający właściwości uzdrawiające. Czerwony farangil jest kamieniem obronnym, w ekstremalnych sytuacjach bywa śmiertelnie niebezpieczny.

Na Ziemi pozostała jeszcze jedna istota wywodząca się z czasów Lemurów: król Silinów, Sigilion. Uwięził on w swym samotnym zamczysku na wyżynach Karakorum czworo Madragów, przedstawicieli bawolego ludu. Rodzina czarnoksiężnika zdołała unicestwić Sigiliona i uwolnić Madragów. Dolg zdobył od nich więcej informacji na temat Świętego Słońca. Znaleźli też między innymi księgę Świętego Słońca oraz mapę wskazującą, gdzie znajdują się Wrota, a tym samym również złocista kula.

W tym czasie rodzina się powiększyła. Księżna Theresa poślubiła Erlinga Mullera

i wspólnie zaopiekowali się dwojgiem skrzywdzonych dzieci, rodzeństwem Danielle i Rafaelem. Duchy Móriego, w podzięce za dobre serce Tiril, przedłużyły życie jej ukochanemu psu. Odtąd Nero miał żyć tak długo jak Dolg. Okazało się, że Dolg i Nero są ze sobą związani mocniej, niż by się to wydawało: kiedy rycerze usiłowali zgładzić psa, o mało nie umarł przy tym również Dolg. Pies i jego pan zawsze trzymają się razem, pilnując, aby tego drugiego nic złego nie spotkało. Historia losów czarnoksiężnika dotarła już do roku 1746. Ustalono, że Słońce zostało ukryte w okolicach Tiveden w Szwecji. Przed dziesięcioma tysiącami lat, kiedy Lemurowie ukryli tu złocistą kulę, właśnie wtedy przebiegała granica Morza Yoldiowego.

Okazało się jednak, że Święte Słońce ma nowego, niemile widzianego strażnika. Finowie, siłą przeniesieni w te okolice przed setkami lat, przywieźli ze sobą swych dawnych bożków. Wywodzący się z ich wierzeń zły Hiisi, potrafiący przybierać wiele rozmaitych postaci, zajął bagno, ciągnące się przy górze, gdzie ukryte jest Słońce. Młoda Mariatta, do której uczuciem zapalał Villemann, uprzedziła Móriego, że Hiisi nie odda swego skarbu dobrowolnie. Żąda w zamian ofiary z ludzi. Móri nie zgodził się na takie rozwiązanie, nie umiał jednak zaproponować nic innego. Akurat kiedy o zmroku stali bezradni nad brzegiem moczarów, nadciągnął Zakon Świętego Słońca w sile blisko trzydziestu ludzi, rycerzy i ich pachołków, odcinając Móriemu i jego przyjaciółom drogę powrotu.

Grupa czarnoksiężnika przedstawia się następująco:

Móri, czarnoksiężnik, lat 56.

Dolg, niezwykle młodziwiec o oczach i rysach twarzy Lemurów, lat 23.

Villemann, żądny przygód brat Dolga, lat 21.

Taran, zawsze optymistycznie usposobiona bliźniaczka Villemanna, lat 21.

Uriel, podobny do anioła, istota sprzed wielu tysięcy lat, mąż Taran.

Mariatta, Finka z pochodzenia, znająca się na czarach, lat 22.

Cień, olbrzymia istota w mniszej opończy.

Czworo Strażników, Lemurowie o oczach niezwykłego kształtu, odziedziczonych

po Obcych.

Nauczyciel, przywódca duchów, niegdyś czarnoksiężnik rodem z Hiszpanii.

Duch Zgasłych Nadziei, Duch Rozwianych Iluzji, najstraszniejszy z duchów, o wielu imionach.

Hraundrangi - Móri, czarnoksiężnik z Islandii, ojciec Móriego.

Pani powietrza, piękna kobieta, nie zniszczona jeszcze działalnością ludzi.

Nidnogg, strażnik ziemi o budzącym grozę wyglądzie, szczególny opiekun Tiril.

Zwierzę, potwornie okaleczone, rezultat bezrozumnego zachowania ludzi wobec ich niemych przyjaciół.

Pustka, której nikt nie może zobaczyć, a która wraz z Duchem Zgasłych Nadziei potrafi odebrać człowiekowi wszelką chęć życia.

W domu Mariatty nad jej dwojgiem dzieci czuwa pani wody, podobnie jak pani powietrza wciąż piękna i nieskażona. Wraz z nią jest też pies Nero.

W Austrii natomiast pozostali:

Theresa, księżna, matka Tiril.

Erling, jej mąż, stary przyjaciel Tiril i Móriego.

Rafael, marzyciel, przybrany syn Theresy i Erlinga, lat 23.

Amalie, ukochana Rafaela.

Danielle, delikatna, łagodna i bezbronna siostra Rafaela, lat 19.

Leonard, wybranek Danielle.

Tiril, zrozpaczona wyjazdem najbliższych do Skandynawii.

Madragowie, przebywający właściwie w wymiarze duchów, lecz mimo to mieszkający w starym pałacyku myśliwskim w Theresenhof, by być blisko swoich przyjaciół.

Nad nimi wszystkimi zawisła groźba utraty domów na rzecz nowego cesarza.

Z biegiem lat duchy Móriego, przy niezamierzonej pomocy Sigiliona oraz czarownicy L'Araignee, dokonały znacznego wylomu w szeregach Zakonu rycerskiego. Wśród tych, którzy stanęli teraz nad bagniskiem, najważniejsi to:

Brat Lorenzo, wielki mistrz Zakonu Świętego Słońca, spadkobierca kardynała von

Graben, rozszarpanego przez Sigiliona.

Brat Gaston z Francji.

Brat James z Anglii.

Hospodar i księżę, dwaj niezwykle przystojni rycerze, których Móri pragnie unieszkodliwić uciekając się do rytuału magii imienia, kiedy tylko się dowie, jak się nazywają. Móri nigdy nie zabija.

1

Z powodu bliskości Hiisi, uosobienia zła, oba kamienie, czerwony i niebieski, zmatowiały, zmętniały. Posługiwać się nimi będzie można dopiero po usunięciu Hiisi. Ale jak tego dokonać?

Maria Stenland powoli i boleśnie wracała do przytomności.

Z początku nic nie rozumiała, otaczały ją obce głosy. Czyżby klientki pracowni krawieckiej, w której znalazła zatrudnienie?

Ale przecież nie mieszka już w Góteborgu? Przeprowadziła się... Dokąd?

Na twarzy czuła chłodny powiew. Ostrożnie otworzyła oczy, ujrzała mroczne nocne niebo bez gwiazd.

„Wokół niej ludzie. Ktoś klęczał i podtrzymywał jej głowę.

- Mariatto?

Nikt tak jej nie nazywał od czasów, kiedy w Tiveden mieszkali jeszcze dziadkowie. Chociaż... był ktoś taki. Nawet kilkoro.

Jest w Tiveden!

Wróciła jej zdolność myślenia. Maria jęknęła przerażona. Moczary! Straszne podmokłe bagniska, którymi tak bardzo interesowali się ci ludzie... Słońce, Święte Słońce? Serce zabiło jej mocniej.

Villemann!

To on tak delikatnie ją przytrzymał.

Dzieci! Odzyskała ukochane dzieci! Były teraz w domu, bezpieczne.

- Jak się czujesz, Mariatto?

Ten serdeczny, zatroskany głos! Ścisnęło ją w gardle, musiała przełknąć ślinę.

Maria nie przywykła do tego, by ktoś się o nią niepokoił. W ciemności nie dostrzegala go wyraźnie, wiedziała jednak, że przejrzyste błękitne oczy patrzą na nią z troską. Villemann! Taki wspaniały!

Znów zalała ją fala strachu. Hiisi, zła moc fińskiej sagi o bogach! Moc, która ukryła się w bagnisku, a właściwie stała nim samym, aby nikt nie mógł jej odebrać skarbu, jaki znalazła - Słońca.

Tak bardzo ją, Mariattę, chwalili za to, co uczyniła, by ich uratować. Móri, surowy ojciec Villemanna, traktował ją jak równą sobie. Był czarnoksiężnikiem, prosił ją o pomoc w pokonaniu Hiisi i...

Kolejna fala strachu przed bardziej rzeczywistym niebezpieczeństwem napłynęła z pamięci. Maria zadrżała.

- Czy to prawda? - szepnęła wyschniętymi wargami.

- Co takiego? - spytał życzliwy głos. Poczula, że podnoszą ją wyżej.

- Rycerze? Ci wyjęci jakby wprost z romansu rycerskiego źli rycerze? Chyba fantazjuję, to niemożliwe, to nie może być prawdą, wszystko tylko mi się śniło.

Villemann odwrócił głowę. Podczas gdy próbował pomóc jej się podnieść, Maria powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

Ból zaatakował od nowa. Ów ból, oznaczający, jak wiedziała, że choroba wstąpiła w ostateczną fazę. Że nie ma już odwrotu. Dobrze, jeśli tylko uda jej się uniknąć wieloletniego cierpienia, z jakim musiała zmagać się matka.

Ale nie chciała umierać teraz, kiedy miała po co żyć. Własny dom, dzieci, kielkująca miłość... Nie, nie wolno jej teraz umierać!

Nie mogła utrzymać wzroku w jednym punkcie, ból zmusił ją do zaciśnięcia oczu.

Kiedy znów podniosła powieki, okazało się, że przestała widzieć wyraźnie.

Powoli jednak zdołała rozróżnić, co znajduje się naprzeciwko.

Rzeczywiście tam byli! W ciemności dostrzegła na skraju lasu sylwetki uzbrojonej gromady. Oczekiwali ponurzy, groźni, pewni, że schwytają osaczoną zwierzynę.

Tak wielu! Sprawiali wrażenie niesłychanie silnych. Połyskiwała broń i zbroje, brzęczały ostrogi, konie parskaly cicho.

A więc to prawda! Mariatta musiała mocno się oprzeć, inaczej by upadła.

2

Nadeszło więc ostatnie starcie, na śmierć i życie. Blisko trzydziestu dobrze uzbrojonych jeźdźców przeciw małej rodzinie Móriego.

Cień, nieśmiertelny, i jego pobratymcy Lemurowie wstrzymali oddech. Tak długo czekali, postawili wszystko na Dolga, na żywego człowieka, do którego splodzenia sami się przyczynili. W nim pokładali całą nadzieję.

Niestety, droga do Słońca, które miało ich uwolnić, pozostawała zamknięta. Nie tylko przez gromadę wrogów, lecz niespodziewanie także przez obcą siłę. Hiisi, postanawiając nie dopuścić do skarbu, przybrał postać śmiertelnie niebezpiecznego bagniska.

Cóż mógł w takiej sytuacji, wobec tej miażdżącej przewagi, uczynić w pojedynkę młodzieniec, jakim był Dolg? ,

Światło dnia wokół podmokłej okolicy Złej Góry zgasło, tak jakby nie chciało patrzeć na nieuchronne starcie rycerzy Zakonu Świętego Słońca z synem czarnoksiężnika.

Światło nocy było jak zakłęte, przepojone złem, jak gdyby wzniosło się z bagniska. Lekki wiatr szarpał peleryny i sztandary rycerzy. Zmierzwił włosy Villemanna, który szepnął do Marii:

- Spróbuj się przekraść i obejść rycerzy. Biegnij do domu, do dzieci, tu jest dla ciebie niebezpiecznie.

- A ty? Nie mogę cię tutaj zostawić na pastwę tych tam - . Taran włączyła się w rozmowę.

- Villemann lepiej da sobie radę niż twoi malcy, Mariatto. Biegnij, zanim oczy wrogów przyzwyczają się do ciemności.

Maria gorączkowo rozejrzała się dookoła, próbowała szukać wsparcia u Móriego. Owszem, pospieszył jej z pomocą, lecz nie w taki sposób, jak się spodziewała.

- Twoje dzieci są pod dobrą opieką, czuwa nad nimi Nero i pani wody. Potrzebuję cię tutaj, Mario, ty znasz Hiisi i fińską formę czarów znacznie lepiej niż my.

Villemann ma jednak rację mówiąc, że ktoś musi przekraść się do domu.

Chciałbym, żeby szafir i farangil znalazły się tutaj, bez względu na to, czy są matowe, czy też nie. Na razie nie mogą nam się przydać, ale może...?

Maria kiwnęła głową.

- Pamiętasz, co mówiłam o Hiisi?

- Właśnie o tym myślę - pokiwał głową przygnębiony Móri. - Taran! Ty biegnij, teraz!

- Ależ ja nie mogę opuścić Uriela - zaprotestowała samowolna córka Móriego.

- Ach, wy kobiety! - westchnął. - Wydaje wam się, że mężczyźni nie potrafią sobie dać rady bez waszej opieki? Spróbuj teraz odejść i usłuchaj mądrego ojca, póki jeszcze czas.

Taran wahała się ledwie chwilę. Uścisnęła ukochanego męża za rękę.

- Masz się utrzymać przy życiu, dopóki ja nie wrócę, inaczej będziesz miał ze mną do czynienia - zagroziła mężowi w dość dziwaczny w takiej sytuacji sposób.

Zaraz potem skryła się za jakimiś zwiędłymi krzakami i pognęła naprzód, żegnana szeptem Uriela:

- Uważaj na siebie.

Wiedział jednak, że Taran może zaufać. Owszem, była lekkomyślna czy beztroska, lecz kiedy przychodziło co do czego, potrafiła zachować trzeźwą głowę.

Rycerze wrzaskiem zaczęli sobie wydawać rozkazy. Ich konie niecierpliwie tupwały w miejscu, parskwały zdenerwowane. Najwidoczniej nie podobała im się ani ciemność, ani otoczenie.

Miejsce rzeczywiście było ponure. Na tle nocnego nieba rysowały się samotne, chore od nadmiaru wody sosny. Bagno w swych ciężkich oddechach zdawało się rozsiewać śmierć, cuchnącą zgniliznę. Drzewa w lesie pochylały się w stronę mokradła, jakby chciały lepiej je widzieć swymi oślepiionymi ciemnością oczyma. Z moczarów unosiły się drżące woale mgły.

Móri wiedział, że Villemann i Uriel są przy nim. I Dolg, równie mroczny jak sama

noc. Co myślał w tej chwili? Móriemu nigdy nie udało się do końca zrozumieć swego najstarszego syna. Owszem, potrafili rozmawiać, lecz jakaś część myśli Dolga zawsze pozostawała ukryta, nie poznana. Móri nie zdołał jej ani przejrzeć, ani pojąć.

Dolg był w połowie Lemurem. Nie wolno o tym zapominać.

Móri znalazł pewną pociechę w widoku ogromnej postaci Cienia, rysującej się na tle nieba, i czworga Lemurów, którzy stanęli blisko swoich przyjaciół - ludzi.

Zapadła złowieszcza cisza, cisza przed burzą. Krył się w niej wielki niepokój, nie opuszczający obu stron.

Maria stanęła nieco z boku, jak gdyby poczuła się zagubiona w całej tej sytuacji, wyglądała tak samotnie, tak żałośnie. Obca, wciągnięta w trwający od stuleci dramat, który właściwie jej nie dotyczył.

A może to nieprawda?

Maria była zasmucona, oszołomiona i zagubiona. Rozpaczliwie starała się uporządkować myśli. Przeżyła niezwykle ciężki dzień. Najwidoczniej wcale nie miał się jeszcze ku końcowi. Wydawało jej się, że już nie może być gorzej, lecz teraz rozumiała, że uczestniczyła zaledwie w uwerturze.

Dlaczego wszystko musiało się kończyć akurat teraz, kiedy właśnie tak dobrze się zaczęło?

Villemann...

Ileż on przez te dni dla niej zrobił! Odzyskała poczucie własnej wartości, ludzką godność, a przede wszystkim dzieci, za którymi tak gorzko tęskniła.

I zdobyła przyjaźń Villemanna.

Mariatta nigdy jeszcze nie spotkała takiego mężczyzny jak on, dobrego, wesołego i czulego, trochę szalonego, ale szaleństwo stanowiło część jego natury. I przecież okazywał troskę innym, nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić. Łatwo więc mu wybaczyć zwariowane pomysły od czasu do czasu.

Pod wieczór, zanim sprawy przybrały tak tragiczny obrót, wykradli spokojną chwilę dla siebie. Usiedli na progu, oparłszy łokcie na kolanach spokojnie rozmawiali nie

patrząc na siebie, ale też i nie było to konieczne, bo wyczuwali swoją wzajemną bliskość tak intensywnie, jak gdyby spoglądali sobie w oczy.

Ogromnie polubiła jego głos, tyle w nim życia, tak potrafił się zmieniać zależnie od nastroju, czasami bywał łagodny, kiedy indziej wesoły, to znów poważny albo przygnębiony, rozluźniony bądź życzliwy.

Maria bardzo chciała go lepiej poznać, wcale nie dlatego, by przypuszczała, że on się może w niej zakochać. Łączyły ich po prostu coraz głębsze więzi, sympatia i zrozumienie.

Był taki dobry dla dzieci, jak zresztą i pozostali członkowie tej niezwykłej rodziny, do której tak się przywiązała.

A teraz wszystko to miało się skończyć.

Ostatecznie.

Przecież nawet gdyby wbrew wszelkim oczekiwaniom udało im się wyjść cało z rąk tej żądnej krwi hordy ciężko uzbrojonych mężczyzn, to i tak ci wspaniali ludzie tutaj nie zostaną. Mieli przejść przez jakąś granicę, przez jakieś wrota. Jak to trudno zrozumieć! Z początku Mariatta z radością przyjęła propozycję, by iść z nimi, później jednak odzyskała dzieci, nie mogła ich teraz opuścić, to niemożliwe. Poza tym śmiertelna choroba trawiła jej ciało, nie wiedziała, jak długo jeszcze starczy jej sił, by ją znieść.

Tak czy inaczej, bez względu na to, jaki bieg przybiorą sprawy, i tak utraci świeżo pozyskanego przyjaciela, Villemanna.

Ta myśl sprawiała jej wielki ból. Zrozumiała, jak bardzo się już z nim związała.

Usłyszała, że Móri coś szepcze, Villemann także zwrócił na to uwagę.

Ojciec wzywa swoje duchy, pomyślał. Przecież one tu są. Pewnie prosi, żeby włączyły się do walki. Rzeczywiście bardzo nam tego potrzeba.

Chociaż co garstka duchów może działać przeciwko blisko trzydziestu rozjuszonym gniewem mężczyznom, pozbawionym wszelkich skrupułów?

Usłyszeli głos brata Lorenzo:

- Móri z rodu czarnoksiężników, wielki mistrz Świętego Słońca cię wzywa!

Móri odpowiedział natychmiast:

- Chciał pan chyba powiedzieć: wielki mistrz Zakonu Świętego Słońca. Ze Słońcem nie macie nic wspólnego.

Zabrzęczały wyciągane w podnieceniu z pochew kordy.

- Mam dla was wyzwanie! - zawołał Lorenzo. - Doskonale wiemy, jak podstępnie działaliście, kiedy zgładziliście naszych współbraci. Ty, Móri, popleczniku zła, posługujesz się demonami i upiorami, by osiągnąć swój zbrodni czy cel.

Przekonajmy się, czy potrafisz podjąć walkę przeciwko nam na czystych zasadach, jak równy z równym.

- Rzeczywiście nasze siły nie są wyrównane, lecz odwrotnie niż to się może wydawać. Macie po swojej stronie wszystkie atuty - odparł Móri. - Ale jak pan chce, panie Lorenzo, zgadzamy się walczyć przeciwko waszej przewadze bez wsparcia duchów, dopóki wy posługiwacie się będziecie czystymi środkami. Jeśli zachowacie się nieprzystojnie, uznamy się za zwolnionych z obietnicy i wezwiemy przyjaciół z innego świata.

- Przyjmujemy - zgodził się Lorenzo.

Ratunku, pomyślał przerażony Villemann. Jak sobie damy radę bez pomocy duchów, bez broni, ojciec chyba oszalał! Wiedział jednak, że Móri postępuje według własnego kodeksu honorowego, on nigdy nie chciał zabijać przeciwników z Zakonu.

- Dawno was obserwujemy - władczo oświadczył wielki mistrz. - Wstrzymywaliśmy się, uznaliśmy jednak, że posuwacie się zbyt powoli. Brakuje wam odwagi, by dotrzeć do Słońca?

- Nie spiesz nam się - oznajmił Móri.

- Ale nam się spiesz. Nasz Zakon czekał na to od stuleci.

- A więc sami ruszajcie.

Na to Lorenzo nic nie odpowiedział, rzekł natomiast surowo:

- Możemy was pozabijać.

- Naprawdę? W jaki sposób odnajdziecie wtedy Słońce?

Rycerze milczeli. Najwyraźniej się naradzali. Obie strony zdawały sobie sprawę, że bracia zakonni nie wiedzą, gdzie jest ukryta złocista kula, natomiast ich przeciwnicy potrafią ją odnaleźć. Lorenzo zawołał znów:

- Dajemy wam wolną drogę do miejsca, gdzie znaj duje się Słońce.

A potem? zastanawiał się Villemann. Chcecie, abyśmy wykonali za was całą robotę, a potem skróćcie nas o głowę?

- Nie mieliśmy zamiaru wyruszać tam dzisiejszej nocy - odrzyknął Móri bratu Lorenzo.

- Za to my mamy taki zamiar. Ruszajcie, już teraz!

- Jest za ciemno.

- Zapalimy pochodnie.

Jak powiedziano, tak zrobiono. W gromadzie rycerzy podniósł się szmer, rozległy się szept, wydawano polecenia służącym. Migotliwe płomienie pochodni rozjaśniły mrok, konie dreptały nerwowo.

Villemann wciągnął głęboki oddech. Przeraził się, gdy zobaczył, jak wielu jest rycerzy i jak ciężką noszą broń. Widać było, że są zdecydowani na wszystko. Jesteśmy bezpieczni, dopóki oni nie znają miejsca ukrycia Słońca, pomyślał wzburzony. I dopóki nie wiedzą, że my także go nie znamy, dorzucił z goryczą. Ale potem...?

Jak sobie z tym poradzimy, jak, na miłość boską, zdołamy przeżyć? Ojcie, mimo wszystko poproś duchy o pomoc.

Móri jednak dał słowo. Koniec i kropka.

Villemann przestraszyłby się jeszcze bardziej, gdyby podsłuchał prowadzoną cichym głosem rozmowę między bratem Lorenzo a jednym ze służących, którzy nieśli broń.

- Wasza miłość - szepnął nędzny łajdak. - Byłem całkiem na tyłach, sprawdzałem zaplecze. Ujrzałem, że coś porusza się za drzewami. Myślę, że to jeden z nich uciekł, może któraś z dziewcząt. Miałem wrażenie, że widzę spódnice.

- Hm - chrząknął Lorenzo. - Bracie Suctusie, bracie Clementsie, sprawdźcie to.

Rzucił pochwałę nosicielowi broni i znów skupił się na przeciwnikach stojących nad brzegiem bagniska.

Pokonają ich bez najmniejszego trudu!

Taran, bez żadnych kłopotów, a przynajmniej tak jej się wydawało, przedostała się za linię rycerzy i co sił w nogach pobiegła do domu Mariatty.

Ścieżkę dostrzegała wyraźnie jako jaśniejszy pasek w skondensowanym mroku świerkowego lasu.

Dodatkowo jeszcze poganiała ją złość. „Ze mnie ojciec zrezygnował, natomiast z Marii nie, a przecież to ja mu się mogę przydać! Wprawdzie nie umiem czarować, ale w walce jestem chyba tyle samo warta? Powiedziałabym nawet, że o wiele więcej, bo ja się niczego nie boję”.

Rzeczywiście miała rację, ale być może właśnie z powodu braku ostrożności Móri odesłał akurat ją.

W domu wszystko było w porządku, pełna gracji pani wody, wprawdzie zaskoczona, powitała ją z radością. Dzieci spały pogrążone w głębokim śnie przez duchy. Nero rzecz jasna ogromnie się ucieszył i bardzo chciał wracać razem z Taran, ale dziewczyna stanowczo mu zabroniła. Nero nie potrafił zapanować nad własną odwagą, a nie wolno narażać jego życia, nie chcieli go stracić, nie chcieli też, aby Dolgowi zagroziło niebezpieczeństwo. W kwestii życia i śmierci Dolg i Nero stanowili jedność.

Taran zdała relację pani wody z tego, co się stało. Piękna władczyni mórz żałowała, że nie może wziąć udziału w końcowej walce, obie jednak wiedziały, że tutaj, przy dwojgu dzieciach, bardziej się przyda. Dzieci potrzebowały ochrony. Nie za dobrze się zapowiada starcie z całą gromadą rycerzy jednocześnie - westchnęła pani wody. - Cieszę się, że moi przyjaciele duchy wam pomogą. - Rzeczywiście, to przekonanie sprawia, że czujemy się bezpieczni - pokiwała głową Taran.

Żadna z nich nie wiedziała jeszcze o umowie, jaką Móri zawarł z bratem Lorenzo. Gdyby o niej słyszały, z pewnością znacznie bardziej by się przeraziły.

Taran miała wielką ochotę porozmawiać dłużej z sympatyczną królową wód, nie mogła jednak tracić cennego czasu. Musiała wykonać zadanie, jakie jej zlecono, a chciała przy tym pokazać, że godna jest zaufania.

Wspólnie odnalazły dwa szlachetne kamienie.

- Naprawdę strasznie wyglądają - swoim niezwykłym, jakby szemrzącym głosem powiedziała zatroska na Woda. - W jaki sposób kiedykolwiek odzyskają swój blask? Są całkiem matowe, zbrukane, zbezczeszczone, biedne święte kamienie.

- Może jakoś się to uda, jeśli tylko zdołamy wypędzić to paskudztwo z moczarów - westchnęła Taran. - Szkoda, że nie widziałas, jak Dolg starał się przejść przez bagno. Nagle otworzyła się pod nim bagienna otchłań. Ohydne! Ale ja już biegnę, ojciec czeka.

- Uważaj w powrotnej drodze - ostrzegła piękna pa ni wody. - Rycerze zapewne zdołali się już pozbierać i potrafią wystrzegać się niespodzianek.

- Wcale nie zamierzam ich zaskakiwać, bądź spokojna, potrafię się przekraść, nauczyliśmy się tego razem z Villemannem, kiedy chcieliśmy wywieść Dolga w pole.

- Udawało się wam?

- Nie - zachichotała Taran.

Na pożegnanie pogładziła śpiące dzieci, twarz jej złagodniała.

- Śliczne dzieciaki. Może zostanę ich ciotką? Jeśli, oczywiście, mój drogi brat ma chociaż odrobinę oleju w głowie.

Pani wody, siedząca przy lampie na stole, uśmiechnęła się tylko leciutko. Może myślała o tym, co ich czeka?

O tym, że przyszłość Taran i wszystkich innych osób zamieszanych w całą sprawę jest bardzo niepewna? Że może przynieść ogromne niespodzianki, czy wręcz okrutną śmierć?

Taran zniknęła w mroku. W dwóch wykładanych aksamitem skórzanych sakiewkach niosła kamienie. Na moment przystanęła na progu i głęboko wciągnęła w płuca nocne powietrze, przysłuchując się przy tym odgłosom

dobiegającym z lasu.

Od strony bagien jednak nie dochodził żaden dźwięk. Zresztą moczary leżały dość daleko.

Dreptała już jakiś czas ścieżką, kiedy nagle drgnęła i zatrzymała się. Chyba coś usłyszała, jakiś szybki ruch, gdzieś przed nią trzasnęła gałązka.

Zwierzę?

Albo... człowiek?

Znieruchomiała.

Jak najostrożniej ukryła się między drzewami i nastawiła uszu.

Wprawdzie panowała absolutna cisza, a jednak wydawało jej się, że ktoś się na nią czai.

Oczywiście to tylko wybujała wyobraźnia, ale...

Znów jakiś odgłos, tym razem była już pewna. Ktoś szepnął i doczekał się odpowiedzi.

Czyhało na nią dwoje ludzi.

Na pewno żaden z jej przyjaciół.

Na miłość boską, co robić, zastanawiała się, ściskając mocniej jedną z sakiewek.

Nie mogę iść ścieżką, nie mogę też zagłębić się w las. W lesie będę deptać jak słoń po suchych gałązkach, w dodatku nie znam go, jest przepastny i ciemny, na pewno zabłądzą.

Zawrócić?

I ściągnąć uwagę na dom, w którym są dzieci? Nigdy!

Co robić? Co robić? zastanawiała się gorączkowo, nie mogę przecież tak tutaj stać przez całą wieczność.

Taran zrozumiała, co się stało. Któryś z braci zakonnych musiał ją zauważyć, chociaż starała się tak ostrożnie wymknąć z moczarów. Poszli za nią i usłyszeli teraz, jak wraca.

Do stu piorunów!

Urielu, ratunku!

Ale jak on miał przybyć jej z pomocą?

Gdzieś z przodu dobiegło ją rżenie konia. Oczywiście znad bagniska. Brzmiało z bardzo daleka, wołanie o pomoc na nic by się tu nie przydało.

Gdybym umiała zrobić choćby jakiś mały hokus - pokus, jakąś maleńką czarodziejską sztuczkę! Niestety, pod tym względem jestem żałośnie zaniedbana. Dlaczego Dolg nie zostawił nic dla nas, biednego młodszego rodzeństwa, wszystko musiał zagarnąć dla siebie?

Czas płynął. Taran czuła, że nerwy ma napięte jak struny. Mężczyźni podkradli się bliżej, powoli, bardzo ostrożnie. W otaczającej ją ciszy słyszała ich równie wyraźnie, jakby maszerowali przez most.

A może wezwać na pomoc duchy ojca?

Nie, one do niej nigdy by nie przyszły. W ich oczach była zerem. Prychnęła ze złością: „Zerem, ja? A co one wiedzą o wartości ludzi?”

Chwileczkę!

Twarz jej się rozjaśniła. Czyż nie ma osobistego sprzymierzeńca, który już wcześniej przybywał jej z odsieczą?

Niemal bezgłośnie szepnęła:

- Soi z Ludzi Lodu, ty i ja jesteśmy ulepione z tej samej gliny! Dobrze wiesz, co myślę, tak samo jak ja po trafię odczytywać twoje myśli. Wyratuj mnie teraz z tego przekłętą potrzasku! To zdaje się dwaj żądni krwi bracia zakonni mnie gonią. Daj im tyle przyjemności, żeby zapomnieli, po co przyszli!

- To niepotrzebne - rozległ się tuż obok cichy żartobliwy głos. - Tym razem załatwimy tę sprawę znacznie prościej.

Taran odwróciła się i uśmiechnęła do majaczącej w ciemności postaci.

- Witaj, Soi! Ojciec mówił, że spotkał was po drodze.

- Tak, akurat teraz wśród Ludzi Lodu nic szczególnego się nie dzieje, więc my, ich dawni praojcowie i pra - matki, możemy zająć się innymi zabawnymi rzeczami.

Rzeczywiście, jesteśmy przy was. Ta historia z Hiisi jest bardzo ciekawa. Być może potrafilibyśmy udzielić wam kilku rad, ale wracajmy do obecnej sprawy.

Zaczekaj tu przez chwilę, aż usłyszysz, jak ci łajdacy tropią mnie w lesie. Wtedy pobiegiesz tak szybko, jak tylko będziesz mogła, ścieżką w stronę moczarów. Ale bądź ostrożna, kiedy już tam dotrzesz.

- Tak, tak, rozumiem. A więc ci dwaj mają uwierzyć, że ty to ja?

- Właśnie.

- Dziękuję, do zobaczenia.

Soi ruszyła ścieżką. Jej to dopiero dobrze, może zniknąć, kiedy tylko chce, pomyślała Taran, ale... z drugiej strony nigdy nie mogła nacieszyć się życiem, umarła przecież, kiedy miała dwadzieścia trzy lata. Ja chcę żyć wiele lat razem z moim Urielem.

Usłyszała, że bracia zakonni zareagowali. Wysunęli się ze swojej kryjówki gotowi, by rzucić się na ściganą zwierzynę. Soi natychmiast pomknęła w las, rycerze za nią.

Taran zorientowawszy się, że są dostatecznie daleko, wróciła na ścieżkę i pobiegła nią w stronę bagniska.

Jesteśmy niezwyciężeni, powtarzała w duchu z zapalem. Mamy duchy, mamy Ludzi Lodu, mamy ojca, Dolga i Cienia. Wszyscy nam teraz pomagają.

Na wsparcie duchów Móriego nie mogli już liczyć, lecz Taran o tym nie wiedziała. Kiedy zbliżyła się do moczarów, dostrzegła między drzewami blask pochodni, dobiegły ją podniecone głosy i stłumione parskanie koni. Mądra po szkodzie, tym razem okrążyła gromadę rycerzy większym łukiem. Doszła aż do lasu prawie po drugiej stronie bagniska, przez moment wystraszyła się, że za chwilę zdrętwieje zmrożona, jak stało się ostatnio, w porę jednak przypomniała sobie, że Mariana pokonała Mróz.

Błogosławiona Mariatta! Prawdziwy skarb!

Taran musiała chwilę poczekać. Rycerze rozproszyli się po piaszczystym wzgórzu; wyglądało na to, że droga z powrotem będzie dość trudna. Zmartwiło ją to jednak tylko na chwilę. Na pewno będzie umiała wykorzystać odpowiedni moment.

Co tam się dzieje?

Ojciec i ten opasły Lorenzo dyskutują.

No tak, to mogę zrozumieć, bracia zakonnicy nie śmiały zaatakować, dopóki nie wiedzą, gdzie szukać Świętego Słońca, a ojciec pewnie trzymał język za zębami i nie zdradził, że sam nie ma pojęcia, gdzie jest ukryty klejnot.

Zorientowała się jednak, że sytuacja jej przyjaciół jest bardzo trudna. Brat Lorenzo nakazał swoim ludziom przysunąć się nieco do przodu. Grupa czarnoksiężnika w każdej chwili mogła zostać zepchnięta na bagna.

Czyhające tylko na ofiarę.

Ale gdzie są duchy?

Taran nigdzie ich nie dostrzegła.

Podsunęła się o krok do przodu, żeby móc lepiej widzieć, sama nie będąc widzianą.

Są, są duchy, ale... sprawiają wrażenie, jakby z jakiegoś powodu trzymały się z tyłu. To bardzo niepodobne do Nauczyciela i jego orszaku, przecież zawsze kiedy mogły coś zrobić dla czarnoksiężnika Móriego, czujnie stawały w pierwszym szeregu, zawsze chętne do drastycznych posunięć.

Teraz zachowywały się biernie, tylko czekały. Na co?

Taran nic nie mogła pojąć z zaistniałej sytuacji.

Na czworakach, niemal wijąc się po ziemi jak wąż, wyminęła linię wroga. Cało i zdrowo wróciła do Uriela, z dumą pokazała skórzane sakiewki. Doskonale się spisła.

Z radością zauważyła uznanie w spojrzeniu ojca.

Niestety, wspólnego podstępu Taran i Soi nie dało się uznać za w pełni udany.

Pojawił się jeszcze jeden czynnik, którego nikt nie brał pod uwagę.

Były mąż Mariatty, przepity dziedzic Nils Bórje, obudziwszy się stwierdził, że całkiem wytrzeźwiał, i wpadł w gniew. Ośmieszono go przed przyjaciółmi, odebrano mu syna. Wszyscy odwrócili się do niego plecami.

Ale syna odzyskam! postanowił.

Ta przeklęta Maria nie miała prawa nachodzić go w jego własnym domu z sędzią i tak po prostu zabrać Jonasa, podobno odebrała też Gretę, ale dziewczynkę może sobie zatrzymać, jemu zależy na dziedzicu dworu, chłopiec należy do niego i Maria powinna o tym wiedzieć.

Rozpytał się w mieście, dowiedział, gdzie przebywa. Oczywiście, jest sama w lesie. Bez trudu odbierze jej chłopca.

Otrzymałszy dokładny opis drogi do zagrody dziadków Marii, czym prędzej tam wyruszył.

A więc powrócił do swoich prostackich korzeni.

Tak, tak, zawsze o tym wiedział, nigdy nie dorastała mu nawet do pięt, nie była go godna, pochodziła z nizin.

Zanim dojechał do leśnej zagrody, zdążyło się ściemnić. W środku się jednak świeciło, to znaczy, że ta złodziejka dzieci jest w domu.

Może lepiej sprawdzić, ilu ludzi jest wewnątrz? Nie miał czasu na to, by stawić czoło liczebnej przewadze przeciwników.

Brakowało mu także odwagi, ale do tego nawet sam przed sobą się nie przyznał.

Nils Bórje podkrał się do okna, zrobił z dłoni daszek przy skroniach, żeby lepiej widzieć, i zajrzał do środka.

Na stole paliła się świeca, ale nikt przy nim nie siedział.

Nils Bórje nie był w stanie zobaczyć pani wody, która tam czytała książkę. Nie widział, że wstaje, pochyla się nad dziećmi w łóżku i otula je kołdrą. Dostrzegł jedynie jakieś poruszenie pościeli, lecz uznał, że to dzieci drgnęły przez sen.

Ktoś jednak mógł być w sąsiednim pokoju.

Przekradł się za róg...

Brat Suctus i brat Clements zgubili ślad Taran ale bali się przyznać do tego wielkiemu mistrzowi, niesłychanemu cholerykowi. Postanowili więc wrócić do domu, który odwiedziła Taran, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie znajdą tam kogoś w zastępstwie. Tak też się stało. Koło domu kręcił się jakiś mężczyzna.

Najwyraźniej nie przybył tu w czystych zamiarach.

Do planu, jaki wymyślili, kręcąc się wściekli po lesie, nadawał się każdy człowiek. Nie mogli właściwie zrozumieć, co się stało. Przecież deptali już tej Taran po piętach i nagle zniknęła im bez śladu. Niepojęte!

Ale jak można coś takiego wytłumaczyć wielkiemu mistrzowi Lorenzo?

Nils Bórje zaledwie kątem oka zdążył dostrzec jakieś cienie, a już rzucili się na niego dwaj silni mężczyźni. Najwyraźniej przybyli tu w złych zamiarach. Tylko trochę stawiał opór, nigdy bowiem nie zaliczał się do szczególnie odważnych, i tak śmiertelnie się przeraził, że zmoczył się w spodnie. Rozbójnicy, przemknęła mu przez głowę straszna myśl. Całkowicie pozbawieni skrupułów.

Zabierzcie wszystko, co mam, zabierzcie sakiewkę z pieniędzmi, tylko oszczędźcie moje życie, chciał powiedzieć, ale nie zdołał wydusić słów. Zdławiła je twarda dłoń, która spadła na jego usta, ręce wygięto mu na plecy, opleciono sznurem, w usta wciśnięto ohydną duszącą chustkę i przywiązano ją jeszcze drugą.

Nils Bórje omal nie stracił przytomności ze strachu.

A to był dopiero początek. Czekały go znacznie gorsze przejścia, za jego też sprawą wielkie kłopoty miały spaść na Mariattę i jej przyjaciół.

Lorenzo mówił do Móriego:

- Zorientowaliśmy się, że ochraniacie moczary, a to znaczy, że nasza własność, Święte Słońce, znajduje się gdzieś tutaj. Może tam, przy tym samotnym drzewie? Ty durniu, pomyślała Taran, sądzisz, że to olbrzymie drzewo rośnie tutaj w okresie Morza Yoldiowego?

Jak można być takim głupcem!

Ale brat Lorenzo miał więcej rozumu, niż można się było po nim spodziewać, chciał po prostu wypróbować reakcję wroga.

- To prawda - spokojnie odparł Móri. - Ale nie przedostaniecie się tam.

- Czyż tak? - w głosie Lorenza zabrzmiała złowroga miękkość. - I kto niby nas powstrzyma? Może wy?

- Robimy co możemy, radzę wam, abyście się nie za puszczali na bagna.

A więc w każdym razie ojciec to powiedział, pomyślała Taran. Ostrzegł ich przed moczarami. Jeśli braciom zakonnym przydarzy się coś złego, będzie to tylko i wyłącznie ich wina. Zostali ostrzeżeni.

Jeśli jednak dobrze znam ludzi tego pokroju, to ostrzeżenie tylko pobudzi ich do działania. Może ojciec zdaje sobie z tego sprawę?

Lorenzo nakazał posunąć się naprzód, Taran spodziewała się, że Móri czarnoksiężnik ustąpi hordzie drogi na śmiercionośne moczary, lecz tak się nie stało. Mój wspaniały ojciec, pomyślała wzruszona, chce oszczędzić życie swych najzagorzalszych wrogów.

W tym momencie Taran zorientowała się, że bracia zakonni nie widzą wszystkich znajdujących się u brzegu bagniska. Dostrzegali Móriego i jego troje dzieci, Uriela i Mariattę. Cień natomiast i czworo Lemurów powróciło do swej ochronnej niewidzialności. Nie ukrywali się przed rodziną czarnoksiężnika, lecz przed wrogami.

Rycerze nie zauważali też obecności duchów, chociaż Taran widziała je dość wyraźnie pomimo ciemności rozświetlanej jedynie skąpym blaskiem pochodni.

Noc zresztą zaczynała ustępować. Mrok nie był już tak gęsty, a drzewa na moczarach wyłaniały się z niego coraz ostrzej.

Niepokoili ją bierność duchów, szeptem zadała Urielowi pytanie, powiedział jej o umowie, o zaakceptowanym przez Móriego żądaniu Lorenza, by nie uciekali się do żadnych nieczystych sztuk.

- Wielkie nieba - szepnęła Taran. - Jak my sobie po radzimy?

- Nie wiem, Taran. Dopóki ta wojna pozycyjna trwa, jesteśmy bezpieczni, lecz jeśli zmuszą nas, byśmy po kazali im miejsce, którego przecież nie znamy, będzie z nami źle.

- To jasne - przyznała Taran cierpko. - Urielu, widzisz tę gromadkę nieco dalej nad brzegiem moczarów?

Uriel w ciemności przymrużył oczy.

- Rzeczywiście. Kto to taki? Chwileczkę, czy to nie...? Ta ogromna postać o

szerokich ramionach, to przecież Tengel Dobry! I czarownica Soi! I wielu, wielu innych, przodkowie Ludzi Lodu! Czy rycerze ich widzą?

- Wydaje się, że nie. Wcale nie patrzą w tamtą stronę, a na widok kolejnej grupy zapewne okazaliby zdumienie. Urielu, mnie w lesie pomogła właśnie Soi, a to znaczy, że posłużyłam się nieczystą sztuką. Myślisz, że ojciec będzie się gniewał?

- Chyba nie. Skąd mogłaś wiedzieć?

Taran znów przeniosła wzrok na braci zakonnych. Ton jej głosu zdradzał niecierpliwość i gniew.

- Na co oni czekają? Dlaczego nie atakują, zamiast skradać się krok po kroku jak pies, który boi się lania?

O dziwo, sytuacja sprawiała wrażenie patowej. A tak przecież być nie powinno, rycerze mieli totalną przewagę.

Niepojęte!

Grupce Móriego nie pozostawało nic innego, jak czekać.

Mariatta trzęsła się z zimna na nocnym chłodnym wietrze. Nie chciała, aby Villemann to spostrzegł, lecz on wyczuł ramieniem drżenie jej ciała. Natychmiast zdjął kurtkę i pomógł jej się ubrać. Uśmiechnęła się przelotnie z wdzięcznością, lecz on w ciemności pewnie tego nie zauważył. Pozostawione w domu dzieci bardziej zajmowały jej myśli niż banda rycerzy.

Villemann także nie mógł się nadziwić, że rycerze wstrzymują się z atakiem.

Ojciec wszak obiecał, że nie skorzystają z pomocy duchów, czyżby nie wierzyli w dane przez niego słowo? Chłopak miał mokre i zimne stopy. Lekkie letnie buty chłonęły wilgoć ciągnącą od bagniska. Stojąc w napięciu czuł, jak kurczą mu się mięśnie brzucha.

Uriel mocno objął swoją Taran, zdecydowany jej bronić. Bardziej niż kiedykolwiek żałował, że nie ma ognistego miecza z tamtych czasów, kiedy był aniołem.

Wiedział jednak, że zwrócenie się z prośbą o wsparcie do wyższych mocy na nic się nie zda. Sam wybrał powrót do życia w ludzkiej skórze, a wraz z nim wszystkie jego wady.

Taran natomiast to „zaleta”, z której za nic na świecie nie zrezygnuje.

Czy ci tam na górze nie byłoby łaskawi potraktować go choć trochę bardziej wielkodusznie? By choć przez krótką chwilę mógł skorzystać z możliwości, jakie dawałyby mu oba wcielenia?

Ale wielkoduszność nigdy nie była ich specjalnością, wykorzystali natomiast małostkową pedanterię w kwestiach przyzwoitego ubioru i absolutnego posłuszeństwa.

Móri czuł się nieswojo. Przypuszczał, że jego galdry również zaliczają się do nieczystych posunięć, a jak inaczej mógł się bronić przeciwko tym ludziom uzbrojonym po zęby?

Źle wpływała na niego cała atmosfera tego miejsca, moczary same w sobie były ponurą, pozbawioną choćby isierki radości okolicą. Fakt, że Hiisi obrał je na swoją siedzibę, czynił je jeszcze bardziej makabrycznymi. Lodowaty wiatr hulał i szarpał liście drzew na bagnach. Villemann nieuważnie zrobił krok w tył i zaraz przy jego bucie zabalgotało. Krótkie ostrzeżenie. Dotąd, lecz ani kroku dalej! Móri powtarzał w myśli to samo, co wszyscy jego przyjaciele, zarówno ci widzialni, jak i niewidzialni. Na co czekamy?

Potem jego spojrzenie padło na najstarszego syna i w jednej chwili zrozumiał. Rycerze się boją! Czują się niepewni wobec Dolga, to właśnie jego obecność powstrzymuje ich przed działaniem.

Móri przyjrzał się swemu ukochanemu dziecku smutku i jego także ogarnęło przerażenie. Dolg się zmienił!

Zawsze był blady, lecz teraz jego twarz wręcz porażała bielą. Długie, kręcone czarne włosy powiewały na wietrze, podobnie jak czarna peleryna, a twarz i dłonie zdawały się świecić, jakby bladoniebieskie iskry ulatywały z nich w stronę piaszczystego wzgórza.

Móri poczuł straszny lęk. Co się dzieje z moim synem? jęknął w duchu.

Potem jednak doszedł do wniosku, że rozumie. Oto nadszedł czas Dolga.

Do tej pory Dolg zachowywał zdumiewającą bierność, trzymał się z tyłu, teraz

także nie wysuwał się naprzód, lecz uderzała zmiana, jaka w nim zaszła.

Móri pojął, co się stało: znaleźli się w pobliżu Świętego Słońca, być może złocista kula także oczekiwała na uwolnienie. Może usiłowała przyciągnąć do siebie jedynego człowieka na ziemi, który mógł być jej ratunkiem? Może... może obdarzała Dolga dodatkową mocą?

Najdroższe dziecko, co myśmy uczynili, sprowadzając cię na świat, byś stawiał czoło takiemu zadaniu?

Przez moment przeklął Cienia, który wciągnął ich wszystkich w tę historię, który ośmielił się zrobić to Dolgowi, niezwyklemu pierworodnemu synowi Móriego.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że jest też dumny. Dopóki Cień nie zamierzał wyeliminować Dolga później - jeśli w ogóle uda mu się uwolnić Słońce - wszystko jest w porządku, chociaż zadania, jakie wyznaczono synowi, nie dało się nazwać łatwym.

Wreszcie Lorenzo wrzasnął:

- Kolejne czarnoksiężskie sztuczki! Sądziłem, że możemy...

- Nie mam nad tym kontroli - przerwał mu ostro Móri. - Dolg także.

Widać było wyraźnie, że Lorenzo już wcześniej to zrozumiał, chciał jednak ich wypróbować.

- Co tu się właściwie dzieje? - burknął.

- Przypuszczam, że mamy do czynienia ze Świętym Słońcem - spokojnie odparł Móri.

- Nie bluźnij przed naszym Świętym Słońcem - krzyknął wielki mistrz. - Ono miałoby mieć związek z tym potworem, kiedy jest nas tu osiemnastu szlachetnych rycerzy?

- Szlachetnych! - prychnęła Taran. Lorenzo zerknął na nią spod oka.

- Nie znam innego wyjaśnienia - Móri nie dał się wy prowadzić z równowagi.

W tylnych szeregach rycerzy zapanowało poruszenie, więc Lorenzo, surowo popatrzawszy na swoich więźniów i wydawszy rozkaz, by ich pilnowano, odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje.

Móri i jego grupa mogli jedynie czekać. Ze zdziwieniem przyglądali się niebieskiemu światłu bijącemu od Dolga, lecz na nim samym jego nowy wygląd zdawał się nie wywierać żadnego wrażenia.

- Czy oni nie mogą się trochę pospieszyć? - mruknęła Taran. - Tak piekielnie zmarzłam w tylek.

- Sądzę, że powinniśmy się cieszyć z takiej sytuacji - odpowiedział Móri. - Musimy wykorzystać to, że wygląd Dolga ich przeraża. Dopóki tak będzie, jesteśmy bezpieczni.

- Prędzej czy później i tak zmuszą nas, byśmy weszli na bagna - rzekł Uriel. - Ja także sądę, że to Słońce stara się temu zapobiec

Wszyscy rycerze znów zwrócili się w ich stronę. W okrzyku, jaki wydali, pokazując im, co mają, zabrzmiał triumf.

Grupa Móriego czekała. Obserwowali, jak wiele pomocnych dłoni podnosi z ziemi ogołoceny z gałęzi pień świerka. Przerażeni nie mogli uwierzyć własnym oczom.

Wysoko do drzewa przywiązany był człowiek, kneblowała go chustka unieruchamiająca mu jednocześnie głowę przy pniu.

- Boże - szepnęła Mariatta. - To przecież Nils Bórje. Z oczu więźnia biła rozpacz i oszalały strach.

Pod jego stopy podsunięto pochodnie.

- Wskażcie nam drogę prowadzącą do Świętego Słońca! - zawołał Lorenzo tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Inaczej go podpalimy!

W głosie Móriego zabrzmiało lodowate zimno.

- Oprócz tego, że udało wam się pojmać najgorszego z naszych nieprzyjaciół, za którego nie czujemy się ani trochę odpowiedzialni, uważam, że złamaliście umowę.

Po głosie Lorenza poznali, że słowa Móriego wyprowadziły go z równowagi.

- Cóż za brednie! Za tym nie kryje się żadna nieczysta siła. Podpalamy!

- Umowa polegała na tym, że jeśli będziecie zachowywać się nieszlachetnie, nie

jesteśmy wam niczego winni. Podpalcie tylko, a moi przyjaciele duchy przypuszczą szturm.

Villemann jęknął. Jego zdaniem ojciec tylko od nowa doprowadzał do ponownego pata sytuacji, tyle że w nieco innej fazie. Czy to się nigdy nie rozwiąże?

Mariatta przeżywała wewnętrzny dylemat: były mąż budził w niej odrazę, lecz wcale mu nie życzyła takiego końca. A w ogóle co on tu robi?

Tego akurat nietrudno się domyślić. Zapewne chciał zabrać dzieci, to znaczy Jonasa, bo Greta nigdy go nie obchodziła. Maria wiedziała, że dzieci mają się dobrze. Kiedy Taran ukradkiem dołączyła do grupy, Mariatta wzrokiem spytała ją: „Jak dzieci?“, a Taran uśmiechnęła się i uspokajająco pokiwała głową: „Wszystko w porządku”.

W tę straszną noc nad brzegiem bagniska, pełną kolejnych koszmarów i przesyconą atmosferą zła, myśli Marii niezliczoną ilość razy powracały do dzieci, które musiała opuścić już pierwszego wieczoru, jaki mieli spędzić razem. Co na to powie Nils Bórje? Oskarży ją, że jest złą matką? Będzie mógł zażądać od władz, aby oddały mu dzieci.

A co on wie o silnej straży w domu? Co wie o powodach, które ją tu zatrzymały? No, teraz chyba trochę je poznał.

Gwałtowną dyskusję między Mórím a wielkim mistrzem Zakonu przerwały zduszone krzyki jeńca. Jeśli dobrze znała Nilsa Bórje, przejmował się wyłącznie swoim własnym nieszczęściem. Nic innego już go nie obchodziło.

Taran nie zajmowała się Nilsem Bórje. Jasno zdawała sobie sprawę z sytuacji. Lorenzo najwyraźniej stracił cierpliwość, wrzaskiem wydał rozkaz ruszenia do ataku, by zmusić bandę czarnoksiężnika do wejścia na bagno i wskazania braciom drogi.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Wystarczyło jedno ostre słowo Móriego i Taran ujrzała Nauczyciela oraz Hraundrangi - Móriego, którzy osłaniali ojca, Nidhogg natychmiast stanął przed Taran, Duch Zgasłych Nadziei i Zwierzę przed Villemannem obejmującym Mariattę, a pani powietrza zasłoniła Uriela. Pustki nie

było widać, lecz Taran doskonale wyczuwała jej obecność w postaci paraliżującego ciężaru najgłębszej nicości na duszy. A przecież ona była jej przyjaciółką, rycerze musieli to odbierać znacznie dotkliwiej. Cień i czworo Le - murów chronili oczywiście swego pobratymca Dolga.

A nieco dalej nad brzegiem moczarów szykowali się już przodkowie Ludzi Lodu. - Pamiętajcie, tym razem nie wolno wam zabijać - ostrzegawczo mruknął Móri do swoich duchów.

Nauczyciel ciężko westchnął. Osoba Nilsa Bórje poszła w niepamięć, pień świerka opuszczono, Nils Bórje gruchnął o ziemię. Rycerze Zakonu Świętego Słońca już wcześniej zsiadli z koni, które stały teraz na tyłach przytrzymywane przez trzech zdenerwowanych, rozwrzeszczanych mężczyzn. Wierzchowce gotowe były rzucić się do ucieczki, przerażone błyskami pochodni i hałasem, jaki czyniła broń rycerzy.

I czymś jeszcze...

Konie dostrzegały więcej niż ich panowie, widziały istoty nie będące z krwi i kości, wyczuwały zapach czarów i bliskiej śmierci.

Może czuły także obecność Hiisi?

- Zróbcie porządek ze zwierzętami! - wrzasnął Lorenzo do swoich ludzi, ciężkim krokiem podchodząc do grupki czarnoksiężnika.

Najbliżej stała Taran, całkiem nieruchomo. W pełni zaufała Nidhoggowi, którego tylko ona widziała. Lorenzo znalazł się już tak blisko, że docierało do niej ciepło jego oddechu, dostrzegała w jego oczach niedowierzenie, że nawet nie próbuje przed nim uciekać. I nagle jakaś siła odrzuciła wielkiego mistrza w tył, jakby raził go piorun. Taran ledwie zdołała dostrzec ruch Nidhogga. Musnął jedynie obszerny płaszcz Lorenza, ale z miażdżącym rezultatem.

Wielki mistrz runął prosto w ramiona dwóch przystojnych, ubranych w czerń książąt.

Z wielkim trudem udało się bratu Lorenzo zachować godność i panowanie nad sobą. Wreszcie stanął na nogi.

- Czary! - syknął do Móriego. - Nieczysta gra!

Nie spuszczając wzroku z Móriego władczo skinął ręką na braci zakonnych.

- Bierzcie innych! Nawet córka tego złego człowieka jest przesiąknięta czarną magią.

Cóż, bardzo mi miło, chociaż to nieprawda, pomyślała Taran. Ale nie zmieniaj zdania, twoje słowa sprawiają mi tylko przyjemność.

Biednego brata Jamesa wraz z jego najbliższymi ludźmi otoczył obłok, w który przekształcił się Duch Zgasłych Nadziei Przepojeni bezdennym smutkiem i tęsknotą za śmiercią uderzyli w krzyk. Osłaniający Móriego Hraundrangi - Móri i Nauczyciel, uciekając się do czarów, sprawili, że ziemia pod stopami atakujących zapłonęła, rycerze cofnęli się podskakując z wrzaskiem i próbując rękawicami zdławić wyimaginowane płomienie, jakie pojawiły się na ich nogach.

Pani powietrza pozwoliła, by w tych, którzy zaatakowali Uriela, uderzył orkan, co Taran przyjęła z uznaniem, a Gaston, brat w bardzo już podeszłym wieku, poczuł, jak jakiś potwór wbija mu kły w nogę pod kolaniem, aż pękają kości. Była to oczywiście tylko iluzja, lecz bardzo skuteczna.

Soi z Ludzi Lodu z początku stała z boku, serdecznie się śmiejąc, lecz wreszcie nie mogła się powstrzymać, by się nie włączyć. Nieznacznie skinęła ręką ku kolejnej grupie rycerzy, którzy próbowali zaatakować Villemanna i Mariattę. Byli to trzech bardzo dostojni bracia, należący do starszyny Zakonu. Uważali się za znacznie lepszych niż te żółtodzioby, które wstąpiły do Zakonu w ostatnim roku.

(Po tym, jak za sprawą czarnoksiężnika szeregi rycerzy znacznie się przerzedziły, lecz o tym nie wspominał nikt.) Uważali się za lepszych nawet od księcia i hospodara. W Zakonie bowiem nieustająco trwała cicha rywalizacja o prestiż.

Teraz na oczach wszystkich tych młodzieniaszków, a także ich niecnym pomocników i wroga, trzem dostojnym rycerzom z szelestem opadły spodnie, u dwóch odsłaniając pełną erekcję. U trzeciego wzwód w ogóle nie nastąpił, między nogami zwiślał mu żaloszony pomarszczony organ. Najgorzej, że oni sami odkryli swoją kompromitację ostatni. Zrozumieli, dlaczego wszyscy się tak w nich

wpatrują, dopiero gdy zaplątali się w nogawki. Prędko starali się ratować zranioną dumę, lecz oczywiście było już na to za późno. Niełatwo przyszło im znieść pogardliwe spojrzenia.

To na pewno sprawka Soi, pomyślała Taran cierpko. Nikt z naszych znających się na czarach nie wymyśliłby czegoś podobnego, oni mimo wszystko mają bodaj odrobinę przyzwoitości, ona natomiast nie, jesteśmy do siebie podobne jak dwie krople wody.

Lorenzo rozumiał, że wszelkie próby pokonania grupki czarnoksiężnika idą na marne. Kilka kul wystrzelonych z pistoletów zatrzymało się w powietrzu i zrykoszetowało w jak najbardziej godny pożałowania sposób. Brata Ludolfa, który właśnie odwrócił się tyłem, by wydać wrzaskiem polecenie przerażonym uciekającym pomocnikom, kula trafiła w pośladek. Utkwiła w szerokim zadzie, sprawiając ból.

O dziwo, żaden z rycerzy nie ośmielił się zaatakować Dolga. Widać wszyscy się bali.

Wielki mistrz Lorenzo zebrał braci zakonnych na naradę. Ich siły nieco się zmniejszyły, bo trzech pachołków umknęło z tego straszego miejsca, po lesie poniósł się stukot kopyt.

Rycerze jednak pozostali, zdecydowani, że osiągną cel. Móri i jego przyjaciele czekali. Nic więcej zrobić nie mogli.

Wreszcie członkowie Zakonu Świętego Słońca podjęli decyzję. Lorenzo z godnością przemówił do swoich przeciwników:

- Moglibyśmy zmusić was, byście ruszyli na bagno przed nami...

- Doprawdy? - nie zdołała utrzymać języka za zęba mi Taran.

Móri ją uciszył.

Lorenzo nie zwracał uwagi na ten przerywnik.

- Ale możecie dalej tam stać, my pójdziemy inną drogą.

- Bardzo proszę - wciąż tak samo spokojnie odparł Móri. - Nie będziemy kryć podziwu, jeśli uda wam się jakąś znaleźć.

Taran nie mogła się powstrzymać od westchnienia ulgi. Tak samo jak pozostali wiedziała, że jeśli zostaną zmuszeni do wejścia na bagna, oznaczać to będzie niechybną śmierć. Wszyscy mieli świeżo w pamięci nieudaną próbę Dolga. Straszna to była chwila, kiedy bagno otworzyło się niczym olbrzymia paszcza, by go pochłonać.

Hiisi...

Zamiary braci zakonnych stały się jasne. Postanowili okrążyć bagno, przedostać się na drugą stronę, gdzie nie powstrzymają ich kłopotliwi przyjaciele czarnoksiężnika.

- Jak daleko uda im się dotrzeć w ten sposób? - szeptem spytała Taran Uriela.

Okazało się, że bardzo niedaleko. Już wkrótce rycerze przekonali się, że przejście wzdłuż brzegu moczarów jest niemożliwe. W czasie gdy podejmowali próby, grupka Móriego starała się przedostać w sosnowy las dalej na ścieżkę, lecz zaraz powstrzymały ich pistolety wymierzone przez pomocników złych braci. Co prawda przerażeni służący nie mogli zapanować nad drżeniem rąk, lecz przecież i tak jakaś zbląkana kula mogła kogoś trafić, choćby sąsiada. Móri wydał więc przyjaciołom polecenie, by stali spokojnie.

Widzieli, jak dzielni rycerze przedzierają się naprzód, jakby poruszali się w smole. Tak, tak, dobrze znali to uczucie.

Zdobywszy kilka metrów terenu gromada rycerzy zrezygnowała. Nie kryli irytacji i podenerwowania, krzyczeli, głośno przeklinali siebie nawzajem i grupę Móriego, a przede wszystkim to zaczarowane miejsce.

Jedyną pociechę przynosiła im świadomość, że przeciwnikom także nie udało się zajść dalej.

Powinno im to dać do myślenia, lecz zmęczenie ciał i umysłów nie pozwalało na skupienie. Zaledwie kilku zdołało zachować chłodną głowę, wśród nich Lorenzo, co było dość dziwne, kiedy bowiem coś układało się nie po jego myśli, całkowicie zatracił umiejętność trzeźwego planowania kolejnych posunięć.

Tym razem jednak zdołał się skoncentrować.

- Móri, czarnoksiężniku! - wrzasnął, wracając do punktu wyjścia. - Złamaliście waszą obietnicę, wzywając do walki te przeklęte duchy, ale my także potrafimy działać, mamy zasoby, o których nie wiesz. Bracie Eudesie! Nadszedł czas. •

- Eudes? - mruknął Uriel. - To stare imię burgundzkie, już się go nie używa, w naszych czasach przyjęło formę Edouard.

- Burgundzkie? - zastanawiał się Móri. - Gdzie myśmy niedawno słyszeli o Burgundii?

Spostrzegli, że bracia zakonni gromadzą się wokół człowieka, dotychczas nie rzucającego się szczególnie w oczy. Lorenzo triumfalnie zwrócił się do Móriego:

- Oślawiona czarna szkoła na Sorbonie ma swoje odgałęzienia, jej nauka żyje do dzisiaj.

- Wiem coś o tym - odparł Móri tak cicho, że Lorenzo nie mógł go usłyszeć.

Najwidoczniej jeden z braci, pewnie ów Eudes, pobierał gdzieś takie nauki.

- Spróbujemy im się wyrwać? - zaproponował Ville - mann po norwesku.

- Nie - sprzeciwił się Móri. - Ci biedni służący nie zniosą już widoku kolejnych istot nie z tego świata. Spójrzcie, jak się poca. Pozwolimy, by wydarzenia toczyły się swoją koleją. Uważam, że tak będzie najroztropniej.

- To znaczy, że nie boisz się umiejętności tego brata Eudesa?

- Ani trochę!

A jednak kiedy krąg wokół Eudesa rozproszył się z okrzykiem zwycięstwa, Móri odruchowo się cofnął. Podobnie zareagowali jego najbliżsi. Pacholcy nie śmieli nawet się odwrócić.

- Co to takiego? - szepnął Móri.

Brat Eudes widać znał się na rzeczy. Wprawdzie było dość ciemno, chociaż najczarniejsza część nocy już minęła, lecz pochodnie rzucały straszny migotliwy blask na coś, co znajdowało się wśród braci zakonnych. To znaczy wszyscy z wyjątkiem Eudesa i jeszcze kilku odsunęli się dość daleko od budzącej grozę postaci, która pojawiła się tak nagle.

- Wielkie nieba - szepnął wystraszony Villemann. - Któż to, na miłość boską, jest?

- Albo raczej, kto to kiedyś był - poprawił go Dolg. Villemann mocniej objął śmiertelnie pobladałą Mariattę, która nie mogła oderwać wzroku od ohydnej zjawy.
- On wygląda jakby... jakby gdzieś go wykopali. Z grobu? - dodała z jękiem.
- Rzeczywiście na to wygląda - mruknął Móri. - I najwyraźniej mają zamiar wypuścić go na nas.

- Żeby zapędzić nas na bagno - uzupełniła Taran z go ryczą. - Ratunku! Toż to prawdziwy strach na wróble!

Było to określenie bardzo nie na miejscu w stosunku do widniejącego przed nimi ducha otchłani i Móri przez moment zastanowił się, czy jego jedyna córka w żadnej sytuacji nie przestanie kpić.

Zdawał sobie jednak sprawę, że taki styl bycia ratował ją w trudnych chwilach, takich jak ta, która właśnie nadeszła.

Istota kolebiąc się nadchodziła w ich stronę, niezwykle wysoka, ubrana w ciągnące się po ziemi łachmany, cuchnące niczym padlina.

- Kto to jest? - powtórzył Villemann. - Nie może to być chyba żaden ze śpiących wielkich mistrzów.

- Oczywiście, że nie - pospiesznie zapewniła Taran. - Wszystkich całkowicie unieszkodliwiliśmy.

- Masz rację - przyznał Móri.

- Wszystkich oprócz jednego - oświadczył Dolg.

- Kogo? - spytali chórem.

Dolg nie spuszczał oczu z ohydnej istoty.

- Rzeczywiście zniszczyliśmy śpiących wielkich mistrzów ze skały Graben, ale...

Ojcie, czy zdołasz unicestwić tę istotę za pomocą magii imienia?

Móri zamyślił się. Sytuacja zaczynała być krytyczna, olbrzymia postać podsuwała się coraz bliżej. Już niedługo zepchnie ich na bagno.

- Tak, to możliwe, gdybym tylko wiedział, jak on się nazywał...

Dolg z przemieszana z strachem fascynacją wpatrywał się w zmierzającą ku nim okropną zjawę. Ciągnęła nogi po ziemi, szurając. Mariatta ze strachu zamknęła

oczy.

- Pamiętajcie, że znaleźliśmy listę wielkich mistrzów, jacy nastąpili po mnichu Wilfredzie von Graben.

- Owszem, tych, którzy rządili między nim a kardynałem - powiedział Uriel. - Zgadza się, ale nie było wśród nich żadnego, który by... No, tak.

- Który byłby co najmniej równie zły jak wcześniej si wielcy mistrzowie. Ojczy, pamiętasz?

- Tak, jakiś wielmoża z Burgundii. Zły niczym sam diabeł i cały jego orszak.

Przypuszczam, że Eudes wy wodzi się z jakiegoś burgundzkiego rodu. Wszystko się zgadza!

- Przypominasz sobie, jak się nazywał? - zapytał Dolg.

- Tak, tak, odsuńcie się nieco na bok. Spróbuję.

- Najwyższy czas - mruknęła Taran. - Czuć, że ta ohyda nie myje zębów.

- Pewnie w ogóle się nie myje - dodał Uriel, przerażony bliskością zjawy.

Mogli teraz patrzeć prosto w martwe rybie oczy. Rycerze pewni zwycięstwa stali na wzgórzu w bezpiecznej odległości, ogarnięci takim samym obrzydzeniem, jak i wrogowie.

Grupka czarnoksiężnika została zepchnięta już prawie na krawędź moczarów.

Potworny widok odbierał im resztki odwagi.

Móri najmocniejszym głosem, jakiego używał do zaklęć, zawołał:

- Louisie de Grotte! Wielki mistrzu Zakonu Świętego Słońca od roku tysiąc pięćset dwadzieścia sześć do tysiąc pięćset trzydzieści dwa, posłuchaj, co wiem o tobie!

Upiór zatrzymał się tuż przed Taran, najwidoczniej właśnie ją upatrzył sobie na pierwszą ofiarę. Niezwykle powoli odwrócił głowę w stronę Móriego, zirytowany, że ktoś ośmielił się mu przeszkadzać. Uriel natychmiast pociągnął Taran za siebie.

Móri rozpoczął wyliczanie nieprawdopodobnej ilości faktów z życia tego renesansowego władcy. Nie mogli pojąć, w jaki sposób zdołał tak wiele zapamiętać z Księgi Królów Zakonu. Wydawało się, że w miarę, jak odmawia

zaklęcia, pamięć działa coraz sprawniej, słowa bowiem wylewały się z jego ust potokiem. Mówił o najnikczemniej szych postępkach, o najohydniejszych okrucieństwach popełnionych przez wielkiego mistrza, o rodzinie, którą wymordował, by móc spożytkować rodowe bogactwa na rzecz Zakonu. O niszczeniu każdego, kto stanął mu na drodze. Móri zdawał się wiedzieć wszystko o tym, jak to ludzi, którzy mu się opierali, rzucał na pożarcie dzikim zwierzętom, a najbardziej znenawidzonym zadawał śmierć poprzez wbicie na pal jeszcze żywych. Ich głowy ku przestrodze nasadzał na żerdzie.

Docierały do nich przeciwstawne zaklęcia brata Eudesa, który najwidoczniej przejrzał zamiary Móriego. Oczywiście Eudes nie znał islandzkich galdrów, posługiwał się czarnoksiężskimi formułami pochodzącymi z kontynentu, lecz i one okazały się skuteczne, gdyż Eudes był zdolnym czarnoksiężnikiem. Z tego właśnie powodu przyjęto go do Zakonu, miał stanowić przeciwwagę Móriego. Ohydna postać zatrzymała się poddana działaniu dwóch potężnych przeciwstawnych sobie sił. Kołysała się to w tył, to w przód, w zależności od tego, które zaklęcia okazywały się mocniejsze.

Kilkakrotnie duchowe szczątki Louisa de Grotte blakły i już miały zniknąć, lecz Eudes potrafił pobudzić zjawę do działania. Koścista ręka upiora, w której ciało odstawało od kości, wyciągnęła się ku Villemannowi i niemal go chwyciła, a przecież chłopak balansował na krawędzi mokradła. Wówczas to Móri zadał śmiertelny cios. Dotarł właśnie do omawiania marnego końca, jaki spotkał wielkiego mistrza. Magia imienia bowiem wymaga obnażenia całej prawdy o życiu danej osoby i Móri najbardziej się obawiał, że zaklęcia brata Eudesa przeszkodzą mu w wypowiedzeniu na głos wszystkiego, co wiedział.

Jedynie Dolg odkrył, skąd Móri czerpie informacje; przecież ojciec nie mógł znać wszystkich faktów z życia Louisa de Grotte. To Cień zajrzał do księgi czasu świata i karmił teraz głowę Móriego wiadomościami. Cień wyjątkowo wykroczył poza zwykły teren działania, nastawiony był wszak na udzielanie pomocy swemu podopiecznemu, Dolgowi, ale... Znaleźli się już blisko Słońca i Cień nie zamierzał

dopuścić, by jakiś nieokrzesany brat zakonny zniweczył ich plany. Nie mieli czasu na takie głupstwa.

Wreszcie Móri dał prawdziwy popis zaklinania...

Zdołał wywołać wizję straszliwego końca wielkiego mistrza. Z lasu wyłoniło się stado dzików, które rzuciły się na de Grotte.

Tego już dla upiora było za wiele. Nie chciał ponownie przeżywać swej klęski, pamiętał dobrze, jak bestie odrywały mu kawałki ciała, podczas gdy on jeszcze żył. Wściekłe zaklęcia Eudesa nie mogły już przeciwdziałać galdrom Móriego, sam wielki mistrz bowiem nie pragnął teraz niczego innego, jak zniknąć z oczu szarżującym potworom.

Na ich oczach upiór zmienił się w niedużą wilgotną kupkę, od której buchnęła ostatnia cuchnąca fala zgnilizny. Zaraz mokra plama zniknęła, w powietrzu rozplynęły się także dziki. Nic nie pomagało, że brat Eudes zaklinał jak opętany.

- Spóźniłeś się - przerwał mu Móri potok słów. - Zabawa skończona. Jesteś zdolnym czarownikiem, lecz radzę ci, byś od tej pory trzymał się strony dobra.

Uwierz mi, naprawdę wiem, jaki los czeka złych czarnoksiężników. Odwiedziłem przedsionek śmierci i poznałem ich gorzki los. Nie ma dla nich nadziei, droga ku Wielkiej Światłości nigdy się przed nimi nie otworzy. Zawróć, bracie Eudesie, póki jeszcze jest czas.

Burgundczyk jednak tylko zacisnął zęby. W głowie miał jedną myśl: zdobyć Święte Słońce.

Kolejna porażka rycerzy stała się faktem.

Móri usiłował przemówić im do rozumu, spytał, dlaczego nie chcą współpracować, zamiast zwalczać tych, którzy posiadają bardziej rozległą wiedzę.

Rycerzom jednak nie mieściło się w głowie, że mogliby się z kimś podzielić skarbem. Słońce należało do nich, jego odnalezienie było sprawą honorową.

Cień w tym momencie miał wielką ochotę objawić się w całej swej postaci i powiedzieć dostojnikom kilka słów prawdy, wiedział jednak, że im mniej będzie się pokazywać, tym lepiej.

Bracia zakonni zwołali naradę. Pochylili się ku sobie, by wspólnie obmyślić następne posunięcia. Wreszcie zwrócili się do grupy stojącej u brzegu mokradeł i Lorenzo przemówił, lecz nie do Móriego czy innych z jego grupy, ale do pachołków rycerzy:

- Usuńcie tych nikczemników z brzegu bagniska! Zmuscie ich by weszli tu, na górę.

Pomocnicy usłuchali, grupa Móriego posłusznie ruszyła naprzód. Dość już mieli stania nad niebezpiecznymi mokradłami, a rycerze najwidoczniej bali się wpędzić ich na moczary. Jaśniejący Dolg wciąż budził ich obawy.

- Zatrzymać się! - Lorenzo dał znak służącym, kiedy podprowadzili już więźniów na skraj lasu. - Otoczyć ich i zatrzymać w tym miejscu! Strzelać tylko w wypadku, gdyby któreś próbowało uciec!

Wciąż ten sam respekt dla Dolga.

- A my, przyjaciele - zwrócił się Lorenzo do rycerzy - chodźmy na bagno z tego miejsca, gdzie wcześniej sta li więźniowie.

- Nie, nie róbcie tego! - zawołał Móri. - Możecie przyplącić to życiem.

- Mamy pochodnie - oburzył się Lorenzo. - Myślicie, że nie widzimy, gdzie znajdują się bagniste jamy?

Pachołkowie trzymali jeńców w szachu, wycelowawszy w nich pistolety. Utworzyli szczelny mur wokół grupki.

Móri i jego bliscy natomiast nie przejmowali się swoimi strażnikami, całą uwagę kierując na scenę rozgrywającą się przy moczarach.

- To się źle skończy - jęknął Dolg. - Co możemy zrobić, by ich powstrzymać?

- Niewiele - przyznał Móri, lecz mimo to podjął próbę. Zawołał głośno: - Panie Lorenzo! Nie rozumiał pan, że szanujemy pana na tyle, iż nie chcemy widzieć, jak pan i jego towarzysze umierają? Bagnisko to śmiertelna pułapka, nie wchodźcie na nie.

Lorenzo powinien był w tym momencie zrozumieć poprzednie błędne posunięcie: nie zmusił grupki czarnoksiężnika do wejścia na bagno, kiedy jeszcze był na to

czas. Wielki mistrz jednak miał pewną wielką wadę, a mianowicie był cholerykiem i kiedy już go ogarnęło podniecenie, zachowywał się niczym rozjuszony byk.

Przestał myśleć, miał przed oczami jeden jedyny cel: utorować sobie drogę tam, dokąd chciał pójść, odrzucając wszelkie, idiotyczne jego zdaniem, rady.

Ponadto, jak wszyscy zauważyli, tajemniczy Dolg wprowadził go w głęboki niepokój. Nagle Móri coś odkrył: między Lorenzem a dwoma książętami powstał jakiś konflikt.

Podczas gdy wielki mistrz wrzaskiem gromadził swój oddział, by sforsować bagno, obaj książęta nie ruszyli się ze wzgórza. Wraz z nimi zostali dwaj młodzi rycerze, Sixtus i Clements, oraz dwaj pachołkowie.

Lorenzo nawoływał ich krzykiem.

- Zaraz przyjdziemy - odparł gospodarz. - Przypilnujemy tylko więźniów. Sprawiają wrażenie niespokojnych, jakby mieli zamiar uciekać.

Nie było w tym ani krztyny prawdy, ale Lorenzo przyjął takie wyjaśnienie.

Na bagno nie szedł żaden z pachołków, z czego Móri bardzo się cieszył.

Większości pomocników wyznaczono zadanie pilnowania więźniów, dwaj pozostali z książętami, a reszta uciekła, zabierając kilka koni.

Nils Bórje leżał na ziemi sponiewierany, wciąż przywiązany do pnia świerka, lecz nikt nie miał czasu się nim zająć.

- Mówię po raz ostatni! - krzyknął Móri. - Nie zda jecie sobie sprawy, na co się porywacie, to bagno naprawdę jest zaklęte, ale nie przez nas, włada nim zła moc. Jacyś dwaj rycerze zatrzymali się z wahaniem, lecz Lorenzo zaraz przywołał ich do porządku.

- Nie słuchajcie tych bzdur! Rozumiecie chyba, że próbują nas odstraszyć od miejsca, gdzie znajduje się Święte Słońce. Jest ono prawdopodobnie ukryte gdzieś przy tej samotnej sośnie, w pobliżu leży kamienny blok, szukajcie pod nim, a zdobędziemy Słońce. Wspomnicie moje słowa!

Wstawał świt, bagno, nad którym unosiła się mgła, widać już było wyraźnie, za nim przez opary dostrzec się dało nawet Złą Górę. Czternastu rycerzy znajdowało

się teraz w miejscu, gdzie poprzednio stali Móri i jego towarzysze, zakleszczeni pomiędzy dwiema złymi siłami.

Lorenzo podniósł dłoń na znak, że mają wyruszyć na bagno.

- Nie! - jednogłośnie zaprotestowali Dolg i Ville - mann.

Lorenzo odwrócił się.

- Widzę, że czarnoksiężski pomiot się przejął. Później się wami zajmiemy - dokończył groźnie.

Ruszyli.

- Nie mam siły na to patrzeć! - Taran zasłoniła oczy dłońmi, lecz zerkała przez palce. Mariatta natomiast ukryła twarz na piersi Villemanna.

Nic się nie działo.

- Co to ma znaczyć? - mruknął Móri. - Czyżby Hiisi był ich sprzymierzeńcem?

Rycerze Zakonu Świętego Słońca kolejno wchodzili na mokradła, aż utworzyli długi szereg wijący się między okami wody. Wreszcie wszyscy znaleźli się na bagnie.

- Własnym oczom nie wierzę - szepnął Villemann. Czternastu posuwało się dalej.

Lorenzo, znalazłszy się spory kawałek od brzegu, odwrócił się i zawołał; chociaż wiatr porwał jego głos, zdołali rozróżnić słowa:

- I co teraz powiecie, kłamcy, oszuści? Chcieliście usunąć nas stąd podstępem, prawda? - nie skrywał triumfu. - Ale widzicie... Co to takiego? Co się dzieje?

Kilku rycerzy uderzyło w krzyk.

- Och, nie! - jęknął Dolg. - To już teraz.

Aż do brzegu dotarł straszny bulgoczący dźwięk, kiedy otwierała się otchłań w bagnie. Dwóch rycerzy już zniknęło, kilku innych chwiało się na nogach, macając wokół siebie w poszukiwaniu pomocnych rąk współbraci, lecz i ich pochłonęło bagno. Pociągnęli za sobą kolejnych. W miejscu, gdzie znikali rycerze, bagno zamykało się z pełnym zadowolenia młaśnięciem. Jacyś bracia próbowali biec, by jak najprędzej dotrzeć w bezpieczne miejsce, lecz na próżno. Wszystkich dosięgły czarnobrunatne połyskujące jamy, a ostatnie krzyki rozpaczły zmieniły się w

bezradne bulgotanie. Potem nastąpiła cisza.

Na ostatku kolej przyszła na Lorenza. Krzyczał i wrzeszczał do Móriego, błagał o pomoc, o jakieś zaklęcie, obiecywał niezwykle nagrody, byle tylko...

W końcu i pod jego stopami rozstąpiła się grząska ziemia i wielki mistrz Zakonu Świętego Słońca został wciągnięty w bezdenną głębię. Przez chwilę jeszcze nad wodą widać było rozpaczliwie wymachujące ręce, lecz i one zniknęły. Bagno zamknęło się nad nimi.

Zapadła przerażająca cisza.

Nikt nie mógł się poruszyć. Przeżyli ogromny wstrząs. Wprawdzie rodzina czarnoksiężnika spodziewała się takiego obrotu sprawy, lecz wcale go nie pragnęła. W końcu Taran szepnęła:

- Wiesz, Urielu, brakuje mi ich.

- Wiem, o co ci chodzi - mruknął w odpowiedzi. - Skończyła się pewna epoka.

- Nie całkiem - szeptem zauważył Villemann.

Popatrzyli na czterech rycerzy i ich dwóch pachołków. Książęta odzyskali rezon. Z dumnie podniesionymi głowami dosiedli swoich wierzchowców. Czterej pozostali pospieszyli za ich przykładem.

Książęta bez słowa podjechali do grupy uwięzionych, zatrzymali się na moment i szlachetnie skłonili głowy przed młodym Dolgiem. Potem, nie odwracając się już więcej, ruszyli ścieżką w las.

Brat Sixtus i brat Clements nie spojrzeli nawet w stronę więźniów, prędko dołączyli do czarnych rycerzy, za nimi pospieszyli pachołkowie. Pozostałych pomocników wprawiło to w całkowite oszołomienie, z rozdziawionymi ustami bezradnie patrzyli to na Móriego, to na grupę znikającą w lesie. Z czyjegoś gardła wydarł się przerażony szloch.

Móri podniósł rękę.

- Odejdźcie! I zabierzcie ze sobą konie, my już i tak mamy ich zbyt dużo.

Mężczyźni jednak nie słuchali, pozostawili więźniów ich własnemu losowi, zabrali tylko swoje wierzchowce i odjechali galopem, aż ziemia tryskała spod kopyt.

Móri i jego towarzysze byli teraz sami. Wraz ze zbyt wieloma końmi oraz Nilsem Bórje.

Dla niego jednak nikt wciąż nie miał czasu, tak wiele wydarzyło się naraz.

- Kto mówił, że moczary są brzydkie i straszne? - spytała Taran.

Rozejrzeli się dokoła. Niebo wciąż jeszcze miało szary odcień nocy, lecz zrobiło się już dostatecznie jasno, by wszystko można było widzieć wyraźnie.

Rozciągająca się przed ich oczami okolica wyglądała niewypowiedzianie pięknie.

Bagno sprawiało wrażenie niemal romantycznie rozmarzonego, idylliczne wręcz, cudownie delikatne barwy ziemi współgrały ze sobą w rozmaitych odcieniach.

Sosny na wzgórzu tworzyły niezwykle harmonijny wzór, a Zła Góra, stanowiąca teraz nieodłączną część tej scenerii, wcale nie wydawała się już groźna,

A przecież było to to samo miejsce. Wszystko jednak, co wcześniej wydawało się odpychające, stało się niezwykle urokliwe. Moczary potrafią wyglądać tak różnie.

Przepojone łagodnym cierpieniem i smutkiem, jak te, dumne i wyniosłe, piękne w swej pustce...

Villemann pytająco popatrzył na ojca.

- Czy mogę...?

Móri wiedział, o co chodzi synowi, skinął głową. Villemann podbiegł do brzegu bagna i ruszył jego skrajem.

- Nic już nie stawia oporu! - zawołał. - Bez kłopotu mogę iść dalej.

- Doskonale! Ale wracaj już, zastanowimy się, co te raz robić.

W momencie kiedy Villemann znów był przy nich, nastawili uszu nasłuchując.

Dobiegi ich jakiś dźwięk, z początku słaby, lecz przybierający na sile.

Las!

To szumiał las wokół szarego bagniska. Z koron drzew wzbijała się niezwykła pieśń, niczym chorał organowy, jak podczas burzy, a przecież wiatr ucichł.

Zdumieni w milczeniu upajali się niezwykłym zjawiskiem.

Mariatta pierwsza znalazła jego wytłumaczenie.

- Tapio! Władca lasu nam dziękuje, bagno zostało oczyszczone.

- To znaczy, że Hiisi rzeczywiście się wycofał - stwierdził Villemann.
- Czego innego, do diabła, mogłeś się spodziewać? - mruknęła Taran. - Żądał przecież ofiary.
- I rzeczywiście ją dostał - przyznał Móri, krzywiąc się z niezadowoleniem.
- Czy droga naprawdę jest wolna? - dziwił się Uriel.
- Na to wygląda - powiedział Móri przygnębiony.
- Możemy w to uwierzyć?

Taran wydała prawdziwy okrzyk wojenny.

- Znam odpowiedź! Potrafię stwierdzić, czy Hiisi wciąż tu jest, czy też nie.

Wszyscy popatrzyli na nią, zadowoloną z zainteresowania swoją osobą.

Naśladując dźwięki fanfar, podniosła do góry skórzane sakiewki z klejnotami.

- Nie boisz się? - hamował ją Uriel. - Pomyśl, a jeśli wciąż są nieprzejryste?

Tak jednak nie było. Niebieski szafir i czerwony farangil zajaśniały, roziskrzyły się na tle nieba.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Dolg. - Ale Hiisi przecież pilnował skarbu, Świętego Słońca, co będzie, jeśli tu wróci?

Nagle pojawiły się duchy. W czasie gdy ostatni rycerze i ich pachołkowie odjeżdżali, trzymały się w ukryciu.

- Hiisi już się tu nie pokaże - obwieścił Nauczyciel. - Pustka to sprawdziła. Hiisi odszedł, zniknął na zawsze. Znalazł się w tym miejscu, ponieważ jakiś czas temu w fińskich lasach mieszkali ludzie, którzy w niego wierzyli. Po ich śmierci Hiisi pozostał tu niczym przeżytek ponad wyznaczony mu czas. Teraz nikt już nie wierzy w jego istnienie, usunięto go z ludzkiej świadomości.

- No a Tapio? - wtrąciła się Taran.

- Tapio to po prostu inne imię lasu, i właśnie las wam przed chwilą dziękował.

- Rozumiem - powiedziała Taran dość niepewnym głosem.

Ze zmęczenia i wzburzenia nawet dorosłym, silnym mężczyznom zbierało się na płacz. Zdawali sobie jednak sprawę, że muszą spróbować myśleć jasno. Drżeli z zimna, lecz także i z napięcia.

- Czy tak po prostu możemy iść po Słońce? - spytał Villemann szcękając zębami.

- Nie sądzę - uśmiechnął się Nauczyciel, a jego zdeformowana twarz jeszcze bardziej się wykrzywiła. - Ale będzie wam znacznie łatwiej. Teraz, jednak jestem zdania, że powinniście wrócić do domu i wypocząć.

- Tak, przez jakiś czas poczuć się jak ludzie - westchnął Móri. - To doprawdy będzie boskie, jeśli wolno mi się tak paradoksalnie w tej sytuacji wyrazić. Budzący grozę Duch Zgasłych Nadziei również miał dla nich uśmiech.

- A ponieważ szafir znów jest przejrzysty...

- Tak - uradował się Villemann. - Możemy pomóc Mariatcie!

Niezmiernie się z tego ucieszyli, tylko sama Mariatta przyjęła wiadomość z powątpiewaniem. Ze zmęczenia ledwie trzymała się na nogach, czuła, że ostatnia noc znacznie nadwątlila jej siły i prawdopodobnie bardzo przyspieszyła rozwój choroby.

- Co zrobimy z tym tutaj? - spytał Uriel, ruchem głowy wskazując na Nilsa Bórje.

- Pozwolimy mu odejść - odpowiedział Móri. - Chodźcie, uwolnimy nieszczęśnika, dość zaznał upokorzenia w tej pozycji z nosem w ziemi.

Podeszli i zaczęli rozwiązywać sznury.

- A co z końmi? - zastanawiał się Dolg. - Mamy ich tu znaczną liczbę, poza naszymi własnymi. Chcesz je za trzymać, Mariatto?

Zmieszała się, być może trochę urażona. Nie spodziewała się, że Dolg przyjmie za pewnik fakt, iż ona zechce opuścić grupę.

- Nie, ja... zamierzałam... nie zamierzałam tu zostawać. Może wzięliby je moi sąsiedzi, którzy byli dla mnie tacy życzliwi. To piękne zwierzęta, gdyby je sprzedali, dostaliby za nie trochę grosza.

W tym momencie do rozmowy włączyli się Ludzie Lodu.

- Mogłoby to spowodować kłopoty, Mariatto. Jak zdołaliby się wytłumaczyć z posiadania takich drogich rasowych wierzchowców? Wzięto by ich za złodziei - stwierdził Tengel Dobry. - Dajcie im raczej dwa piękne okazy, a resztą pozwólcie nam się zająć. Niedaleko stąd mieszka ją Gripowie z Ludzi Lodu, odłam naszego

rodu. Nocą, żeby nikt nas nie widział, zaprowadzimy tam całe stado. Jazda konno na sposób elfów to najprzyjemniejsza rzecz, jakiej się nauczyliśmy - dodał z uśmiechem.

- Cudownie, że znów czeka nas przejażdżka - ucieszyła się Soi. - Można się tak przyjemnie pocierać.

Mariana lękliwie zerknęła na Nilsa Bórje, chcąc sprawdzić jego reakcję na taką frywolną wypowiedź, gdyż wciąż jeszcze tkwiły w niej resztki dawnego podporządkowania się mężowi. Ku swemu zdumieniu jednak pojęła, że on nie słyszy i nie widzi Ludzi Lodu ani duchów. Zresztą był dostatecznie przejęty własnym dramatem.

Gdy tylko usunięto mu knebel z ust, parokrotnie wciągnął głęboko powietrze i zaraz zaczął wszystkich łajać, szczególnie zaś Marię, z którą kiedyś postępował tak, jak mu się żywnie podobało.

- Nie podjęliście nawet próby, żeby... żeby... Zamiast mnie ratować, targowaliście się, próbowaliście zawrzeć z nimi ugodę. - Nie przebierał w słowach, a na koniec wyładował gniew na Marii. - Nie wyobrażaj sobie, że po tym, co się stało, będziesz mogła zatrzymać Jonasa. Mam pełne prawo odebrać to, co należy do mnie...

Mariana zaczęła się domyślać, jak będzie wyglądać jej przyszłość. Ani chwili spokoju, Nils Bórje gotów jest ścigać ją po całym świecie, jeśli tylko tego będzie trzeba, by odzyskał syna. Bynajmniej nie z miłości do chłopca, po latach spędzonych u boku tego mężczyzny doskonale zdawała sobie z tego sprawę, lecz ze względu na poczucie honoru i dumę rodową. Syn! Dziedzic! On, Nils Bórje, miał syna, i tym samym rodowa posiadłość była ocalona.

Popatrzyła na swych przyjaciół oczami rozszerzonymi przerażeniem.

- Macie miejsce jeszcze dla trojga w podróży? Villemann wypuścił powietrze z płuc.

- Oczywiście, Mariatto - powiedział grubym ze wzruszenia głosem. - Z wielką przyjemnością przyjmujemy was troje.

Inni uroczyście pokiwali głowami, również Dolg. Mariana poczuła, że wilgotnieją

jej oczy.

- Pójdę z wami, bez względu na to, dokąd zmierzacie. Rozumieli, że poczyniła ogromny krok naprzód. Ta ran serdecznie ją uściskała.

Nils Bórje nie przestawał wykrzykiwać wyzwisk, wszelkie ich poczynania traktował jako obelgi wymierzone w jego osobę. Wyraźnie nie miał świadomości, jak niewielką rolę odegrał w całym dramacie; zdawało mu się, że wszystko kręci się wokół niego.

Wreszcie Móri dość ostro nakazał mu, by zamknął usta i pozwolił im się skupić na ważniejszych sprawach.

Opuścili już bagnisko i wędrowali przez las.

- Proponuję, aby poszedł pan przodem, zabrał swego konia i nie awanturując się już więcej wrócił do domu - rzekł Móri. - Jeśli nie, dysponujemy innymi środkami, które sprawiają, że zapragnie pan raczej znów znaleźć się w rękach rycerzy.

- Właśnie, co się z nimi stało? - cierpko spytał Nils Bórje. - Chodzili po mnie, deptali, a w końcu odjechali. Słyszałem jakieś krzyki...

Uświadomili sobie, że Nils Bórje leżał twarzą do ziemi i nie mógł widzieć żalosego końca braci.

- Odeszli - krótko oświadczył Móri. - Możemy po wiedzieć, że uratowaliśmy pana przed nimi, w pewnym sensie. I co, pójdzie pan sobie stąd? W lesie Mariatty nie ma dla pana miejsca.

Doszli już do domu. Nils Bórje bezradnie przeniósł wzrok z chaty na Mariattę i na pozostałych członków grupy. W żadnym ze spojrzeń nie napotkał zrozumienia. Jego spojrzenie na byłą żonę natomiast mówiło wyraźniej niż słowa. „Poczekaj tylko, wrócę, jak ci twoi nędzni przyjaciele cię opuszczają!”

Bez słowa obrócił się na pięcie, przyprowadził swego konia i ruszył w drogę, dostojnie jak przystało właścicielowi ziemskiemu.

Odetchnęli z ulgą, kiedy zniknął za zagajnikiem.

- Chodźcie - powiedział Móri. - Wejdźmy do środka i bądźmy zwykłymi, prostymi ludźmi. Zjemy porządne śniadanie, a potem pójdziemy spać, spać. Uriel podniósł

rękę.

- Czy o czymś nie zapomnieliśmy?

Móri popatrzył na niego pytająco, ale zaraz się uśmiechnął.

- Oczywiście! Pora, Mario, byśmy przyjrzeni się tobie i twojej chorobie.

Mariatta ująwszy Villemanna za rękę ruszyła wraz z nim po schodach.

Pani wody powitała ich z uśmiechem ulgi. Musieli jej o wszystkim opowiedzieć, a Maria chciała, by dzieci spały jeszcze przez jakiś czas, dopóki oni nie doprowadzą się do porządku.

Razem z Taran przygotowały solidne śniadanie. Słońce weszło już i przebiło się przez warstwę mgły. Teraz, kiedy bagno znajdowało się daleko, mogli spokojnie o nim rozmawiać, a nawet troszkę żartować z wydarzeń, choć przecież wcale nie było im do śmiechu.

Tylko Dolg siedział milczący i przygnębiony. Przez całą noc zachowywał się bardzo powściągliwie, umieli mu to jednak wybaczyć. Zarówno on, jak i pozostali mieli świadomość, że właśnie jego czeka teraz najcięższa część pracy. To, co wydarzyło się dotychczas, było zaledwie uwerturą lub też raczej niepożądanym antraktem, który tak naprawdę nie miał związku z czekającym go zadaniem.

Dlatego właśnie jak tylko mogli starali się go w nic nie angażować. Pragnęli, by zachował siły na ostateczną rozgrywkę.

Podczas posiłku Villemann obserwował brata. Dłonie Dolga poruszały się niemal jak w transie. Villemann rozumiał, że brat się koncentruje, przemyśliwuje wszystko i najprawdopodobniej się boi. Z nich wszystkich Dolg najbardziej potrzebował długiego krzepiącego snu.

Najpierw jednak należało zająć się Mariatta.

Po skończonym śniadaniu, kiedy kuchnia już była posprzątana, weszli do tak zwanej paradnej izby. Móri poprosił Marię, by położyła się na sofie.

Usłuchała z lękiem. Nie wierzyła w to, że kiedykolwiek jeszcze będzie zdrowa. Nie śmiała wierzyć w obawie przed rozczarowaniem.

Dolg wyjął wspaniały niebieski szafir, zwrócony mu przez Taran. Wszyscy

zgrupowali się wokół Marii, która teraz poczuła się dość niepewnie. Kula? Co mogła działać wobec choroby? Wprawdzie dziadek mówił, że istnieją kamienie obdarzone niezwykłą mocą, lecz nie tak silną, by mogły uzdrowić śmiertelnie chorego. Co oni sobie myślą?

Seans najwidoczniej przeprowadzić miał Dolg, Mariana popatrzyła na niego. Jaśniejący blask, jaki bił od jego postaci nad bagniskiem, zniknął, a mimo to Dolg wciąż pozostawał niezwykłą istotą. Mariatta nie śmiała by go nawet nazwać człowiekiem.

Ale jakież on piękny! Jak nieskończenie piękny w swej absolutnej obcości.

Niesamowita istota, ale nie człowiek w dosłownym rozumieniu tego słowa.

- Gdzie cię najbardziej boli, Mariatto?

Zafascynował ją łagodny głos. Niemal jak pod wpływem zaklęcia wskazała na miejsca, w których ból najbardziej jej dokuczał. Choroby matki nigdy nie nazwano wprost, ale lekarz wspominał, że jeszcze inni ludzie w Szwecji na nią zapadają, chociaż nie tak wielu. W miarę jak Maria wskazywała bolące miejsca i wyjaśniała, Dolg przykładł roziskrzoną kulę do jej ciała. Wyraźnie czuła, jak strumień energii płynie przez stawy i wewnętrzne organy. W paru miejscach dotyk kuli sprawił jej ból, Dolg uznał to za dobry znak i tam właśnie przytrzymał szafir dłużej.

Kiedy już poddał działaniu kamienia całe jej ciało od stóp do głów, spytał, jak się czuje.

Jak obita - odrzekła.

- Doskonale, to znaczy, że moc szafiru podziałała, nie wstawaj, sami ułożymy się do snu. Villemann znajdzie dla ciebie okrycie i zostanie przy tobie. Prawda, braciszku?

- Oczywiście - odparł Villemann.

Mariana po jego głosie poznała, że nie ma nic przeciwko takiemu zadaniu.

Serce zaczęło jej uderzać mocno i nie miało to nic wspólnego z chorobą ani z działaniem szafiru.

Kiedy już zostali we dwoje, powiedziała:

- Ale przecież tu nie ma miejsca, żebyś się mógł położyć.
- Sofa jest szeroka, dość miejsca dla nas obojga, jeśli nie masz nic przeciw temu. Maria nie protestowała, ale słowa Villemanna wprawiły ją w zakłopotanie.
- Możemy leżeć w ubraniu? - spytała zawstydzona.
- Naturalnie. Nie miałem zamiaru nic innego proponować.

Wtedy zawstydzila się jeszcze bardziej.

Cudownie było poczuć ciało Villemanna przy swoim. Leżał zwrócony przodem do pokoju, Maria ułożyła się za jego plecami i przełożyła rękę przez jego klatkę piersiową. Czowała, że Villemann wciąż jest przemarznięty po nocy nad bagniskiem, usiłowała więc dać mu nieco ciepła, choć sama niewiele go miała.

Mariatta nie mogła zapomnieć widoku rycerzy znikających w straszliwych czeluściach bagna. Na wspomnienie ogarniały ją mdłości Ich los przywoływał w niej jakiś niejasny żal, myślała, że nie mogli być na wskroś źli Na pewno ktoś czekał na nich w domu, czekał na próżno.

Zdawała sobie sprawę, że zarówno Taran, jak i mężczyźni z grupy Móriego odbierali to podobnie, tyle że oni nauczyli się już tłumić podobne uczucia.

Domyślała się też, że wiedzą o podłości zakonnych braci znacznie więcej niż ona. Villemann mówił jej, że Cień, Lemurowie i Dolg są nieśmiertelni. Dolg - ponieważ tak długo znajdował się pod działaniem siły kamieni Villemann wspomniał także, że być może i on zdobył nieśmiertelność, ale pewności nie miał, chociaż nie było to wcale niemożliwe, od dłuższego bowiem czasu opiekował się niebieskim szafirem.

Tak wielu spraw nie rozumiała. Na samym początku wzięła ich historię za przechwałki, 'wiele jednak ujrzała na własne oczy, na przykład duchy. Jak wytłumaczyć ich istnienie?

Villemann powiedział coś, podniosła głowę, by lepiej słyszeć.

- Ogromnie mi przykro, że nie zrehabilitowałaś się w oczach ojca, Mariatto.

Znów opuściła głowę na poduszkę.

- Wiesz, dla mnie to nie ma znaczenia. Tak bardzo mnie zawiódł, kiedy naprawdę

potrzebowałam jego wsparcia, że zabrakło mi dla niego jakichkolwiek uczuć. Jak cudownie móc leżeć za plecami Villemanna, bezpiecznie, przy ścianie, z Nerem śpiącym na podłodze koło sofy. Poczula się cudownie rozluźniona, wprawdzie w głowie kręciło jej się ze zmęczenia, tym razem jednak było to dobre zmęczenie.

Być może Villemann chciał spać, może nawet już zasypiał, ale Marii cisnęły się na usta pytania, nie dające spokoju myślom.

- Te Wrota... Tak, tłumaczyłeś mi już to, ale czy to ostateczne?

- Tak, absolutnie, nie ma drogi powrotu, dlatego musisz mieć całkowitą pewność.

- Ja jestem pewna, ale czy słusznie postępuję wobec dzieci?

Przekręcił się nieco bardziej na plecy.

- Czy czeka je tutaj jakaś przyszłość? Zastanowiła się. Jego koszula, tak wspaniale miękka w dotyku, a pod nią ciepła skóra...

Sprawa naprawdę była trudna. Maria musiała się dobrze zastanowić.

Dwudziestojednoletni Villemann nie posiadał imponujących doświadczeń z przebywaniem tak blisko kobiety. Miał wielką ochotę objąć Mariattę, ogrzać ją, okazać, jak bardzo ją lubi. Zamiast tego odwrócił się plecami.

- Ja... chyba powinienem wstać - wyjąkał. - Muszę przyznać, że nie jestem przyzwyczajony do leżenia tak blisko dziewczyny. To... trudniejsze niż przypuszczałem.

Marię ogarnęło wzruszenie, przykro jej było, że nie może odplacić mu tą samą monetą, nie była tak czysta, nietknięta jak on. Wyszła przecież za męża, urodziła dwoje dzieci. Ach, Boże, jakże pragnęła w tej chwili, by nigdy nie spotkała Nilsa Bórje, by to właśnie Villemann był jej pierwszym mężczyzną.

Lecz z drugiej strony... nie miałyby dzieci. Bezbronnych wspaniałych dzieci, Grety, starszej siostry z całych sił próbującej zajmować się braciszkiem, chociaż sama cierpiała na brak miłości, i Jonasa, którego o mały włos nie zniszczył wymagający, niezrównoważony ojciec.

- Tak, jestem pewna - stwierdziła, nie wracając do ostatnich słów Villemanna.

Lepiej się w to nie zagłębiać. - Tak, uważam, że mam rację, zabierając dzieci ze sobą.

Villemann ujął jej dłoń w swoje, podniósł i delikatnie ucałował, z szacunkiem, czułością i oddaniem.

Co za mężczyzna, pomyślała znów ze wzruszeniem. Nils Bórje na początku znajomości także poświęcał jej wiele uwagi. Nigdy jednak nie był tak nieśmiały, nie traktował jej z takim podziwem jak Villemann. Nils Bórje zalecał się do niej z rutyną, nawet dość natrętnie, chociaż zawsze trzymali się w granicach przyzwoitości. Ale starając się o nią nieodmiennie całym sobą oznajmiał: „Jesteś moja”.

A Villemann pragnął tylko jej dobra, dawać znaczyło dla niego więcej niż brać. Villemann, prawdziwy przyjaciel. Jak wspaniale mieć przyjaciela, kogoś, kto zawsze jest na miejscu w chwili, kiedy się go potrzebuje, godnego zaufania, szczerego i czulego.

Nie zdawała sobie sprawy, że się uśmiecha. Znali się przecież tak krótko, ale Maria już wiedziała, że zakochała się w tym chłopcu.

W chłopcu? Zdarzały się chwile, kiedy wykazywał większą odwagę i roztropność niż dojrzały mężczyzna. To jego wygląd, beztroskie usposobienie wywoływały wrażenie chłopięcości. Maria jednak wiedziała, że Dolg miał rację, Villemann naprawdę był wrażliwy.

Najwyraźniej nie zamierzał* jeszcze zasypiać. To dobrze, bo ją ogarnęła taka wielka ochota na rozmowę. Villemann powiedział przez ramię:

- Jak wolisz, żeby się do ciebie zwracać, Maria czy Mariatta?

- Wolę, kiedy ty i twoja rodzina nazywacie mnie Mariana, to bardziej intymnie.

Maria to imię dla obcych, bardzo niewielu ludzi zna moje fińskie imię.

Villemann na moment umilkł.

- A jak nazywał cię Nils Bórje?

- Maria. Nigdy inaczej. Uważał, że Mariatta jest śmieszne.

- A więc Mariatto - zdecydowanie rzekł zadowolony z siebie Villemann. Nie znosił

tego Nilsa Bórje. Pomijając ogólnie nie budzący sympatii charakter tego człowieka, w wypadku Villemanna w grę wchodziła także wcale niemała zazdrość.

- Nie potrafię zrozumieć, jak mogłaś kochać go tak długo - oświadczył, odwracając się na brzuch, żeby móc na nią patrzeć.

Mariana zamyśliła się.

- Chyba raczej należałoby to nazwać lojalnością. Z natury jestem lojalna, no a on okazał mi dobroć, wybierając właśnie mnie.

Villemann jęknął głośno.

- Przecież nie był dla ciebie dobry.

- Nie, nie był, ani dla mnie, ani dla dzieci, ale... jeszcze w domu przywykłam do tyranii ojca, myślałam, że tak właśnie powinno być. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty i twoja rodzina, chociaż... ród matki.

Pograżyła się w myślach, ale fizyczna bliskość chłopaka i na nią zaczęła działać.

Nagle nie mogła spojrzeć mu w oczy, nie zdradzając, co czuje.

- Patrzę przecież na Taran, ona jest taka swobodna, i wy to wszyscy akceptujecie, to naprawdę fantastyczne.

- Nie znamy innego życia - odparł Villemann. Również na niego bliskość Marii działała intensywnie. - Uriel także wie, że Taran może być swobodna, właśnie dlatego, że nigdy nie nadużyłaby tej wolności. Możesz mi wierzyć lub nie, ale wobec siebie samej Taran stosuje straszliwie surowy kodeks moralny.

- Wierzę ci, wierzę - mruknęła Maria.

- Tak, ty jesteś lojalna - powiedział Villemann. - Taran także, ale ty jesteś przytłumiona, ona nie.

- Tak, na tym polega różnica. Villemannie, pozwól mi stać się częścią waszego świata.

- Już w nim jesteś - uśmiechnął się z czułością, nie dając poznać, że właściwie mu się oświadczyła, chociaż nie wprost. Gdyby zdawała sobie z tego sprawę, na pewno bardzo by się zawstydzila.

- Ojciec ogromnie cię ceni, traktuje cię jak kolegę po fachu. Taran, niezwykle

wymagająca jeśli chodzi o dobór przyjaciółek, o, ona naprawdę potrafi pokazać pazury, polubiła cię. Podobnie Uriel.

- A... Dolg?

- Dolg? - powtórzył Villemann z namysłem. - Jego myśli nie zna nikt.

- Bardzo chciałabym zostać jego przyjacielem.

- Sądzę, że już nim jesteś.

Twarz Marii rozjaśniła się w uśmiechu. Villemann, zafascynowany, wpatrywał się w jej usta, tak bliskie. Czuł, że to nie w porządku, że powinien wstać i iść na długą orzeźwiającą przechadzkę do lasu, ale nie mógł się na to zdobyć.

Ucieszył się, kiedy Maria słowami sprawiła, że czar prysnął.

- Villemannie, od dłuższej chwili już nic mnie nie boli.

- Co ty powiesz? To wspaniale.

- Moje ciało jest takie lekkie - mówiła zachwycona. - Mogę oddychać bez kłopotu, stawy już mi nie doku czają. Myślę...

- Niebieski szafir jest naprawdę fantastyczny.

- Rzeczywiście tak musi być, chociaż trudno mi w to uwierzyć.

Na twarzy Villemanna odmalował się uroczysty wyraz.

- I właśnie dlatego zdradzę ci pewną tajemnicę. Coś, o czym nigdy nie śmieliśmy rozmawiać. Czy uważasz się teraz za jedną z nas?

- Tak - odparła wzruszona. - Mów.

- Kiedy Dolg miał... nie pamiętam już, jakieś dwanaście lat, to nieważne, wtedy zmarł nasz ojciec. Naprawdę, przeszył go miecz. Duchy utrzymywały go przy życiu w przedśionku śmierci do czasu, aż Ciebie pomógł Dolgowi odnaleźć niebieski szafir. I właśnie cudowna kula przywróciła Móriego do życia.

- Dobry Boże - szepnęła Maria. - To znaczy, że być może i dla mnie jest nadzieja.

- Przypuszczam, że już jesteś zdrowa, moja droga. Maria przez chwilę leżała nieruchomo, wsłuchując się we własny organizm.

- Mnie się też tak wydaje - powiedziała cicho. Zapadło milczenie.

- Mariatto - mruknął Villemann. - Wydaje mi się, że niedobrze dla mnie jest tak

leżeć.

- Dla mnie także - pisnęła.

- Czy wybaczysz, jeśli znów się od ciebie odwrócę?

- Oczywiście, ale może chcesz zmienić pozycję, to ja mogę się odwrócić do ściany, a. ty za. mną.

- Nie - jęknął na samą myśl. - Nie, uważam, że to absolutnie nie będzie dobre.

- No tak, chyba masz rację - przyznała po namyśle. Delikatnie pogładził ją po policzku. Z oczu biła mu miłość i czułość, jakiej nigdy nie widziała u Nilsa Bórje. Boże! Pozwól, abym nigdy nie straciła tego człowieka, błagała w duchu.

Wiedziała, że pójdzie za nim wszędzie. Wszystko jedno, dokąd ją poprowadzi.

Ułożyli się tak jak na początku. Nie odwracając się więcej, bo bardzo się tego bał, Villemann przyciągnął ją bliżej, upewnił się, czy jest jej wygodnie. W zagłębieniach kolan czuł jej kolana, na plecach piersi. Uśmiechnął się szczęśliwy.

Maria powiedziała coś wesoło, odkryli, jak wspaniale jest móc się razem śmiać w poczuciu łączącej ich bliskości i jak bardzo właśnie to umacnia miłość między dwojgiem ludzi.

W świetle dnia zapadli w sen.

Dolg obudził się po południu. Dzień pławił się w słońcu, jak gdyby wszystko co złe i ponure odeszło wraz z Zakonem Świętego Słońca. Droga przed synem czarnoksiężnika i jego przyjaciółmi stała otworem.

A jednak czuł przygniatający mu piersi ciężar, który nie opuszczał go od dnia, kiedy żegnał się z matką, zdawałoby się całą wieczność temu, w Austrii.

Niepokoili go słowa Tiril.

„Boję się, Dolgu”, szepnęła na pożegnanie. „Czuję lęk o jednego z moich synów, nie wiem, którego to dotyczy, nie mogę stracić żadnego z was”.

Dolg rozumiał, o co matce chodzi. Jego także nie opuszczał ów lęk, chociaż nigdy nie chciał o tym rozmawiać.

„Uważaj na siebie, Dolgu”, prosiła Tiril. „I opiekuj się bratem, on bywa taki lekkomyślny”.

Przyrzekł, że dopilnuje Villemanna. Teraz jednak tylko uśmiechnął się, cieszył się, że młodszy brat znalazł swoją drugą połowę, wszak od wielu lat za nią tęsknił.

Dobrze, że stało się to, zanim...

Dolg urwał w myśli zdanie. Zanim opuszczą Ziemię? Nie chciał sięgać aż tak daleko. Jeszcze nie. Najpierw wypełni zadanie, dokona tego, do czego został powołany na świat, a potem niech się stanie to, co stać się musi, niech nadejdzie ten inny czas, inne życie.

Dla Dolga zadanie zawsze stanowiło granicę. Za nią nie widział już nic. Ostatnio jednak dość często myślał o Wrotach. Śniły mu się, zastanawiał się nad nimi.

Zobaczyć, jak też jest po ich drugiej stronie...

Czysta ciekawość, na takie uczucie nie mógł sobie pozwolić.

Spostrzegł, że ojciec już wstał. Dolg wyciągnął się w łóżku, wyczuł palcami stóp kołdrę, przyjemność sprawiało mu ciepło, jakie dawało okrycie. Rozgrzana od snu skóra lekko kleiła się do prześcieradła, lecz nie było to nieprzyjemne. Dolg nie wiedział, że jako jedyny dostał prześcieradło i powłóczkę na poduszkę, a także najlepszą kołdrę. Najbliżsi starali się troskliwie nim opiekować, bo większość wstępnych przygotowań niedługo już będą mieć za sobą. Reszty mógł dokonać tylko on, nikt inny.

Dolg poczuł swoje ciało między prześcieradłem a kołdrą. Bardzo rzadko uświadamiał sobie jego istnienie, zawsze odpychał podobne myśli. Wyciągnął teraz nogi, świadom poruszających się w nich mięśni, podniósł ręce i także je wyciągnął, wsunął z powrotem pod kołdrę i powiódł dłońmi po nagim ciele.

Wiedział, że jest piękne. Niesłychanie kształtne, pokryte jedwabistą matowo - połyskującą skórą. Ze zdumieniem odkrył, jak przyjemnie jest gładzić dłońmi szyję i kark, dotykać skóry piersi, płaskiego umięśnionego brzucha i ud.

Tak, jestem człowiekiem, pomyślał, nic innego nie jest możliwe, wszak splodziło mnie dwoje ludzi, lecz Lemurowie potajemnie włączyli w moją krew swoje cechy, dlatego jestem do nich taki podobny. Wywarło to na mnie ogromny wpływ, być może nawet większy, niż przypuszczają ludzie. Zdarza się, że nawiedzają mnie

myśli nie mające nic wspólnego z tym światem. Skąd się biorą? Skąd kiedyś, tak nieprawdopodobnie dawno temu, przybyli tutaj Obcy, ci, którzy uczynili z Lemurów cywilizowanych ludzi wśród prymitywnych, przypominających zwierzęta plemion? To myśli Obcych czasami do mnie docierają, przejmują echo z innej ojczyzny, nie z Lemurii, lecz z jeszcze dawniejszych czasów. Pojawiają się jakieś inne pejzaże, inne stworzenia. To dlatego czasami tęsknię za domem, nie wiedząc, czym jest ów dom ani gdzie się znajduje.

Chcę zobaczyć, co jest za Wrotami.

Dłonie Dolga zaniechały wędrówki po skórze. Leżał cicho, rozmyślał.

Dobrze wiedział, że istnieje również świat miłości między mężczyzną a kobietą. Zmysłowość, pożądanie... Ta strona życia jednak nigdy go nie niepokoiła, zawsze zachowywał pełną kontrolę nad podobnymi myślami i uczuciami. Jeden jedyny raz zbliżył się z kobietą, z Hallą na Islandii, ona jednak była tylko przyjacielem, nikim więcej. Zdarzało się, że tęsknił za jej towarzystwem; tak dobrze się rozumieli. Ani ona jednak, ani żadna inna nie pociągała go fizycznie.

I tak lepiej, dzięki temu kiedy stanie u celu swego życia, nie będzie z nikim związany.

Raz kiedyś, gdy miał kłopoty z pewną kobietą, poruszył ten temat w rozmowie z Cieniem, pytał, dlaczego właśnie jego nie pociąga zmysłowość. Cień popatrzył surowo, jakby nie podobała mu się jego własna odpowiedź: „To ja ponoszę za to winę, mój przyjacielu. Stało się to wtedy, gdy sporządziłem wywar, który podałem Móriemu. Musisz mnie zrozumieć, nie chciałem, aby na świat przyszło jeszcze więcej potomków Lemurów. Widziałem, jak cierpią z powodu właściwości, którą obdarzyli ich Obcy i Słońce: oni nie mogli umrzeć naprawdę, w końcu życia zmieniali się w... błędne ogniki, bezustannie tęskniące za krainą, z której przybyli Obcy. Dlatego właśnie zabiłem w tobie potrzebę bliskości kobiet”. Dolg pokiwał wtedy głową zasmucony. Wiedział, że za przyczyną krwi płynącej w jego żyłach również jego dzieci przybrałyby kiedyś postać błędnych ogników.

A wówczas droga do Wrót już by nie istniała.

Wrócił myślą do pewnego zdarzenia, kiedy to kobieta sprawiła mu kłopoty. Działo się to w Austrii. Całą rodziną wyjechali do Wiednia i krewni babci Theresy zaprosili ich na wieczór pełen rozrywek. Występowali wówczas najlepsi śpiewacy i tancerze w mieście, wśród nich młoda śpiewaczka, niezwykle popularna ze względu na swą urodę i żywe usposobienie. Doskonale zresztą zdawała sobie sprawę ze swych zalet. Panowie krążyli wokół tego smacznego kąska niczym chmara much, a ona ze śmiechem flirtowała i pozwalała się uwodzić, kokieteryjnie uderzała wachlarzem po palcach, błyszczała.

Gdy jej wzrok padł na najprzystojniejszego młodego człowieka na sali, który w dodatku nie poświęcił jej ani spojrzenia, w jednej chwili miała plan gotowy. Podbije jego serce, będzie się przed nią czołgał na kolanach i błagał, by zgodziła się spędzić z nim noc.

Ale Dolg wcale nie był tym zainteresowany. Wszystkie podstępne próby panny, podejmowane pod osłoną skromności, jakby odbijały się od ściany.

Rozdrażniło ją to jeszcze bardziej, postanowiła, że musi zaciągnąć młodzieńca do łóżka. Pomysł najwidoczniej ją podniecił, bo pod koniec wieczoru zapomniała o wstydlivości, odsłaniała kostki i pochylała się tak, by musiał zajrzeć w głęboko wycięty dekolt. Dolg zorientował się, że Villemann czuł się nieswojo, obserwując takie zachowanie dziewczyny. I zresztą nie tylko Ville - mann je zauważył.

Ale kiedy inni młodzi mężczyźni usiłowali się zanadto do niej zbliżyć, odpychała ich gniewnie. Nie miała czasu na takie głupstwa. Wieczór dobiegł końca i Dolg odetchnął z ulgą. Poszedł do swojego pokoju i nie zapalając świecy rozebrał się w mętnym świetle latarni przed domem. Wiał wiatr, w pokoju królowały migotliwe cienie.

W łóżku leżała piękna śpiewaczka, naga, jak ją Pan Bóg stworzył.

Dolg jeszcze w połowie ubrany poprosił, by wyszła, ale ona tylko wysunęła białą rękę i przyciągnęła go do siebie. Wyrwał dłoń z uścisku i uprzejmie, acz zdecydowanie oznajmił, że z uwagi na swoje dobre imię powinna opuścić pokój. Powiedział, że odwróci się tyłem, kiedy ona będzie się ubierać.

Kobieta odrzuciła koldrę pokazując wszystko, co miała do pokazania. Na Dolgu nie zrobiło to żadnego wrażenia, czego zresztą nie omieszkiał jej powiedzieć.

Teraz jednak nie krył oburzenia.

Panna spytała kokieteryjnie: „Ponieważ przejawiamy taki upór, podejrzewam, że być może bardziej interesują nas mężczyźni?”

„Nie”, odparł Dolg, a wtedy ona znów usiłowała zwabić go do siebie, sprawdzić, czy rzeczywiście pozostaje taki niewzruszony, jak chciał się wydawać.

Tego jednak było już dla Dolga za wiele. Łagodnie, lecz stanowczo wyciągnął śpiewaczkę z łóżka, wręczył jej ubranie i wyrzucił za drzwi, tłumacząc, że dla własnego dobra powinna zachowywać się przyzwoicie. Miał na głowie sprawy daleko ważniejsze niż rozchichotane panny.

Zamknął za nią drzwi na klucz.

Słyszał jeszcze, że dziewczyna stoi w korytarzu, łkając z gniewu i upokorzenia. Z początku zamierzała chyba walić z wściekłością w drzwi i wykrzyczeć mu drwiące słowa, potem jednak Dolg zorientował się, że wkłada suknię, mrużąc coś pod nosem. Odeszła. Na pewno myślała sobie, że jeśli jest taki głupi, to ona nic na to nie poradzi. Następnego ranka Dolg zatroszczył się o to, by jak najwcześniej opuścić ten dom.

Oczywiście nie po raz pierwszy spotkał się z takim zainteresowaniem ze strony kobiet, ta panna jednak dokuczyła mu najbardziej.

Nie poprawiła swojej opinii, próbując później oskarżać go o gwałt - podobną historię opisano w Biblii - napotkała jednak zdecydowany opór. Zbyt wielu ludzi mogło zaświadczyć na korzyść Dolga, wycofała więc oskarżenie i było to chyba najmądrzejsze posunięcie, jakie mogła zrobić.

Teraz, leżąc w łóżku w leśnej zagrodzie Mariatty, zastanawiał się, czego pozbawił go Cień. Owszem, widział gwiazdy, jakie miłość zapala w oczach zakochanych, doskonale jednak zdawał sobie również sprawę, że przyczynia ona wiele smutku, niepokoju, niepewności i rozpacz.

Być może więc mimo wszystko powinien się uważać za uprzywilejowanego,

choć czasami odczuwał pustkę, której nie potrafił wytłumaczyć? Szukał wtedy milczącego towarzystwa Nera, a gdy ogarniała go melancholia, zabierał przyjaciela na długi spacer.

Na Nera zawsze mógł liczyć, nikt tak jak pies nie znał jego nastrojów. Oni dwaj zawsze pozostawali doskonale zgrani. Dolg nie potrzebował nawet nic mówić, Nero i tak rozumiał.

Samotność jednak niejednokrotnie dokuczała Dolgowi. Samotność i poczucie obcości w świecie. Jako dziecko, czując dystans dzielący go od ludzi, płakał we śnie. Znajdował zwykle wsparcie u rodziny, matka prędko odkryła jego rozterki, Villemann także, zwłaszcza ostatnio bracia stali się sobie niesłychanie bliscy. Oczywiście Ciebie i czworo Lemurów rozumiało jedną ze stron jego życia. Dolg czuł, że łączą ich silne więzy, lecz przecież on nie był prawdziwym Lemurem. Był... niczym?

Nie, to za mocno powiedziane. Już chyba raczej czymś pośrednim.

Nie, tak nie można. Dolg wstał z łóżka i przygotował się na spotkanie dnia, którego przecież większa część już minęła.

Niepokój wciąż go dręczył, chociaż usiłował stłumić go, myśląc o tym i o owym. To oczywiste, że jestem dzisiaj niespokojny, to bardzo naturalne, starał się przemówić sobie do rozsądku.

Na nic się to jednak nie zdało.

W kuchni zastał ojca wraz z innymi. Kolejny raz Dolga uderzyło to, co dostrzegał przez całe swoje życie, a co w ostatnich dniach jeszcze się wzmogło: osobliwy ogromny dystans, jaki go dzielił od najbliższych mu ludzi. Nigdy jeszcze nie czuł się tak samotny jak tego dnia. Zrozumiał to dopiero, kiedy przyłączył się do grupy. Rozpoczęło się jego zadanie.

Dzieci przyglądały mu się onieśmiałe, chociaż spotkały go już wcześniej.

Uśmiechnął się tylko z roztargnieniem i pomógł Jonasowi wejść na ławę, zdumiony, że ściska go w gardle jakaś nie znana dotąd tęsknota. Prędko się z niej otrząsnął. Chłopczyk z początku nie krył przerażenia jego bezpośrednią

bliskością, ale dzieci bardzo często akceptują rzeczy niezwykle, jak gdyby żyły w baśni. Z drugiej jednak strony wiele dzieci atakuje właśnie tych, którzy nie są podobni do innych, a wtedy nikt nie potrafi być bardziej bezlitosny niż one. Greta i Jonas jednak do takich się nie zaliczali, zostali niezwykle surowo wychowani, a poza tym najwidoczniej odziedziczyli po Mariatcie łagodne i pełne życzliwości usposobienie.

Córka Mrozu? Jakież to niewłaściwe określenie, jakie krzywdzące.

- Ojciec - poprosił Dolg - czy możesz iść ze mną na moczary?

Pozostali zdrętwieli. Dlaczego o nich się zapominało?

- Żeby sprawdzić teren? - spokojnie spytał Móri.

- Tak, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej, za nim zaczniemy szukać na poważnie. Nie, nie zapomniałem o was - prędko uśmiechnął się Dolg. - Możecie przyjść za godzinę, to tylko wstępne rozpoznanie. Chcę mieć absolutną pewność, że jest to naprawdę właściwe miejsce.

- Wątpisz w to? - zdziwił się Uriel.

Dolg zawahał się, w jego oczach pojawił się smutek, który pozostałym bardzo się nie spodobał.

- Nie, ale przecież nie wiemy, w którym dokładnie miejscu może znajdować się Słońce i Wrota. Chciałbym to sprawdzić w spokoju, kiedy wokół mnie nie będzie zbytniego zamieszania. Wyczuć to w koniuszkach palców, skupić się tylko i wyłącznie na tym. Z kolei wołał bym nie iść tam zupełnie sam, potrzebuję wsparcia kogoś, kto zna inne światy, inne wymiary, dlatego uznałem, że najlepiej, jak ojciec będzie mi towarzyszył.

To rozumieli bardzo dobrze.

- Ale nie odważcie się odnajdywać Słońca - pogroził Villemann. - Nie wolno wam tego robić bez nas.

- Oczywiście, że nie - ciepło uśmiechnął się Dolg do brata. - Kiedy tylko okrążymy cały obszar, przerwiemy poszukiwania i zaczekamy na was.

- Przyjmujemy - odparł Villemann. Dolg i Móri już mieli wychodzić.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała Taran miękkim głosem. - Czy o czymś nie zapomnieliście?

Popatrzyli na nią pytająco.

- Proszę! Może byście tak wzięli ze sobą kamienie? Dolg roześmiał się.

- Czasami, kochana siostrzyczko, masz naprawdę genialne pomysły.

- Czasami, braciszku, nawet ty potrafisz dokonać oczywistego odkrycia - cierpko odparła Taran. Nigdy nie odznaczała się nadmierną skromnością.

Móri i Dolg wyszli na dziedziniec. Na moment przystanęli, napawając się ciepłem popołudnia, blaskiem słońca, realnym światem.

- Wiesz, kogo mi brakuje, ojcze?

- Tak, matki.

- Właśnie.

- Uwierz mi, synu, mnie także. Powinna być tu z nami.

Móri wiedział, że Dolg nigdy nie czepiał się matczynej spódnicy. Tęsknił za Tiril jako towarzyszem i człowiekiem.

- Wezwiemy ich, kiedy tylko dowiemy się czegoś więcej - obiecał Móri. - Tiril i wszystkich innych z Theresenhof, wszystkich tych, którzy zechcą przyjechać. Wy korzystamy jazdę, jakiej nauczyły nas elfy.

Dolg uspokojony kiwnął głową.

Móri patrząc na syna czuł, jak serce ściska mu się w piersi. On ma dwadzieścia trzy lata, jak można żądać, by poradził sobie z tym niesłychanie trudnym zadaniem, z zadaniem, którego tak naprawdę jeszcze nie znamy?

Dzieci stały w oknie i wyglądały za idącymi ścieżką.

- Tak ich dużo - powiedziała Greta.

Dorośli zgromadzeni w kuchni podeszli do malców. Wyrzeli przez okno i zobaczyli, że Cień i czworo Le - murów przyłączyło się do mężczyzn.

- Można się było tego spodziewać - powiedziała Taran.

- To bardzo słuszne z ich strony - stwierdził Uriel.

- To znaczy, że dzieci ich widzą? - zdumiała się Maria.

- Oczywiście - odparł Villemann. - Nie zrozumiałaś tego jeszcze, Mariatto? Twoje dzieci należą teraz do nas, Lemurowie zaakceptowali je jako część rodziny.

Mariana uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

Moczary tego dnia wyglądały całkiem inaczej. Świeciło słońce, wśród rzadkich sosen nie unosiły się opary mgły, Złą Górę po drugiej stronie widać było całkiem wyraźnie.

- Fakt, że to wzniesienie nosi nazwę Złej Góry, mu si oznaczać, że i ono cieszyło się kiedyś złą sławą.

- Przypuszczam, że teraz również zostało oswobodzone - rzekł Dolg. - Hiisi pilnował wszak moczarów ze wszystkich stron.

- Mmm - mruknął Móri sceptycznie. - To się nie zgadza, Dolgu, pamiętaj, co powiedział sąsiad Mariatty. Twierdził, że po drugiej stronie jest tak samo źle, że tamtędy także nie da się przejść.

- Chcesz powiedzieć, że to góra była strzeżona, a nie moczary?

- Właśnie. Moczary ciągną się wszak przed wzniesieniem, a przed moczarami nie było żadnych przeszkód.

- Masz rację. - Dolg popatrzył na górę. - Chodźmy tam. Zrobił krok w stronę moczarów i zatrzymał się w pół ruchu.

- Nie.

Móri wiedział, o co mu chodzi. Żaden z nich nie miał ochoty wchodzić na piękne teraz mokradła. Nie chcieli stąpać po grobie czternastu braci zakonnych.

Bez słów zrobili krzyż i ustawili go przy brzegu bagniska. Niektórzy z braci mogli być chrześcijanami, poza tym obu im żal było niewinnych krewnych zmarłych.

Na modlitwę jednak nie mieli czasu, poprzestali jedynie na chwili milczenia, krzyż musiał wystarczyć.

Cień, nawet jeśli się niecierpliwił, nie okazał tego.

Ruszyli wokół moczarów przez las, w którym poprzednio uwięziły ich szpony Mrozu.

Teraz wśród drzew panował spokój, bez przeszkód minęli jeziorko i chwilę później

po raz pierwszy stanęli u stóp góry. Lemurowie, niesłuchanie spięci, przez cały czas trzymali się z tyłu.

Dolg bez entuzjazmu popatrzył na stromą skałę.

- Wysoka - stwierdził beznamiętnie.

- Owszem, wyższa niż można się było tego spodziewać. Sprawia wrażenie całkiem niedostępnej. - Móri spojrzał na syna. - Wyczuwasz coś?

- Właściwie nie. Wyjmijmy kamienie.

W przeciwieństwie do ludzi cudowne kule bez wątpienia, wręcz namacalnie coś odbierały.

Lśniły i iskrzyły jak nigdy dotąd, wysyłały promienie odbijające się od skalnej ściany.

Nie zbiegały się jednak w żadnym punkcie.

- Cieniu - poprosił Dolg. - Będziesz musiał jeszcze raz opowiedzieć, co się tutaj wydarzyło. Wskaż nam wszystkie miejsca.

- No tak - Cień przeciągał słowa. Zanim zaczął mówić, rozglądał się i badał okolicę. - Jak już wspominałem, wiele się tutaj zmieniło, zresztą nic w tym dziwnego. O ile dobrze pamiętam, góra była wyższa.

- Jeszcze wyższa? - zdziwił się Móri. - Ale to znaczy, że ziemia musiała się podnieść.

- Tak, brzeg morza. I również większa odległość dzieliła morze od skały, ale to jest to samo miejsce, poznaję pewne fragmenty ściany, chociaż wówczas wznosiły się wyżej.

- O ile wyżej? - dopytywał się Dolg. Cień mierzył odległość wzrokiem.

- O wiele łokci - stwierdził wreszcie. - Dokładnie po wiedzieć nie potrafię, pamiętajcie, że byłem bliski utraty przytomności ze zmęczenia.

Móri zadał niezwykle ważne pytanie:

- Ów cokół, czy też stos kamieni, na którym umieszczono Słońce... Jak blisko skały się znajdował?

Cień jeszcze przez chwilę się zastanawiał.

- Nie umiem powiedzieć, ale przypuszczam... Zbliżył się nieco do „plaży”.

Zatrzymał niepewnie.

- To musiało być mniej więcej tutaj, w granicach mokradeł.

- Na samym bagnisku?

- No tak. Pamiętajcie jednak, że w tym miejscu widziałem rusztowanie, ale to wcale nie znaczy, że Słońce jest właśnie tu ukryte.

Móri był zdezorientowany.

- Cieniu - zaczął nieśmiało. - Wydaje mi się, że zaczynamy się gubić. Posłuchaj! Słońce otworzyło Wrota, twoi pobratymcy przeszli przez nie, nie zabierając kuli ze sobą. A teraz mówisz, że ona nie została na rusztowaniu. W jaki sposób zdążyli ją ukryć przed zamknięciem się Wrót?

- Masz rację, przyjacielu, tak być nie mogło, bo przez Wrota trzeba przejść w momencie, gdy padają na nie promienie Słońca lub też zabierając Słońce ze sobą. To znaczy, że ktoś musiał zostać tutaj, by ukryć kulę. Ale przecież nie było już nikogo, kto byłby tego godzien.

- Może któryś z najświętszych?

- Och, nie, wszyscy zdecydowali się przejść na drugą stronę.

Nikt nic nie powiedział, popatrzyli tylko na siebie, zastanawiając się nad tym samym: kim była owa wysoka postać, którą, jak się Cieniowi wydawało, dostrzegł w pulsującym, ostrym blasku Słońca?

Co też mówił Cień? „Na brzegu mogła być jakaś obca istota, z której pomocy skorzystali moi pobratymcy, mogli ją wyczarować przy użyciu magii lub też przywołać z jakiegoś miejsca w pobliżu”.

No tak, to miejsce... Jedne z Wrót na Ziemi znajdowały się baśnie tutaj.

I są tu nadal. Jeśli tylko uda im się je odnaleźć... Móri powziął decyzję.

- Obiecywaliśmy się tylko rozpatrzyć - przypomniał. - Nie szukać Słońca, dopóki nie będą z nami wszyscy. Wracajmy teraz do domu.

- To brzmi rozsądnie - kiwnął głową Cień. - Jestem przekonany, że to właściwe miejsce, zresztą wskazuje na to również zachowanie kamieni. Zrobiliśmy już tutaj,

co w naszej mocy, ale... czy powinniśmy rozpoczynać poszukiwania dziś wieczorem? Wkrótce się ściemni.

Móri uśmiechnął się.

- Miałem zamiar zaproponować, abyśmy sprowadzi li tutaj wszystkich zainteresowanych przejściem przez Wrota. Co prawda Słońca na razie nie znaleźliśmy, ale przywołanie ich wymaga czasu, nawet pomimo konnej jazdy na sposób elfów. Powiedzmy więc jutro rano...?

- Doskonale - zgodził się Cień. - Wobec tego przyjdziemy tu jutro.

Dolg poczuł się trochę pozostawiony na uboczu. Gdzie w tym wszystkim było miejsce na jego zadanie?

Wieczorem zebrali się przed domem Mariatty. Rąbek księżycy świecił nad jeziorem.

Mariatta i Villemann siedzieli na schodach otuleni jednym kocem. Ramię chłopaka obejmowało ją w pasie. Tych dwoje bezustannie szukało swojego towarzystwa. Wydawało im się, że nie mogą być z dala od siebie nawet przez minutę. Cudowny okres budzącego się zauroczenia powinni móc przeżywać w spokoju, bez trosk i strachu, bez lęku o przyszłość.

Mimo to jednak oboje byli zdania, że jeszcze nigdy nie było im tak dobrze jak teraz. Nero ułożył się przy nich, łeb oparł na łapach, ale brwi stale mu się poruszały. Musiał wszak czuwać nad wszystkim, co się działo, i nad wszystkimi, za których był odpowiedzialny. Pies traktował swoje zadanie śmiertelnie poważnie, bez niego państwo i przyjaciele na pewno by sobie nie poradzili.

Dzieci spały w domu. Nic im nie groziło i świadomość tego napawała Mariattę spokojem. Przez jeden dzień zdążyły się wspaniale zaaklimatyzować, niewątpliwie dzięki temu, że dorośli starali się zapewnić im poczucie swobody, ale i bezpieczeństwa oraz okazać, jak bardzo cieszą się z ich obecności. Śniły teraz, nie wiedząc, co się wokół nich dzieje.

Nad brzegiem jeziora płonęło niewielkie ognisko, Mariatta widziała przy nim Móriego, Dolga, Uriela, Taran i Cienia. W oddaleniu czworo Lemurów usiadło pod

drzewami w kole z opuszczonymi głowami i podciągniętymi kolanami, ale Mariatta wiedziała, że rozmawiają, i potrafiła zgadnąć, co zajmuje ich myśli.

Nie był obecny natomiast żaden z duchów Móriego. Wyruszyły w świat.

Zerknęła na ogrodzone pastwisko pełne koni, ich własnych oraz wierzchowców rycerzy. Ludzie Lodu mieli je odprowadzić następnej nocy, czekali tylko na przybycie kolejnych zwierząt...

Grupka nad jeziorem prowadziła rozmowę przyciszonymi głosami. Poza tym w lesie Mariatty, po wsze czasy oczyszczonym już ze zła, panowała cisza.

Cudowna chwila. Zdumiewająca chwila. Wkrótce tak wiele miało się zdecydować.

Losy miały się rozwikłać... Ryzykowny krok w nowy nieznany świat.

Jak wielu odważy się go zrobić? Kto przybędzie? Księżna Theresa krążyła po pokojach, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Od czasu do czasu próbowała przysiąść, ale zaraz się podrywała i kontynuowała niespokojną wędrówkę.

Przyszedł do niej Erling, wiedział dobrze, co dręczy żonę, nic więc nie mówiąc po prostu ją objął.

Theresa wreszcie zdołała wziąć się w garść.

- Wszystko wokół nas się rozpada, Erlingu. Wszystko to, co starałam się zbudować, z początku sama, później z twoją pomocą, po prostu kruszy się i rozsypuje na kawałki. Wnuki nas opuścili z zamiarem osiedlenia się na Północy, Móri zniknął, bez uprzedzenia poje chał za nimi, więc Tiril czuje się urażona i zdradzona. Rafael i Danielle postanowili zamieszkać na dworach Amalie i Leonarda, a teraz jeszcze nowy cesarz chce nam odebrać wszystko:

Theresehof, dwór Amalie i posiadłość Leonarda.

- Nowy cesarz nie będzie długo panował - pocieszał ją Erling. - Kiedy Maria Teresa przejmie tron Habsburgów, wszystko być może powróci do poprzedniego stanu.

- Być może, właśnie - cierpko zauważyła Theresa. - Wiadomo przecież, co robią cesarze, kiedy uda im się zawładnąć dobrami innych. Nie sądzę, żeby Maria Teresa była pod tym względem chociaż odrobinę lepsza.

- Mimo wszystko jednak jest twoją bratanicą, córką Karola. Theresa nie odpowiedziała, na jej przygnębienie nie działały już żadne argumenty. Do pokoju weszła Tiril, niezwykle podniecona. Poderwali się na jej widok.

- Co się stało, moja droga? - spytał Erling. - Wyglądasz... na uradowaną. Wesołych twarzy nie mieliśmy okazji oglądać, odkąd Villemann i Taran nas opuścili.

Tiril ledwie mogła mówić.

- Nidhogg jest tutaj i chce nam zadać pewne pytanie.

- Nidhogg? - w głosie Theresy zabrzmiały jaśniejsze nuty. - Co się stało? Jak się miewają nasi najbliżsi? Gdzie są?

Kolejne pytania i odpowiedzi zabrały trochę czasu. Kiedy Tiril wszystko już wyjaśniła, Theresa i Erling usiedli oszołomieni.

- Opuścić nasz świat? - powtórzyła Theresa. - Prze nieść się do królestwa, którego nikt nie zna? Do które go nikt nie potrafi opisać drogi? Które być może w ogóle nie istnieje?

- Czy wszyscy mają zamiar tam się wybrać? - dopytywał się Erling.

- Wszyscy, którzy są w Szwecji, ale bez nas tego nie zrobią. Móri oczywiście chce zabrać mnie ze sobą, was dwoje, no i młodych, jeśli się zgodzą.

- A ta Mariatta? Czy ona nadaje się dla Villemanna? - zastanawiała się Theresa.

Tiril lekko wzruszyła ramionami.

- Na to wygląda. Oczywiście wolałabym zobaczyć moją przyszłą synową, zanim wypowiem się na jej temat, ale najwidoczniej sprawy toczą się szybko.

Dowiedziałam się, że ma dwoje dzieci i wszyscy troje pójdą za Villemannem.

- Rozwiązanie? - rozmarzyła się Theresa. - Rozwiązanie naszych problemów?

- Znów będziemy wszyscy razem - westchnął Erling.

- Thereso, musimy namówić Rafaela i Danielle. Theresa podniosła głowę.

- A co z tobą, Tiril?

- Nie mam w sercu ani krztyny wątpliwości. Móri chce, żebym z nim poszła, przekroczyć więc tę granicę.

Zadrzała zdjęta nagłą trwogą. Synowie? Dlaczego tak się o nich bała?

- Zaraz wybierzemy się do Rafaela i Danielle - oświadczyła Theresa pełna nowej energii.

- Nie trzeba - powstrzymała ją Tiril. - Pani powietrza jest już u nich. Porozmawia z całą czwórką. Podobno po winniśmy się spieszyć. Musimy się przygotować do odjazdu, już jutro rano. Odbędziemy podróż na sposób elfów.

- Ależ ja muszę... pozostawić w porządku dom, zająć się ludźmi, którzy są u mnie zatrudnieni, zwierzętami... W tak krótkim czasie nie zdążymy.

- Musimy się postarać, oni już zlokalizowali mniej więcej położenie Wrót. A jutro Dolg ma odnaleźć Słońce i otworzyć Wrota.

- Ależ, na miłość boską... Jak my to zrobimy, Erlingu?

- Zawezwjemy cały sztab i poprosimy, aby nasz wspaniały zarządca zajął się wszystkim, czego nie zdążymy załatwić.

Weszli podnieceni młodzi ludzie, Rafael z Amalie i Danielle z Leonardem.

- Słyszeliście już? - zawołał Rafael jeszcze w drzwiach.

- Tak, słyszeliśmy - potwierdził Erling. - I co wy na to, dzieci?

Leonard odparł:

- Danielle i ja już podjęliśmy decyzję. Nie było to wcale takie trudne, wczoraj bowiem przybył posłaniec cesarski z oświadczeniem, że moje ziemie przypadają Koronie.

- Ja także utracę dwór - powiedziała Amalie. - Rafael i ja jedziemy. A wy?

Twarz Theresy się rozjaśniła.

- My także. Ale są przecież jeszcze inni...

- Spokojnie, mamó - poprosiła Tiril. - Nidhogg po wiedział mi, że Hraundrangi - Móri jest w pałacyku myśliwskim i powiadomi czworo Madragów. Mówił też, że Lemurowie wyruszają z Tiveden, by sprowadzić wszystkich, którzy byli kiedyś błędnymi ognikami, wszystkich tych, w których żyłach płynęła kiedyś krew Lemurów. To potomkowie Cienia, jak wiecie. Pani wody podjęła się dać znać elfom i innym duszkom przyrody, które chcą opuścić Ziemię, a Duch Zgasłych

Nadziei przywiedzie nieszczęśliwych zmarłych ludzi, tych, którzy nie znaleźli spokoju w grobie lub też zbyt mocno cierpieli przez całe życie.

- Musimy pamiętać o Heinrichu Reussie von Gera - stwierdziła Theresa. - Obiecaliśmy...

Tiril i na to miała już gotową odpowiedź:

- Nim zajmie się Nauczyciel. Wszystko jest pod kontrolą, mamó.

- A czym zajmuje się Zwierzę? - zastanawiał się Erling.

- O tym Nidhogg nic mi nie powiedział, a ja zapomniałam spytać. Zapytałam natomiast o Nera, i on oczywiście również wyruszy z nami przez Wrota.

- To świetnie - ucieszył się Rafael.

W tym samym czasie przed domem Mariatty działy się niezwykle rzeczy.

Móri opuścił grupę nad jeziorem i stanął przy schodach.

- Widzisz ich, prawda, Mariatto?

Poderwała się, ale ton jego głosu zabrzmiał przyjaźnie.

- Kogo? Co? Gdzie? - pytała onieśmielona. Zarówno Móri, jak i Villemann spoglądali na nią w napięciu, z wyczekiwaniem. Nero podniósł łeb, Mariatta popatrzyła za wzrokiem psa. Nagle zapało jej dech w piersiach.

- Tak, Boże, widzę ich. Kim oni są? I tak ich wielu!

- To elfy. Elfy i inne duchy przyrody, już przybyły. Byłem pewien, Mariatto, że ty, z takim pochodzeniem, będziesz zdolna je zobaczyć.

Zdumiona i zachwycona spoglądała na istoty zgromadzone pod drzewami przy zagajniku. Siedziały tam w milczeniu takie drobne i delikatne, takie śliczne. Ich wielkie oczy patrzyły ciekawie, z nadzieją. Wśród nich znalazły się też duchy wzrostem dorównujące ludziom, lecz równie piękne jak małe duszki.

Dostrzegła też innych...

Nagle zorientowała się, że czwórka Lemurów zniknęła. Musieli odejść już jakiś czas przedtem, ale Maria dopiero teraz to zauważyła. Na ich miejscu pojawiła się wielka gromada ich mniejszych wydań, ślicznych stworzeń o skośnych czarnych oczach.

Błędne ogniki, pomyślała, Villemann bowiem wcześniej jej o nich opowiadał. Dawna rasa mieszkańców Ziemi, rasa, która już wymarła. Kiedyś byli to potomkowie Cienia.

Villemann, jakby czytając w jej myślach, zauważył cierpko:

- Doprawdy, potrafił się rozmnażać!

Uśmiechnęła się i przywołała go do porządku uściskiem za ramię. Uważała, że umiejętność wspólnego śmiania się w tych samych momentach jest jedną z rzeczy, która najbardziej ich łączy.

Przez cały czas napływały nowe istoty, pojawiały się jakby znikąd, duchy przyrody na zmianę z potomkami Lemurów, a także nieszczęsne upiory, udręczone ofiary.

- Im najłatwiej tutaj przybyć - cicho powiedział Móri. - Żywym potrzeba więcej czasu. Mariana tylko kiwnęła głową. Nie potrafiła znaleźć słów na określenie tego, co działo się wokół niej.

Później, wieczorem, przybyło czworo Madragów. Przeżyła kolejny wstrząs.

Niemniej jednak wielkie, przypominające zwierzęta stworzenia wydawały się tak przyjazne i życzliwe, tak dobroduszne, że zdumienie Marii nigdy nie przekształciło się w przerażenie.

Madragowie zdołali przybyć tak prędko, ponieważ przebywali w tym samym wymiarze co duchy.

Brakowało już tylko żywych ludzi, ale ich mogli się spodziewać dopiero następnego dnia.

Mariana zaniepokoiła się nie na żarty.

Jak zdoła pomieścić w domu całe te zastępy?

Oni jednak śmiali się życzliwie z jej obaw. Mogła się nie martwić, przybysze poradzą sobie sami.

W domu zapanował wreszcie spokój. Zapadła noc poprzedzająca kolejny dzień pełen nowych, nieprzewidywanych przeżyć.

Dolg późno udał się na spoczynek. Zjawilo się tylu starych przyjaciół, z którymi chciał porozmawiać. Madragowie, elfy, błędne ogniki i wielu, wielu innych.

Powrócili też Lemurowie, wszyscy ich krewniacy byli już na miejscu.

Dolg, wędrując wśród przybyszów, zauważył, że patrzą na niego z rozpaczliwą nadzieją. Spojrzenia, jakie mu stali, kłuły prosto w serce. Przerazała go ta ich nadzieja, tak bardzo się bał, że ich zawiedzie, był wszak bardzo młody, a na jego barkach spoczywała wielka odpowiedzialność. Jakże łatwo o niepowodzenie, nie da się nawet powiedzieć, że są w połowie drogi w poszukiwaniu Wrót. Nie wiedzieli przecież, gdzie ukryte jest Słońce ani w jaki sposób.

Uśmiech pocieszenia, jaki im posłał, okazał się dość wymuszony. Oto mam tutaj najwspanialszych sprzymierzeńców na świecie, pomyślał z goryczą, Cienia, duchy ojca, Ludzi Lodu, całe gromady duszków przyrody, Lemurów, Madragów. Kiedy jednak przyjdzie co do czego, zostanę całkiem sam.

Elivevo, szepnął w myślach. Mój duchu opiekuńczy, czy chociaż ty będziesz ze mną?

Ale w odpowiedzi usłyszał ciche: „Nie”.

O brzasku Móri wraz z trojgiem swych dzieci, zięciem Urielem oraz Cieniem i Lemurami znów znaleźli się w pobliżu Złej Góry. Mariatta tym razem została w domu z malcami.

Nie wiedziała, gdzie podziła się gromada gości. Może stali się dla niej niewidzialni i ukradkiem obserwowali ją i dzieci? Nie spodobała jej się ta myśl, zresztą nie sądziła, że to prawda. W niezwykłych przyjaciółach Dolga znad ziemi i z podziemia, współczesnych i wywodzących się z pradawnych czasów, nie było zła.

Domyślała się, że pewnie są przy bagnie, niewidzialni.

Wkrótce jednak się przekonała, że nie wszyscy.

Dzieci doskonale się u niej czuły, otoczone miłością cieszyły się swobodą i bliskością przyrody. Pierwsze onieśmienie wobec odzyskanej matki minęło. Nie wierzyły już w to, co mówił ojciec: że matka nie chciała ich znać. Bo przecież ojciec nigdy nie był dla nich naprawdę dobry. Potrafił bez umiaru rozpieszczać Jonasa, a w następnej chwili, wyprowadzony z równowagi, wrzeszczał

niepohamowanie. Dla Greta, jeśli w ogóle już ją zauważył, miał tylko ostre słowa. Jonas tęsknił jedynie za zwierzętami, które zostały we dworze, i dlatego większość czasu spędzał przy zagrodzie dla koni. Uwieszony płotu wabił je do siebie żalosnymi żdźbłami trawy. Panował prawdziwie sielski spokój.

Dlatego też Maria przeżyła duży wstrząs, kiedy w pewnej chwili wyjrzała przez okno. Jonas i Greta siedzieli na trawie, niedaleko ogrodzonego pastwiska, zajęci zabawą z dwoma niewielkimi stworzeniami, które w pierwszej chwili wzięła za dzieci. Zaraz jednak zorientowała się, że to elfy. Delikatne, kruche, zanoszące się dźwięcznym śmiechem. Chłopiec i dziewczynka.

Serce Mariatty zamarło. Elfy razem z jej dziećmi? Czyż elfy nie uprowadzają ludzkich dzieci?

Do kogo mogła się zwrócić z prośbą o radę? Wszyscy przecież poszli na moczary. Greta i Jonas raz po raz wybuchali śmiechem. Widać było, że świetnie się bawią, chociaż nie przywykli do towarzystwa rówieśników. Czy powinna zostawić ich w spokoju?

Nie, chyba nie, musi właściwie odegrać swoją rolę. Nie powinna wpadać w histerię, ale też i nie wolno jej zachowywać się obojętnie.

Prędko nalala soku do czterech filiżanek, a na talerzyku ułożyła kilka ciastek. Niosła tacę, przyciskając ją do ciała, aby nikt nie spostrzegł ani nie usłyszał, jak wszystko na niej dzwoni, poruszane drżeniem rąk.

- Macie ochotę na coś do jedzenia albo do picia? - spytała wesoło, chociaż dziwnie cienkim głosem, i postawiła tacę na ziemi.

Elfy popatrzyły na nią, uśmiechnęła się i przyjaźnie skinęła im głową na powitanie. Boże! Serce mi zaraz pęknie!

- Dziękuję, że bawicie się z moimi dziećmi, tak długo były skazane tylko na siebie

- wyjąkała niewyraźnie.

- Przyjemność po naszej stronie - odparła dziewczynka z rodu elfów. Jej głos brzmiał niczym dzwonienie po krytych lodem żdźbeł trawy na wietrze.

- Bardzo nam wesoło - powiedziała Greta. - Uczą nas rozmawiać ze zwierzętami.

- Wspaniale - szczerze ucieszyła się Mariana. - To znaczy, że mogę wrócić do sprzątanania. Dajcie znać, jeśli tylko będziecie czegoś potrzebować.

- Dobrze - chórem odrzekli wszyscy czworo. Odwróciła się, żeby odejść, kiedy Greta zawołała za nią:

- Oni się przenoszą do baśniowej krainy! Czy może my iść z nimi?

Mariatta zrozumiała, że elfy wyznaczono do odpowiedniego pokierowania dziećmi. Przystanęła, na moment znieruchomiała, wstrzymując oddech.

- Myślę, że wszyscy się tam przeniesiemy - oznajmiła spokojnie.

- To dobrze - uradowały się dzieci.

W domu Mariatta musiała oprzeć się o drzwi i wyrównać oddech.

Byłam stanowczo zbyt młoda, kiedy je urodziłam. Tak wiele wtedy zniszczyłam, teraz za to dobrze sobie dałam radę. Postąpiłam jak dorosła, Villemann byłby ze mnie dumny.

- Babciu i dziadku, dziękuję - szepnęła do nagich ścian. - Dziękuję, że nauczyliście mnie postrzegać wszystko w przyrodzie jako żywe. Dziękuję za waszą przenikliwość.

Grupka u stóp góry nie była tak zadowolona z siebie. Przy pomocy dwóch szlachetnych kamieni próbowali odnaleźć kryjówkę Słońca.

- Przecież to one są drogą do Słońca - twierdził Dolg z uporem, chociaż kamienie wyraźnie nie chciały z ni mi współpracować. - Co robimy źle? Cieniu, musisz to wiedzieć!

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał ze zmieszaniem potężny opiekun Dolga. - Kule jaśnieją, pulsują jak nigdy dotąd, lecz nie wskazują drogi. Wicie przecież, że potrafią skierować swoje promienie w jeden określony punkt, ale teraz wcale się tak nie dzieje. Mimo wszystko jesteśmy we właściwym miejscu. Zanieście je bliżej plaży.

- Plaży? - zachichotał Villemann. - Wróciłeś w swoje własne czasy, Cieniu.

- Chyba tak - przyznał z uśmiechem. Uśmiechnęli się wraz z nim.

Chwila odprężenia poprawiła nieco nastrój. Dolg i Villemann, każdy ze swoim

kamieniem, chodzili tam i z powrotem wzdłuż stóp góry, lecz nic się nie działo. Blask kamieni przez cały czas pozostawał identyczny, nie tracił mocy ani jej nie nabierał.

- Co jest źle? - jęczał Cień przygnębiony. - Co jest źle? Co jest źle?

- Może po prostu musimy szukać - podsunęła Taran.

- No tak, ale... tu nie ma gdzie. Skała jest idealnie gładka. A brzeg, to znaczy pas między bagniskiem a górą, nie ma żadnych śladów.

- Mów sobie brzeg albo plaża - żartobliwie zaproponowała Taran. - My i tak rozumiemy, o co ci chodzi.

Móri powiedział po namyśle:

- Cieniu, zastanawiałem się nad tą konstrukcją, na której spoczęło Słońce.

Przywieźliście ją ze sobą?

- Ależ nie!

- A jeśli był to stos kamieni, to skąd wzięliście kamienie? Leżały na brzegu?

Czyżby zdążyli wznieść z nich tak wysoki stos w krótkim czasie, podczas kiedy ty leżałeś nieprzytomny z wycieńczenia?

- Nie, nie. Na plaży na pewno nie było kamieni, gotów też jestem przysiąc, że nie na długo straciłem przytomność.

- Co więc ma to znaczyć?

- Nie wiem - przyznał Cień zrezygowany.

Dolg bardzo się niepokoił. Czyżby na próżno sprowadzili tutaj całe gromady wyczekujących z nadzieją istot i ludzi?

Dolg orientował się lepiej niż Mariatta. Zdawał sobie sprawę, gdzie podziały się wszystkie duchy przyrody. Wiedział, że dwójgu elfom wyznaczono zadanie zaprzyjaźnienia się z dziećmi, aby malcy nie opierali się przed wyruszeniem w drogę, wiedział też, że wszystkie pozostałe czuwają w okolicach domu, by nie wdarł się tam żaden intruz i na przykład nie wziął malców jako zakładników.

Mariatta i jej dzieci byli lepiej strzeżeni, niż mogło im się snić.

Móriego nie opuszczała energia.

- Cieniu, kiedy stałeś na szczycie tej góry... Mówiłeś, że plaża była całkiem pusta?

- Tak

- Co miałeś na myśli? Widziałeś na przykład rusztowanie, na którym spoczęło Słońce?

- Nie. Wznosiło się na tyle blisko skały, że z góry po zostawało niewidoczne. Chyba żebym się niebezpiecznie wychylił.

- Rozumiem. Ale czy poza tym nic na plaży nie było? Naprawdę nic?

- Absolutnie nic. Wyglądało, jakbyśmy nigdy na niej nie stanęli...

Urwał, z wolna twarz mu pojaśniała.

- Rozumiem, do czego zmierzasz, przyjacielu. Szczątki statku! Wciągnąłem na ląd wielu z moich pobratymców, którzy uchwycili się desek i innych części statku.

- I nic z tego nie było na plaży?

- Nie - odparł Cień z błyskiem zrozumienia w oku. - Z tego właśnie wzniesiono konstrukcję, rusztowanie dla Słońca. Zbudowano ją z wraku.

- Dziękuję powiedział zadowolony Móri. Villemann pokiwał głową.

- To wyjaśnia dlaczego nie ma tu nawet najmniejsze go śladu po stosie kamieni czy czymś podobnym.

- Wszystko dobrze - stwierdził Uriel. - Ale czy to za prowadzi nas gdzieś dalej?

- Właściwie nie - przyznał Móri. - Lecz w ten sposób rozwiązaliśmy już parę zagadek.

Dolg się zastanawiał.

- Sądzisz, że zyskalibyśmy coś, wchodząc na szczyt skały?

Cień po długim namyśle odparł:

- Nie, przecież tam byłem i, jak już mówiłem, nie mogłem leżeć nieprzytomny na tyle długo, by zdążyli wspiać się na górę i tam ukryć Słońce. Nie, o tym trzeba zapomnieć.

- Skąd wiesz jak długo byłeś nieprzytomny? - zaciekawiała się Taran - To mogło trwać przez jakiś czas.

- Nie - zaprzeczył Cień. - Zorientowałem się po słońcu. Ledwie przesunęło się na

niebie. Trwało to bardzo krótką chwilę ' Ale widzę, że trochę wam się to wszystko miesza. Pamiętajcie, że ocknąłem się tu, na plaży, podczas gdy oni wciąż jeszcze tutaj się znajdowali. Wzniesli rusztowanie, Słońce świeciło z niesłychaną mocą, a Wrota były otwarte.

- Gdzie? - Natychmiast spytał Villemann. Cień rozłożył ręce.

- Światło stało się niezwykle intensywne. Przyprawiało oczy o ból i w końcu musiałem je zasłonić. Uciekłem stąd i dopiero później wspiałem się na szczyt góry. Chciałem sprawdzić, czy stamtąd ich nie zobaczę, ale oni już wtedy zniknęli. Próbowali ocenić, jak długi czas mógł upłynąć, zanim Cień zdołał okrążyć skałę, znaleźć drogę na szczyt i wspiać się na samą górę. Musiało to trwać dosyć długo.

- I z góry absolutnie nic nie widziałeś - powtarzał Móri. - Zastanów się jeszcze raz. Cień usłuchał.

- Nie - powiedział wreszcie, ale w głosie usłyszeli jak by niepewność. - Nie, niczego nie widziałem, natomiast...

- Tak?

- Zastanawiam się, czy przypadkiem czegoś nie słyszałem. Jakby słabego, ledwie słyszalnego postukiwania. Ale ono mogło dobiegać z każdej strony, mogłem je też usłyszeć przy jakiejś innej okazji. Nie, nie, to chyba nie ważne.

Znów stanęli bezradni.

Wówczas wysunął się jeden z Lemurów.

- My byliśmy Strażnikami, strzeżliśmy szafiru i farangila. Przypomina mi się coś bardzo istotnego.

Wszyscy słuchali z uwagą.

- Mów dalej - poprosił Móri. Lemur popatrzył na nich niepewnie.

- Czy nie było tak, że ten, który zbliżał się do ukrytych kamieni, musiał dać się poznać? Przedstawić w sposób nie pozostawiający nawet cienia wątpliwości.

Oczywiście - zawołał Dolg głośno, aż Nero zerwał się z ujadaniem. - Musiałem

dać się poznać Starcowi na Islandii, wówczas chodziło o szkatułkę, którą dostałem w prezencie na chrzest, ale już jej nie mam, została w Austrii albo raczej

sądzę, że Starzec ją zabrał. Tak, tak się stało.

Do rozmowy włączyła się Strażniczka z bagnisk:

- A wówczas, kiedy chodziło o szafir, błędne ogniki wystawiły ci świadectwo, pokazały ci drogę.

- Zgadza się. Pewnie teraz, kiedy chodzi o samo Słońce, wymagania są znacznie surowsze.

- Z całą pewnością - przyznał Cień. - Powinniśmy dać się zidentyfikować. Możemy však być rozbójnikami, którym przypadkiem wpadły w ręce towarzyszące Słońcu kamienie. Musimy przedstawić niezbity dowód na to, że przybywamy w czystych zamiarach.

- Myślę, że jesteśmy na właściwej drodze - pokiwał głową Móri.

- Czy mamy coś, w czego posiadanie nie mogli wejść rycerze? Co świadczy o tym, że my jesteśmy sobą?

- Przedstawmy się najpierw - zaproponowała Taran. - Być może to nie wystarczy, ale zawsze będzie jakiś początek.

- Dobry pomysł - pochwalił Cień. - Zaczynaj ty, Móri!

- Chętnie. W którą stronę mam się zwrócić?

Z braku innych możliwości obrócili się ku skale.

- Jestem Móri z rodu islandzkich czarnoksiężników. Jestem również ojcem Dolga, który przez naszego wy wodzącego się z Lemurów przyjaciela, Cienia, został wyznaczony do wskazania wszystkim drogi przez Wrota.

By udowodnić, że mówi prawdę, Móri odprawił prastary islandzki rytuał magiczny, którego rycerze żadną miarą znać nie mogli.

Potem naprzód wystąpił Dolg.

- Noszę imiona Dolg Lanjelin Matthias. To ja znalazłem szafir i farangil i by dać temu świadectwo, narysuję na skalnej ścianie symbole, które stale się pojawiają, a wywodzą się z dawnej Lemurii.

Kawałkiem węgla prędko naszkicował najważniejsze ze znaków.

Nadeszła kolej Villemanna:

- Nazywam się Wilhelm i tak dalej, lecz nazywają mnie po prostu Villemann, jestem bratem Dolga i od dłuższego czasu opiekuję się niebieskim szafirem.

Sądzę, że to na razie wystarczy, jeśli chodzi o najistotniejsze sprawy. Czasami też popełniam rozmaite głupstwa. Cień uśmiechnął się, ale minę miał cierpką. Taran:

- Ja jestem Taran, siostra Dolga i Villemanna, której od czasu do czasu zdarza się wymyślić coś mądrego. Najrozsądniejszą decyzją, jaką w życiu podjęłam, była decyzja o małżeństwie z Urielem.

Teraz Uriel postąpił o krok do przodu.

- Jestem Uriel, dusza żyjąca od wielu tysięcy lat. Dla Taran otrzymałem nowe życie, kiedyś byłem już prawie aniołem, lecz niestety tego nie potrafię udowodnić. Wówczas wydarzyło się coś nieoczekiwanego. W powietrzu rozległ się szum, błysnął płomień. Wszyscy podnieśli głowy.

Z nieba spłynął ognisty miecz. Zanim runął na ziemię, Uriel prędko go pochwycił.

- Ach, tak, mają więc na mnie oko - powiedział za chwycony. - I dobrze się zapatrują na nasze poczynania. Dzięki! - zawołał w górę. - Serdeczne dzięki! Miecz pozwolono mu trzymać niedługo. Zaraz uniósł się z jego rąk i zniknął w błękitnej dali.

- I tak to lepsze niż nic - mruknął Uriel.

Cień przedstawił się jako wojownik, który wówczas został na brzegu. Usłyszeli teraz jego prawdziwe imię, długie niczym rok nieurodzaju, i ucieszyli się, że wolno im nazywać go tylko Cieniem.

Czworo innych Lemurów nosiło wcale nie krótsze imiona, ludzie słyszeli już jednak wcześniej, jak rozmawiają między sobą, i wiedzieli, że posługują się niesłychanie rozbudowanym językiem, bliskim językom dawnych kultur w Ameryce Południowej: Inków, Majów, Azteków i Tolteków, należących do tej samej grupy językowej.

Był to cień dawnej legendarnej krainy Mu, odgałęzienia minionej Lemurii.

Rozmawiamy ze skalną ścianą, pomyślał Dolg, ale żadne z nas nie czuje się jak dureń, nawet Taran i Villemann tylko trochę się podśmiewają, lecz w ich

przypadku to przecież nieuniknione.

Lemurowie skończyli swoją przemowę i cofnęli się. Szczegółowo opowiedzieli o straży, jaką pełnili przy farangilu i szafirze. Jeśli w ogóle miała nastąpić jakaś reakcja, powinno się to stać właśnie teraz. Bo czy ktokolwiek mógł uznać Strażników z rodu Lemurów za niecnym rycerzy?

Nic jednak się nie działo.

- Jest też z nami Nero - przypomniał Villemann i lekko wypchnął psa do przodu. - Jest bardzo stary, to duchy Móriego wydłużyły mu życie. Nero służył nam wielką pomocą.

- Właśnie, duchy - zastanowił się Dolg. - Czy nie powinniśmy również ich przedstawić?

- Nie ma ich tutaj - z wahaniem rzekł Móri. - I nie wiem, czy...

- Głupstwa - przerwała mu Taran, nie okazując ani odrobiny szacunku. - Gdyby nie duchy, nigdy byśmy tu nie dotarli. Chodźcie, chłopcy i baby... to znaczy chłopcy i dziewczęta! - zawołała w stronę bagniska. - Zapraszamy, ale pilnujcie się, żebyście się zaprezentowali przyzwoicie. Ojczce, wezwij ich, ja nie mam nad nimi żadnej władzy, tylko się ze mnie naśmiewają.

Duchy posłusznie pojawiły się na wezwanie Móriego i przedstawiono je po kolei. Ukazywały się, oddając cześć nagiej skalnej ścianie.

Potem znów zniknęły.

A oni znów stali w milczeniu, bezradni, bez pomysłów.

- Najwyraźniej potrzeba tutaj więcej dowodów - stwierdził Villemann. - Dolg, rusz głową, ostatnio do stępu do farangila umożliwiła ci ta mała szkatułka, później matce przypomniał się sen z czasów młodości o zakłęciu, które sprawiło, że mogliśmy odczytać świętą księgę. Nie masz jeszcze jakiejś tajemniczej rzeczy, którą kiedyś tam w życiu dostałeś, a później całkiem o niej zapomniałeś?

- Moje myśli podążają dokładnie tym samym tropem co twoje, Villemannie, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

Po kolejnej chwili zastanowienia Móri westchnął:

- To nas nigdzie nie zaprowadzi, wracajmy do domu, zobaczymy, czy z Theresenhof już przybyli.

Niepowodzenie... Wprawdzie jeszcze się nie poddali, lecz na razie postanowili zrobić przerwę.

- Chyba rzeczywiście tak będzie najlepiej - westchnął Villemann. - Chodź, Nero! Nero, co ty robisz?

Pies od dłuższej chwili, prychając, węszył zapachy napływające od skały. Teraz zaczął kopać przy jej krawędzi, aż ziemia, igliwie i źdźbła trawy wylatywały w powietrze.

- Nie, Nero! Tu nie ma żadnego szczura. Chodź już! - prosiła Taran.

- Nie mamy na to czasu, Nero - usiłował przekonać psa Móri. - Wracamy do domu, zobaczyć, czy nie przyjechała twoja pani, Tiril. I Theresa, przecież ona zawsze ma dla ciebie jakiś smaczny kasek. I pan Erling, który często zabierał cię na przechadzkę po polach. I Rafael z Danielle, wszyscy twoi najlepsi przyjaciele. Na wspomnienie Theresenhof ścisnęły im się serca.

Ale żadne prośby nie pomagały, Nero pozostawał na nie głuchy.

Dolg podszedł do psa, Nero podniósł uwalany ziemią pysk i uradowany popatrzył na swego pana.

Dolg przykucnął.

- Pokaż, przyjacielu! Nie, tu nie ma nawet najmniejszej leśnej myszy, żadnej żaby ani nawet konika polnego czy żuka... - Urwał. - Co, na miłość boską...? Chodźcie tutaj!

Zgromadzili się wokół pękającego z dumy Nera. Spod powierzchni ziemi ukazał się na skale wyraźny znak.

T

- Zwyczajne T - powiedziała Taran rozczarowana. - Jeśli pominiemy, że jest to inicjał mojego imienia, to chyba tym razem musimy uznać twój wysiłek za daremny, Nero.

- Tak, tak - przyznał Villemann. - To może być znak graniczny jakiegoś wieśniaka.

Masz rację, Taran, chyba na nic nam się to nie przyda.

- Nie - zaprotestował zamyślony Uriel. - Równie dobrze może to być litera tau, a wtedy od razu wszystko robi się znacznie bardziej emocjonujące.

- Jak to?

- Tau oznacza zmartwychwstanie i objawienie.

- Proszę, proszę - mruknął Móri. - To znaczy, że oni posłużyli się psem, by się z nami porozumieć, dać nam znać, że jesteśmy na właściwej drodze.

Nie sprecyzował, kogo ma na myśli mówiąc „oni”, a pozostali także o to nie pytali.

- Ale tau to przecież runa - zaprotestował Villemann. - Nie mogła istnieć w waszych czasach, Cieniu.

- Owszem - odparł potężny duch. - Runy w rozmaitych formach są o wiele starsze, niż się wam wydaje, to rzeczywiście symbol oznaczający powtórne odnalezienie.

Uriel, który studiował w klasztorze i miał za sobą więcej istnień, niż pozostałym mogło się zmieścić w głowie, uzupełnił jeszcze:

- Tau to nie tylko runa, to również dziewiętnasta litera greckiego alfabetu, pochodzącego od alfabetu Majów.

- Żartujesz - powiedział Villemann.

- Wcale nie. Majowie używali tych samych znaków, i co więcej, w ich alfabecie każda litera coś znaczy, opowiada całą historię.

- Musisz nam to wyjaśnić - poprosił Móri.

- To trochę potrwa. Czy ktoś ma coś do pisania i kawałek papieru?

Okazało się, że tak. Usiedli blisko siebie, Uriel rysując tłumaczył. Kosmaty łeb zaciekawionego psa często zasłaniał im widok, w końcu jednak zdołali jakoś pojąć całość.

Uriel pisał:

- Grecka alfa, alpha, czyli al - paa - ha, znaczy ciężki, wyłaniać się, woda. Beta to be - wędrować, ta - pole, ziemia. Gamma to kam - przyjmować, ma - matka

ziemia.

Omówił znaczenie każdej z liter, a potem przetłumaczył znaczenie alfabetu

Majów:

- „Masy wody wylaniają się ciężko, rozlewają po polach, pokrywają ziemię (delta, w alfabecie Majów: tel - ta): na nizinach, (epsilon, czyli ep - zil - on - om): Tam, gdzie napotykają przeszkody, powstają brzegi, a morskie prądy (dzeta, ze - ta): niszczą ziemię (eta, et - ha): wodą. (the - ta, thetheha - ha): Masy wód rozprzestrzeniają się (iota, io - ta): na wszystko, co żyje i rusza się. (kappa, ka - paa): Tamy pękają i (lambda, lam - be - ta): tonie kraina (mi, mu): Mu. (ni, ni): Tylko szczyty gór (ksi, xi): widnieją po nad wodą. (omikron, om - ik - le - on): Wieją cyklony (pi, pi): z czasem (rho, la - ho): pojawiają się (sigma, zi - ik - ma): zimne wiatry lub zimne powietrze, (tau, ta - u): Tam gdzie niegdyś były doliny, powstają teraz (ypsilon, u - pa - zi - le - on): otchłanie, zimne głębie. W okrągłych ja mach (phi, pe - hi): zbiera się błoto, (chi, chi): Otwiera się gardziel, (psi, pe - zi): wylewa się z niej para (omega, o - mec - ka) i wyrzucana jest wulkaniczna masa.

Uriel odetchnął, wypuścił powietrze.

- Tak to właśnie wygląda.

- Brawo! - rzekł Cień, a Lemurowie z uznaniem po kiwali głowami.

Taran nie posiadała się z dumy i uściskała serdecznie swego mądrego męża. Móri jednak nie przestawał się dziwić.

- To rzeczywiście imponujące, Urielu, ale czy dawni Grecy zdawali sobie z tego sprawę? Czy wiedzą o tym dzisiaj?

- O tym, że zbudowali alfabet światowy, opierając się na dawnej legendzie? Nie mam pojęcia.

- Na legendzie o krainie Mu - dodał zamyślony Villemann.

- I o Lemurii - uzupełnił Dolg. - Cieniu, która z tych krain była najstarsza? Od której się wszystko wywiodło?

- Pierwsza była Lemuria i ona też zniknęła na samym początku. Jako ostatni z trzech wielkich kontynentów, których dziś już nie ma, w morskiej głębi zatонуła

Atlantyda.

- Ale przez jakiś czas istniały wszystkie równocześnie?

- Oczywiście, bardzo, bardzo długo, przez eony czasu.

- Ale coś mi się tu nie zgadza - wtrącił Villemann. - Podobno Atlantyda zniknęła około dziesięciu tysięcy lat temu, a Mu mniej więcej przed trzynastoma tysiącami lat, Lemuria zaś jeszcze wcześniej, no a brzeg morza, które nie istnieje, leżał tutaj przed dziesięcioma tysiącami lat, tak twierdził ów człowiek z Hofburga.

(Villemann mówił teraz o Morzu Yoldiowym, którego nazwa w owych czasach jeszcze nie istniała.) Cień uśmiechnął się.

- Rozumiem, że wszystko ci się pomieszało, młody człowieku. Widzisz, prawdą jest, że kontynent Lemurii zapadł się w morze dawno, dawno temu, ale następowało to etapami, nasze cudowne królestwo znikało kawałek po kawałku, aż wreszcie nie dało się już mówić o jakiegokolwiek Lemurii. Za moich czasów, czyli mniej więcej przed dziesięcioma tysiącami lat, zostało tylko miasto i niewielka część otaczającego je lądu. Większość mieszkańców naszej krainy już nie żyła, dlatego w końcu zmieściliśmy się na jednym statku. Rozumiesz?

- Tak. Wynika z tego, że ludy zamieszkujące stały ląd w Azji i Afryce być może nie wiedziały nawet, że gdzieś daleko na morzu istnieje samotne miasto.

- Racja, Villemannie. Czy ktoś odmawiał ci mądrości?

- Na pewno nie on sam - błyskawicznie wtrąciła Ta ran. - Dziękujemy, Cieniu, teraz nam wszystkim rozjaśniło się w głowach. Rzeczywiście odniesienia w czasie stanowiły pewien problem, i to nie tylko dla geniusza Villemanna. Cień z uśmiechem pokręcił głową, słysząc znów nie kończące przekomarzanie się bliźniaków. Wiedział, że i tak kryje się za tym serdeczność.

- To znaczy, że kontynent Mu był odgałęzieniem Lemurii - usiłował podsumować Uriel. - Dlatego mieli wspólny alfabet.

- Nie było to wcale żadne odgałęzienie - poprawił go Cień. - Oba kontynenty istniały jednocześnie i w nie których okresach łączyły je silne związki. W istocie mieszkańcy posługiwali się tym samym alfabetem. A opis krainy, która zapadła się

w morze, dotyczący krainy Mu, równie dobrze mógł dotyczyć Lemurii, jak również Atlantydy. Atlantyda zniknęła w powstałym rowie oceanicznym, Lemuria i Mu natomiast z powodu aktywności wulkanów. Nasza Ziemia nigdy nie umiała być spokojna.

Zastanowiwszy się przez chwilę nad wszystkimi nowymi informacjami, znów skoncentrowali się na archeologicznym odkryciu Nera.

- Jacyż my byliśmy głupi! - stwierdziła Taran, pieszcząc psa, pływającego się w promieniach chwały ze świadomością, że oto on znalazł się w centrum zainteresowania zebranych i wszyscy są mu wdzięczni. - Wiedzieliśmy przecież, że ład się podnosił, a to znaczy oczywiście, że wszystko musi kryć się poniżej powierzchni ziemi.

- Wszystko, co? - zapytał Uriel. Taran zachichotała.

- Tego nie wiem. Villemann postanowił działać.

- Musimy przynieść łopaty.

- Jak sądzisz, ile łopat można znaleźć w jednej chacie? - cierpko spytał Móri.

- No dobrze, a więc motyki, grabie, widły do siana, noże, warząchwie, łyżki i łyżeczki.

- Dobrze, dobrze, wiemy, o co ci chodzi, ale wydaje mi się, że nie powinniśmy prosić sąsiada Mariatty o pożyczenie łopaty.

- Wykluczone, oni przecież nie mają pojęcia, że wciąż tu jesteśmy, i im mniej będą wiedzieć, tym lepiej.

Taran przyglądała się skalnej ścianie.

- Bo chyba zgadzamy się co do tego, że Nero nie przypadkiem odkrył tę runę?

- Nie, nie, to na pewno nie przypadek - zapewnił ją Cień. - Nero został do tego wybrany, bez wątplenia. Pamiętajcie, że już mieliśmy opuścić to miejsce.

Villemann jak zwykle przy rozwiązywaniu zagadek okazywał największy zapał.

- Wy idźcie po narzędzia, a ja zostanę i spróbuję znaleźć jakiś ostry płaski kamień, żeby nim pokopać.

- O, nie, nie zgadzam się! - Taran złapała brata bliźniaka za ucho. - Żadnych

samodzielnych wykopalisk! Albo wszyscy razem wrócimy do domu, albo nikt.

Villemann ciężko wzdychając poszedł razem z nimi. Dolg przez cały czas się nie odzywał. Niekiedy tylko popatrywał na Cienia, spoglądał na Strażników, usiłując odgadnąć, ile wiedzą.

Lecz ich czarne oczy pozostawały nieprzeniknione.

Z daleka już zobaczyli, że Mariatta ma jeszcze więcej gości. Na podwórzu pojawiły się nowe konie, dzięki podróży na sposób elfów wcale nie zmęczone. Powitanie z rodziną z Austrii było bardzo burzliwe. Tiril zapomniała o swoich pretensjach do Móriego o to, że wyruszył tak nagle w tajemnicy, po prostu nie posiadała się z radości, że znów go widzi. Theresa mówiła, że zjawiliby się znacznie wcześniej, gdyby nie musieli przeprowadzać się nieznośnie powolnym promem przez cieśninę między Helsingor a Helsingborg. Poza tym podróż minęła oszalamiająco szybko. Przybył również Erling, żądny nowych przygód, Rafael z Amalie i Danielle z Leonardem oraz młoda służąca, która za swą księżną panią poszłaby nawet w ogień, a także Heinrich Reuss von Gera. Oznajmił im, że postanowił wyruszyć wraz z nimi do innego świata, choć z początku jego zamiarem było wyłącznie ujrzenie Słońca, a co najwyżej jego dotknięcie. Uznał jednak, że nie jest już młodzieńcem i jeśli w tym innym świecie mogło go czekać nowe życie, bardzo by się z tego cieszył. Z ulgą przyjął wiadomość o pokonaniu Zakonu Świętego Słońca, nareszcie był wolny, mógł swobodnie poruszać się po Europie, lecz dowiedziawszy się o istnieniu legendarnej krainy po drugiej stronie Wrót, postanowił udać się wraz z nimi.

Mariatta ogromnie się zakłopotowała. Jak zdoła zapewnić gościnę tylu ludziom?

Skąd weźmie jedzenie? Jak go nastarczy?

Theresa jednak na szczęście była osobą przewidującą, a może należałoby raczej powiedzieć niepewną. Nie wiedziała, jak długo potrwa podróż, zapakowała więc na drogę olbrzymie kosze z jedzeniem. Prowiant podczas przeprawy im się nie przydał, lecz teraz był mile widziany.

Młodym podróżnikom na Północ ślina napłynęła do ust, a w oczach zakręciły się

ły na widok specjalów z Theresenhof: wspaniałych serów, szynek i chleba. Mariatta nigdy nie widziała takiego jedzenia, nawet na dworze Nilsa Bórje, na którym zresztą nigdy nie czuła się panią domu. Im więcej nowo przybyli goście wypakowywali, tym szerzej i ona, i dzieci otwierali oczy.

Taran popiła zimny plaster pieczeni z dzika domowym winem z Theresenhof i powiedziała z przejęciem:

- Dzięki, babciu, że przyjechaliście!

Przez cały dzień z zapalem i bardzo sumiennie kopali wokół góry. Posługiwano się najrozmaitszymi narzędziami, łamały się noże, pękały kawałki łupku, ale wszyscy chcieli uczestniczyć w wykopaliskach. Theresa pracowała spocona i brudna, ale z zapalem było jej do twarzy. Tiril ukradkiem przyglądała się Mariatcie i rozmawiała z nią, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Prędko znalazły wspólny język, co bardzo uradowało Villemanna. Dzieci Marii także były razem z nimi, dostały do kopania każde po drewnianej łyżce; trzymały się w pobliżu Taran i Uriela, dla których żywiły bezgraniczny wprost podziw, i młodzi małżonkowie musieli oglądać każdy najmniejszy kawałeczek kamienia, jaki odkryli malcy. Nero kopał wraz z Dolgiem. Pse oczy wprost lśniły radością, cieszyła go ta praca, chociaż pozdzierał pazury i ranił już łapy. Bez wątpienia jednak bardzo się przysłużył.

Pomagali nawet Lemurowie, prace prowadzono wzdłuż całej skały. Od czasu do czasu rozlegały się pełne zdumienia okrzyki, wszyscy wtedy zbiegali się w jedno miejsce, by obejrzeć fragmenty kolejnych symboli, jakie objawiały się na kamiennym podłożu. Ukazał się na przykład znak, symbolizujący „kraję, która zapadła się w morze”, z czarnym słońcem, niewidocznym już dla mieszkańców. Odkryli także prosty symbol Mu, wywodzący się właściwie z Lemurii, krainy istniejącej na długo przed pojawieniem się Mu. Znaleźli też niezwykły rysunek klepsydry z kropkami; „przetłumaczył” go jeden ze Strażników. Znak swoją symboliką nawiązywał do dziesięciu plemion, które zniknęły, kiedy Lemurię pochłonęła woda... Było też wiele innych znaków.

- Właśnie to słyszałem - cieszył się Cień. - To postu kiwanie, kiedy ryto znaki w skale.

- To znaczy, że ktoś musiał być na brzegu w czasie, kiedy ty przebywałeś na szczycie góry - stwierdził Dolg.

- Bez wątplenia. Gdybym tylko wiedział... On zapewne był tam również później, bo ja uciekłem w głąb tej bezludnej krainy, posuwałem się naprzód, dopóki nie spotkałem plemienia prymitywnych nomadów i nie przyłączyłem się do nich. Na Święte Słońce, oni przypominali małpy.

- Ale twoi potomkowie byli już bardziej podobni do ludzi.

- O, tak! Na pewno odrobinę ucywilizowałem te plemiona. Lecz jakże tęskniłem za moimi utraconymi po bratymcami.

- Być może niedługo będziesz się mógł znów z nimi spotkać - pocieszyła go Taran.

Łatwo ci tak mówić, pomyślał Dolg, odciągając wielki kawał darni od skalnej ściany. Nie ty masz odnaleźć Wrota. W dodatku od czasu, kiedy święci opuścili świat, upłynęły dziesiątki tysięcy lat. Nie licz na to, Cieniu, że po drugiej stronie spotkasz potomków swych współplemieńców, a już na pewno nie ich samych. Znieruchomiał. Jak zakłęty wpatrywał się w odsłonięty właśnie fragment skalnej ściany.

- Ojczy, Cieniu! Chodźcie tu wszyscy! Chodźcie i zobaczcie!

Puścili narzędzia trzymane w rękach. Nero, który pomógł swemu panu w dokonaniu tego odkrycia, cały obsypany ziemią wprost szalał. „Ja tego psa nie znam”, stwierdziła Taran, ale Nero wcale się tym nie przejął, nie posiadał się ze szczęścia, bo jego pan Dolg tak bardzo się ucieszył. Wspólnymi siłami dokonali naprawdę wspaniałego czynu.

Dolg odkrył wyryty w skale wizerunek Świętego Słońca, który w ciągu ostatnich lat widywali już tak często.

- Posuwamy się naprzód - stwierdził zachwycony Cień. - Naprawdę zaczynamy się do czegoś zbliżać.

Wkopywanie się pod powierzchnię ziemi było męczące. Musieli przy tym kucać, klęczeć albo wręcz leżeć na brzuchu.

- Powinniśmy usunąć stąd całe zwały ziemi - oświadczył zirytowany Villemann. - Wykopać coś na kształt rowu strzeleckiego, tak byśmy mogli stanąć w nim wyprostowani, i dopiero wtedy zagłębiać się w ziemię.

- Sami nie damy sobie z tym rady. Do tego potrzeba większych narzędzi i koni - odparł Erling. - Ale jeśli się dobrze przyjrzeć, to wydaje się, że wszystkie inskrypcje umieszczono wzdłuż skalnej ściany na jednakowej wysokości. Co z tego wynika?

- Wiemy, o ile podniósł się poziom ziemi, od czasu kiedy wryto te znaki.

- Tak, tak, ale dlaczego ten ktoś wrył je w taki sposób? - zapytał Erling.

Nikt nie potrafił na to odpowiedzieć.

- I kim był ten ktoś, on czy ona, chociaż przypuszczam, że to raczej mężczyzna? Kto został, kiedy wszyscy inni przeszli już na drugą stronę?

- To bardzo ważne pytanie, Taran - rzekł z uznaniem Cień. - Bo nie wydaje mi się, by został tutaj ktokolwiek poza mną. A jednak ktoś musiał tu być.

Theresa wylała na nich kubek zimnej wody.

- Jeśli oczywiście znaki już wówczas nie były stare. Pamiętajcie, że przecież właśnie w tym miejscu znajdowały się Wrota.

- To prawda - przyświadczył jeden z Lemurów. - A owo stukanie, które usłyszał nasz przyjaciel, mogło być odgłosem czegoś innego.

Dolg podniósł z ziemi motykę i stuknął nią kilka razy o skałę.

- Co ty na to, Cieniu? Czy to brzmiało podobnie? Cień, przybity uwagą Theresy, podniósł głowę.

- Tak, to nie mogło być nic innego, jak tylko metal uderzający o kamień.

- Musiał to więc być odgłos wywołany przez człowieka - przyznała Theresa. - Wybaczcie mi to, co powie działam, tylko wam namieszałam w głowach.

- Nie, nie, uwaga księżnej była w pełni uzasadniona.

Dolg miał wrażenie, że znajduje się pod szklaną kopułą. Głosy wokół niego

przerodziły się w szum, nie potrafił wychwycić znaczenia słów.

Najmilsi przyjaciele, tak bardzo was kocham, ale gadacie i gadacie, myślał. Ja muszę zostać sam, odejdźcie stąd, odejdźcie.

Nie miał jednak serca, by gasić ich zapał.

Wycofał się na bok. Powędrował wzdłuż tego, co było kiedyś brzegiem morza, pustą plażą, zanim w to miejsce na ziemi na lodowatą północ przybyli ludzie. Aż tutaj sięgał niepojętych rozmiarów lodowiec, który czasami pokrywał całą północną półkulę, czasami wśród kolosalnych białych płaskowyży wylaniały się połacie suchego łądu.

Nie poradzę sobie, myślał. To wszystko stanowi dla mnie zbyt wielką zagadkę. Czekał na mnie zadanie nigdy nie jawiło się jako łatwe, przeciwnie, z każdą chwilą staje się coraz bardziej skomplikowane. Alfabet grecki, jak on się z tym łączy? I dlaczego wszystko musi być aż tak zawikłane? Czy nie mógłby istnieć jasny i wyraźny znak, że tu oto jest Słońce, przyjdź i zabierz je. Na czym polega nasz błąd? Dlaczego wszystkie znaki widnieją tutaj bez ładu i składu? Co próbują przekazać? I dlaczego mniej więcej pośrodku skalnej ściany jest między nimi taki wielki odstęp?

Nero towarzyszył swemu panu, dotarli do krawędzi skały i stanęli pod lasem.

Dolg usiłował wsłuchiwać się w odgłosy lasu, lecz w uszach mu huczało, a przed oczami wirowały mroczki

Zrozumiał, że jest przemęczony, wyczerpany niezwykłym napięciem ostatnich dni.

Musi na siebie uważać, inaczej może się to źle skończyć. Przywołał Nera i wspólnie wrócili do towarzyszy.

- Ojczy, chyba powinienem iść do domu odpocząć. Móri i Tiril podnieśli się z ziemi. Tiril na widok syna przeraziła się nie na żarty, Móri także.

- Rzeczywiście, drogie dziecko, masz strasznie podkrążone oczy, tak być nie może.

Nie jestem już dzieckiem, chciał zaprotestować Dolg, lecz nawet na to nie miał siły.

- Na dziś kończymy prace - zdecydował Cień. - Słońce jest już nisko na niebie i...

Co się stało, Mariatto?

- Nie chciałabym zatrzymywać tu dłużej Dolga, ale... - Wskazała na skalną ścianę.

- Ostatnie promienie słońca padają na skałę i spójrzcie, co się wyłania, co to może być?

Podnieśli głowy, światło padało teraz z boku pod ostrym kątem, słońce zawisło akurat nad krawędzią i jego promienie przesuwają się wzdłuż skały, tworząc nowe kształty i linie.

Ujrzeni górną część czegoś, co w połowie skrywała jeszcze ziemia. Zarazem jednak było tak wysokie, że ledwie mogli dostrzec górne linie. Rysunek był o wiele starszy od tych, które odkryli na poziomie ziemi. Tak zatarty, że ledwie dało się go zobaczyć. Nikt jednak nie miał wątpliwości, co przedstawia.

- Wrota - szepnęła osłupiała Taran. - To przecież Wrota. Takie... olbrzymie.

- A więc dlatego między symbolami, które odnaleźliśmy, jest taka duża przerwa, między nimi są właśnie Wrota.

Teraz pozostaje już tylko je otworzyć, pomyślał Dolg. Ale w jaki sposób? Jak otworzyć skalną ścianę?

- Dolgu, musisz wracać do domu - stanowczo oświadczył Uriel. - Ledwie trzymasz się na nogach.

- Ale przecież znaleźliśmy coś nowego - protestował niepewnie.

- Do jutra rana nie zniknie. Solennie ci przyrzekamy, na wszystkie świętości, że nie przyjdziemy tutaj za twoimi plecami i nie będziemy kopać, kiedy ty będziesz spał.

- Obiecujecie?

- Na moją cześć - zaklęła się Taran.

- Ha! - prychnął Villemann.

- Dobrze - zgodził się Dolg i zamknął oczy. - Wobec tego pozostaje tylko jeden problem: w jaki sposób do trę do domu?

Taran natychmiast pospieszyła mu z pomocą.

- Już my się tym zajmiemy. Chodź, kochany braciszku, weźmiemy cię pod ręce i wspólnymi siłami jakoś dotaszczymy do łóżka.

Tej nocy, podczas kiedy Dolg spał tak bardzo mu potrzebnym snem, w przyrodzie otaczającej maleńkie gospodarstwo Mariatty coś się stało. Jak gdyby Pan, bożek zmysłowości, zagrał na swej fletni i zaczarował letnią noc. Z przepojonego lekkim smutkiem urokliwego zjawiska zmienił ją w kocioł czarownicy kipiący erotyzmem i mistyką. W powietrzu, ciepłym i wilgotnym, aż gęstym od nastroju, przesuwwały się welony mgły, namiętnie wciskając między drzewa w brzozowym zagajniku i konie uśpione na ogrodzonym pastwisku. Ludzie spali ciężko, z włosami lepiącymi się do mokrych od potu czoł, śniąc niespokojne, niesamowite sny.

Tiril i Móri spali mocno objęci, tak samo jak Theresa i Erling. Ale nie wszyscy usnęli.

Ta noc stała się początkiem istnienia pierwszego dziecka Taran i Uriela. Miał to być chłopiec i jego przyszli rodzice zapewnili mu piękny start. Nigdy jeszcze nie kochali się tak namiętnie, tak gorąco, ofiarując całych siebie, jakby następnego dnia czekała ich śmierć, i świadomi tego pragnęli dać drugiemu wszystko i zabrać wszystko. Ich miłość miała więc mieć następstwa, chociaż wcześniej celowo starali się nie splodzić dzieci. Woleli poczekać, aż walka z rycerzami dobiegnie końca.

Tak właśnie się stało, lecz ich przyszłość wciąż pozostawała niepewna. Teraz jednak nie byli już w stanie dłużej się powstrzymywać. W tę zaczarowaną noc w pełni lata spali na dworze, wśród drzew, i nikt im nie przeszkadzał ani też oni nikomu nie zakłócali spokoju. Któż tej nocy przejął nad nimi hipnotyczną władzę? Czyżby Pan? A może skandynawski bóg płodności Frey? Albo dawne fińskie bóstwo, Tapio? Ale nie, Tapio to władca lasu, to on w wietrzne noce szumiał w koronach drzew i bawił się na tajemniczych ścieżkach promieniami słońca i cieniami. Nie, Tapio nie był bóstwem zmysłowości.

A może stało się tak za sprawą elfów? Wszak w okolicy roilo się od nich i od

innych duchów przyrody, wśród których znalazło się wiele istot przywodzących ludzi do nieprzemyślanych działań, sprawiających, że do głosu dochodzą żądze i pragnienie przeżycia rozkoszy.

A może to sama przyroda przygrywała do tańca i zmysłowej zabawy upojną muzyką wiatru niosącą się nad polami i zagajnikami?

Villemann także ułożył się pod gołym niebem, bo w domu zrobiło się naprawdę ciasno. Zwinął się w kłębek pod przykryciem, ale nie mógł zasnąć. Znad jeziora niósł się pełen skargi krzyk nura. Nad głową z trzepotem przeleciała mu sowa, a w oddali przez mgłę widział taniec elfów. To bawiły się miejscowe elfy, lecz Villemann, który tak długo opiekując się niebieskim szafirem pozyskał zdolność widzenia tego, co ukryte, spostrzegł, że elfy pochodzące z innych części świata, z Islandii i z Irlandii i jeszcze nie wiadomo skąd, także przyłączyły się do wesołej zabawy.

Ogier, który zmęczony powinien dawno zapaść w sen, zarżał i znalazł klacz. Do diaska, zaklął w duchu Villemann, nie wyjdzie mi na dobre oglądanie takich scen.

Już miał mocniej owinąć się kocem, gdy spostrzegł jasną postać wędrującą ścieżką od strony domu. Z początku wziął ją za którąś z pań z rodu elfów, lecz długie jasne włosy należały do Mariatty.

Usiadł i cicho zawołał ją po imieniu.

Drgnęła przestraszona, ale zaraz podeszła do niego.

- A więc tutaj jesteś? - uśmiechnęła się. - Dzieliłam łóżko z dziećmi, ale naraz zrobiło się za ciasno i za gorąco. Ogarnął mnie jakiś niepokój i musiałam wyjść na powie trze. Nie będę pytać, czy nie zmarłeś, bo przecież jest tak ciepło i duszno. Cóż za niezwykły nastrój, Villemannie!

- I ty także to zauważyłaś? Usiądź, odstąpię ci kawałek koca.

Mariana wahała się tylko chwilę i zaraz przycupnęła obok niego. Villemann objął ją, zapatrzyli się na leśne jezioro. Powierzchnia wody była czarna i gładka, lecz unosząca się nad nią mgła zasłaniała widok po drugiej stronie. W małej zatoczce

rosły kępy sitowia, zielone o tej porze roku, pod nimi rozpościerały się tajemne głębie, a z urwistego brzegu zwieszała się płatanina zarośli.

Villemann starał się skierować uwagę Marii na jezioro, by przypadkiem jej spojrzenie nie padło na bezwstydne konie. Dla pewności naciągnął obojgu koc na głowę, teraz siedzieli jakby w małym namiociku.

- Mam dzisiaj takie dziwne uczucie w ciele - wyznał. - Tak jak powiedziałaś, niezwykle niepokój.

- Pewnie przez to wszystko, co dzisiaj przeżyliśmy. To zdarzy się już teraz, prawda?

- Myślisz o Wrotach? Obawiam się, że tak.

- Czy ty jesteś pewien, że chcesz przez nie przejść?

- Tak, jestem pewien. Ta moja nieuleczalna ciekawość, wiesz przecież. No a ty?

- Dzieci o niczym innym nie mówią.

- Dzieci... Ale ja pytałem o ciebie.

- Jestem ostatecznie zdecydowana, chociaż nie wiem, co nas tam czeka. Muszę więc przyznać, że trochę się boję.

Villemann przytulił jej głowę do swego ramienia. Odwrócił Marię bardziej ku sobie, miał zamiar po prostu dać jej poczucie bezpieczeństwa, lecz wyniknęło z tego coś jeszcze. Ciężkie powietrze, ostra zmysłowość i ciepło nocy sprawiły, że poczuł, jak pulsują mu wargi. Popatrzył na siedzącą przy nim kobietę, nie bez lęku, bo nie była to strona życia, nad którą świetnie panował. Pragnął ujrzeć swe własne uczucia odbite w jej twarzy, pragnął przekonać się, że ona czuje to samo co on. Nagle zdrętwieli. Ktoś szedł przez podwórze, kierował się do spichlerza. Siedzieli nieruchomo, tylko patrząc na siebie. Ten, kto szedł, nie mógł ich widzieć, to dobrze, bo to, co teraz przeżywali, było święte. Nikt nie powinien im przeszkadzać, choć przecież inni ludzie znajdowali się niedaleko. Dlatego właśnie Villemann i Mariana starali się zachowywać jak najciszej, czekali, aż dookoła znów zapanuje całkowity spokój.

Młodej służącej z Theresenhof o dźwięcznym imieniu Fionella, przydzielono na

nocleg miejsce na stryszku spichlerza.

To ona właśnie wybiegła w noc za potrzebą, należała bowiem do tych kobiet, które mają nerwy w pęcherzu. Przeżycia ostatnich dni były niezwykle emocjonujące, a teraz jeszcze wybierali się przez jakieś Wrota do baśniowej krainy. Miała wielką ochotę wyruszyć razem z nimi, żywiła bowiem bezgraniczny podziw dla księżnej pani i nie posiadała się z dumy, że wyznaczono ją pokojówką w Theresenhof. Mocując się z wielkim kluczem do spichlerza, poczuła, że ogarnia ją niezwykle uczucie. Oczywiście zdawała sobie sprawę z niesamowitej atmosfery zmysłowości unoszącej się w powietrzu, beztroski, jaka ją również ogarnęła, tajemniczych dźwięków dobiegających znad jeziora i z lasu. Teraz jednak docierało do niej coś jeszcze.

Fionella gotowa była dać głowę, że ktoś ją obserwuje.

Co prawda w małym domku zatrzymało się strasznie dużo ludzi, ale wszyscy przecież spali, miała pewność, że na dworze jest sama, a jednak ktoś na nią patrzył.

Fionella była dość naiwną dziewczyną, lecz o dobrym sercu i bardzo samotną. Właśnie dlatego Theresa wybrała ją na swoją pokojówkę. Jako jedyna ze służby wyruszyła w podróż do Szwecji i właśnie dlatego czuła się wybraną.

Nie było w niej zła, już w czasie, kiedy mieszkała w strasznym domu dla sierot w Karnten, jej ambicją stała się szczerść i uczciwość. Theresa zetknęła się z dziewczyną przez przypadek i wypytawszy o jej losy, zabrała ze sobą do Theresenhof.

Oczywiście Fionella z podziwem patrzyła na młodych mężczyzn w domu, na Villemanna, Dolga, Uriela i Rafaela, lecz nigdy nawet jej się nie śniło, by wplątać się z którymś z nich w jakąś miłosną aferę. Wszak dzieliła ją od nich straszna przepaść. Nie posiadała się z dumy, że pozwolono jej uczestniczyć w tak wspaniałej przygodzie, dzisiaj brała też udział w kopaniu i nawet znalazła zarys jakiegoś znaku. Wszyscy zebrali się wtedy wokół niej i szczerze ją chwalili.

Doskonale zapamiętała, jak wygląda ten jej znak, podziwiała go z bliska i z

daleka, choć nie pojmowała, co może przedstawiać.

Nie miała też żadnego wyobrażenia o tym, co może znajdować się za Wrotami. Słyszała tylko, że podobno ma tam być jakiś lepszy świat, ale w jaki sposób, na miłość boską, zdołają otworzyć kamienne Wrota, które ledwie widać, nie mające ani klamek, ani zawiasów, ani nic, nawet szpary nad progiem?

Cóż za niezwykła, duszna atmosfera?

Weszła do środka. Na schodach było nieco chłodniej, pamiętała jednak, że na maleńkim stryszku panuje niesamowita duchota. Najbardziej miała ochotę ułożyć się tu na dole wśród worków z mąką i zwisających z sufitu szynek i kielbas, chociaż po prawdzie ich nie było, bo goście zjadali tyle, że nie starczyło na zrobienie jakichkolwiek zapasów.

Fionella przystanęła z nogą na najniższym stopniu.

Jakie to dziwne... Również tu w środku czuła się obserwowana. Mogła zrozumieć, że ktoś na zewnątrz na nią patrzył, bo przecież w leśnej zagrodzie przebywało tyle ludzi i ktoś mógł się kręcić, ale tutaj mieszkała tylko ona, nie należała wszak do rodziny.

Stanęła, wytężając wzrok i otwierając usta. Panował półmrok, skąpe światło nocy wpadało przez otwór na górze, dostrzegała wielkie poprzeczne belki, dźwigające konstrukcję strychu. W powietrzu unosił się przyjemny zapach starego drewna i czegoś jeszcze. Czegoś... zmysłowego, co drażniło, łaskotało skórę, sprawiając, że zalewało ją gorąco. Czuła to na wargach, w członkach, które z każdą chwilą stawały się coraz cięższe, jak z ołowiu.

Przestraszyła się. Chciała pobiec do swej pani, do księżnej Theresy, i powiedzieć, że w spichlerzu dzieje się coś niezwykłego, lecz jednocześnie jakaś jej część przeciw temu protestowała. Wrażenie bycia obserwowaną przez kogoś, kogo sama nie widziała, było całkiem przyjemne. Z mocno bijącym sercem wolno ruszyła na górę do swej maleńkiej sypialni.

Stryszek nie był przeznaczony na sypialnię, ale przy ścianach stały tu wysokie skrzynie - ławy, puste teraz, lecz wykorzystywane zazwyczaj do przechowywania

rozmaitych rzeczy. Przycupnęła na brzeżku jednej ze skrzyń, oparła się o ścianę, nie mogła powstrzymać ręki, która sama z siebie powędrowała w dół brzucha. Takie dziwne wrażenie... nie potrafiła nad sobą zapanować. Przerazona jednak zaraz cofnęła dłoń, bo poczuła, że dotyk tylko pogarsza sprawę. Powietrze oblepiło ją niczym gęsta wata, oddychała z trudem, powoli coraz mocniej ścisnęła uda, wyciągnęła nogi, jęknęła cicho.

Fionella nie zdziwiła się ani trochę, kiedy ktoś wszedł po schodach prowadzących na strych. Ktoś, kto wcale nie przyszedł z zewnątrz, lecz był w środku przez cały czas.

Wreszcie dotarł na górę. Dziewczyna ledwie dostrzegła go w ciemności, wiedziała jednak, że nie był to nikt ze znajomych. Wysoki mężczyzna o włosach spadających na ramiona.

Więcej zauważyć nie zdążyła.

Serce podskoczyło jej w piersi i tłukło się o żebra, jakby zaraz miało pęknąć.

- To musiała być Fionella - szepnęła Mariatta, kiedy drzwi do spichlerza się zamknęły. - Ładna dziewczyna i bardzo miła.

- To prawda - zgodził się Villemann. - Przyjmuje wszystko tak naturalnie.

Nie mógł oderwać wzroku od warg Marii, kochał tę twarz, która z początku wydała mu się taka twarda i zimna, z tymi oczami zapadniętymi ze smutku i cierpienia, starannie skrywanego przed innymi. Teraz przestała już być taka zamknięta, piękne rysy stały się wyraźniejsze. Wysokie kości policzkowe, fińskie dziedzictwo, wspaniale ukształtowane usta...

Villemann poczuł, jak bardzo się do niej zbliżył, dopiero kiedy dotknął wargami jej warg. Przeniknął go prąd radości i popłynął do wszystkich nerwów w ciele. Jakiś nocny ptak przemknął mu nad głową, ale on tego nie zauważył. Przypomniał sobie o tym dopiero kilka godzin później. Od drugiej strony jeziora dobiegło pluśnięcie, to łoś wszedł do wody, by posmakować tataraku. Lecz dla Villemanna i Mariatty wszystko to nie istniało.

Otaczało ich gęste, duszne powietrze naładowane jak przed burzą, lecz krył się za

tym jakiś inny żywioł. Odnosiło się wrażenie, że cała atmosfera przepelniona jest tłumioną żądzą, która w tym piekle namacalnej zmysłowości zaraża wszystkich bezbronnych ludzi.

Można się było spodziewać, że w każdej chwili rozlegną się dźwięki fletni Pana. Czarodziejskie i odpychające zarazem, kuszące i sprowadzające na manowce. Chwila wstrzymywanych oddechów, nieznośnego wyczekiwania minęła. Villemann odrzucił wszelkie zahamowania i pocałował Mariattę. Wcale nie lekko na znak przyjaźni; z przerażeniem i wielką radością pojął, że oto nadeszła chwila powagi. Mariana odpowiedziała na jego pocałunek, najpierw nieśmiało, z rezerwą, lecz zaraz włożyła w niego całą miłość, jaka wzbierała w niej przez te ostatnie dni. Kiedy złapali wreszcie tchu i jego dłonie mocno objęły ją w pasie, szepnęła:

- Mariatto, nie powinienem...

- Nie jestem dziewicą, Villemannie, mam dwoje dzie ci. Nie wyrządzisz mi żadnej krzywdy.

- Wiem, ale tak mi jesteś droga.

Nie odpowiedziała, ujęła tylko twarz chłopaka w dłonie i pocałowała go, delikatnie i z czułością.

Villemann porzucił wszelkie wątpliwości, to on z nich dwojga był niewinny, a ona mu pozwoliła, nie mógł już dłużej czekać.

Podczas gdy tych dwoje przeżywało prawdziwą, pełną oddania miłość, młodzietka Fionella doświadczyła czegoś zupełnie innego. W zmysłowym, niemal ociekającym żarem gorącu, jakie ją otaczało, widziała teraz swego gościa wyraźniej. Okazał się niezwykle przystojnym mężczyzną, wprawdzie rysy twarzy dość trudno było rozróżnić, lecz sprawiały wrażenie klasycznie czystych, oczy miał ciemne, niezwykle kształtu. Stał przed nią, znacznie górował nad nią wzrostem, opuścił dłoń i pogłaskał ją po włosach i po policzku.

- Nie bój się - szepnęła. - Zostałaś wybrana, potrzebujemy ich więcej.

Więcej wybranych? Nie mogła pojąć, o co mu chodzi. Oddech uwiązał jej w piersi, nie śmiała się nawet poruszyć czuła tylko gorące pulsowanie w podbrzuszu.

Ścisnęła nogi, ale to w niczym nie pomogło, przeciwnie.

Był tylko on się nie zorientował, co się ze mną dzieje, błagała w myślach. Dobry Boże, Jezusie, Maryjo, wspomóżcie mnie, niczego nie rozumiem, tak się boję, a jedyne, czego pragnę, to żeby mnie dotknął, by podszedł jeszcze bliżej. Ach, nie, wybacz mi, Boże, nie chciałam tego powiedzieć, ale chciałam, chciałam... Ach, Boże, co on robi?

Mężczyzna - chociaż czy można tak go nazwać? - rozsunął jej nogi i stanął między nimi, a ponieważ Fionella siedziała na wysokiej skrzyni, jego biodra znalazły się na wysokości bioder dziewczyny. Delikatnie ściągnął ją ku krawędzi.. Jezusie, Maryjo, co on robi, co robi, nie wolno mu tak robić, powtarzała Fionella w myślach, ale podniecenie, duszna wilgotność w powietrzu i reakcje własnego ciała przyprawiały ją o zawrót głowy. Płonęła już, pragnęła tylko jednego i on o tym wiedział, musiał wiedzieć.

Mężczyzna podniósł krótką szatę i Fionella w półmroku dostrzegła wycelowany w nią członek, długi i, jak jej się wydawało, niemal sześciokątny. Stanowił tak wielką pokusę, że nie mogła się powstrzymać od jęku niecierpliwości, choć jednocześnie śmiertelnie się bała, zdawała sobie bowiem sprawę, że nie ma do czynienia ze zwykłym człowiekiem. On jednak traktował ją delikatnie i przyjaźnie, troszczył się, by zaledwie się nie bała.

Fionelli zaraz po przybyciu do leśnej zagrody umocowano do ramienia nieduży aparacik. Księżna Theresa wyjaśniła jej, że obecni tu ludzie mówią różnymi językami. Z początku dziewczyna nie mogła pojąć, o co księżnej pani chodzi, wkrótce jednak zorientowała się w sytuacji, rozumiała wszystko, co do niej mówiono, nawet tych olbrzymich, budzących przerażenie, lecz przecież sympatycznych Madragów. Słyszała także, że istota, która przed nią stała, mówi całkiem jej nieznanym językiem, lecz i tak ją rozumiała.

Mężczyzna wypowiadał przyjazne słowa, tłumaczył, że wybrał ją, ponieważ jest silną, zdrową dziewczyną, a przy tym piękną, miłą i pełną zrozumienia. Nie przeszkadzało mu, że nie jest uczona, ponieważ i tak dominować będzie jego

inteligencja. Najważniejsze było jej dobre, czyste serce.

Fionella z wolna zdawała sobie sprawę, do czego wszystko to zmierza, lecz żądza bez reszty już pochwyciła ją w swoje objęcia, a nocny gość jakby rzucił na nią urok. Odnosiła wrażenie, że wcale nie chce jej wykorzystać, lecz coś z nią dzielić. Mieli zrobić coś razem. „Ty i ja”. „My”.

Jakież to piękne!

Kiedy w nią wszedł, delikatnie, lecz zdecydowanie, zamknęła oczy i odchyliła głowę. Owszem, sprawił jej ból, lecz nie tak wielki, bo przytłumiła go rozkosz, a partner potrafił odebrać sygnały dziewczyny. W jakiś niezwykle sposób udało im się zmienić ów zadziwiający rytuał w prawdziwie urokliwą chwilę.

Fionella nie byłaby kobietą, gdyby nie radowało ją spostrzeżenie, że i jego podnieciła jej bliskość. Świadoma tego uległa jeszcze większej ekscytacji, kiedy sięgnęli już szczytu. Mężczyzna podniósł ją w górę i na moment mocno przytulił, szepcząc:

- Dziękuję ci, kochana dziewczyno.

Posadził ją z powrotem na ławie, przelotnie pogładził po policzku i zszedł po schodach. W następnej chwili Fionella została sama.

Leżała nieruchomo, ciężko oddychając, zmęczona, lecz w poczuciu słodkiej tajemnicy, którą dzieliła tylko z obcym. Miała wrażenie, że przyszła do niej istota, będąca uosobieniem tej czarownej nocy, i zaprosiła do udziału w osobliwej ceremonii, właśnie ją, nic nie znaczącą Fionellę z sierocińca.

Kiedy zasnęła, na wargach miała uśmiech, świadczący o przeżyтым uniesieniu.

I nie słyszała gwałtownej burzy z piorunami, jaka przetoczyła się o świcie, zaganiając pod dach wszystkich nocujących pod gołym niebem.

Niesamowita noc dobiegła końca.

Wstawał nowy, niezwykle dzień.

12

Dolg przez całą noc spał jak kamień, a Taran twierdziła, że zasnął już w drodze do domu. To jednak nie było do końca prawdą, bo wyraźnie pamiętał, jak

Madragowie wyszli im na spotkanie, ktoś rozmawiał z nimi o uprzątnięciu pługiem zwałów ziemi w okolicach góry, a on pomyślał wtedy: „Dlaczego wcześniej nie poprosiliśmy o pomoc niesłychanie silnych Madragów?”

Rano obudził się jak nowo narodzony i wszyscy, którzy czekali na niego mniej lub bardziej cierpliwie, stali już gotowi, by wepchnąć mu śniadanie do ust, byle tylko jak najprędzej wyruszyć w okolice góry.

- Madragowie już tam byli - wyjaśnił Villemann, kiedy Dolg uprzejmie, ale stanowczo odrzucił wszelką po moc przy karmieniu. - Wzdłuż góry ciągnie się teraz znakomity okop strzelecki.

- Wspaniale! Jaki cudowny poranek po deszczu! Zna leżli jeszcze jakieś znaki?

- Uznali, że sami powinniśmy się o tym przekonać.

- Jacyż oni dobrzy - powiedział Dolg wzruszony. - Bardzo się cieszę, że przejdą z nami przez Wrota, jeśli oczy wiście uda się nam je otworzyć.

- Wszyscy są dzisiaj bardzo optymistycznie nastawie ni - zapewnił go Villemann. Tylko ja nie, pomyślał Dolg, ale głośno tego nie powiedział.

Czekali już przed domem i dreptali z niecierpliwością. Tego dnia towarzyszyli im również Madragowie, nie było natomiast Ludzi Lodu, którzy nocą wyruszyli wraz z wielkim stadem koni. Mieli już nie wracać, w ich własnej rodzinie zaczęły się nagle kłopoty. Taran wydawało się, że wspominali o jakiejś Ingrid i o Ulvhedinie, nie bardzo pamiętała te imiona, którzy wpadli w tarapaty, oboje bowiem dobrze znali się na czarach i nie brakowało im złośliwości, jeśli tylko nastrój mieli ku temu.

Grupka czarnoksiężnika musiała więc na razie sobie radzić bez Ludzi Lodu.

„Brzeg morza” u stóp góry wyglądał teraz całkiem inaczej, widok zasłaniał szeroki i wysoki wał ziemi, ale trzeba przyznać, że Madragowie naprawdę świetnie się spisali. Koniec mozolnego drążenia, teraz mogli po prostu oglądać skalną ścianę, nic im w tym nie przeszkadzało.

Móri gwizdnął cicho.

- Lemur, który wyrył ten rysunek, musiał być tak wy soki jak ty, Cieniu.

- Wyższy - spokojnie zauważył Erling. - Znacznie wyższy.

- Rzeczywiście. Chyba że ryjąc w skałę stał na palcach i wyciągał się w górę.
Dość niewygodna pozycja.

Widać było teraz wyraźnie, że Wrota są dużo starsze niż mniejsze symbole, które wryto zapewne za czasów Cienia.

- Mozolna praca - mruknęła Theresa. - Musiało mu to zająć wiele miesięcy.

- Wcale mi się tak nie wydaje - powiedział Cień. - Dysponowaliśmy bardzo dobrymi narzędziami, a stukanie, jakie słyszałem, było wyjątkowo pospieszne.

Przypuszczam, że nie trwało dłużej niż kilka dni

- No, no, no - pokręcił głową Villemann. - I co? Co wynika z rysunków, które zostały odkryte?

Najpierw przyjrzeni się Wrotom, widocznym teraz w całej okazałości.

- Tu jest mnóstwo symboli - rzekł jeden z Lemurów z podziwem i zwrócił się do swych współbraci: - Widzicie, co oznaczają?

- Oczywiście - odparł inny Lemur. - Można z nich czytać jak z księgi.

- Wyjaśnijcie to nam - poprosiła Taran. - Ja nie widzę żadnych symboli, tylko całe mnóstwo dziwacznych zawijasów.

Lemurowie, mimo że nie okazała należnego szacunku, uśmiechnęli się przyjaźnie.

A oto jak wyglądały Wrota:

- Zaraz zobaczymy - powiedział Cień. - Ja byłem tylko prostym wojownikiem, lecz jeśli się nie mylę, to je den z moich zacnych ziomeków, Strażników, jest wielce uczoną osobą. Proponuję, aby to on tłumaczył.

Strażnik kiwnął głową.

- Zacznijmy od tej środkowej figury na samej górze. To litera H w naszym alfabecie, symbol czterech Sił Twórczych. Wejście jest więc poświęcone czterem Siłom Pierwotnym.

Taran już chciała spytać, o jakie siły chodzi, ale nie śmiała mu przerywać.

- Okręgi po obu stronach to symbol tego, który stoi ponad Siłami, Wielkiego Stwórcy. Dwa słupy poniżej, które, jak widzicie, mają cztery nacięcia i odzwierciedla ją liczbę cztery, jeszcze raz symbolizują cztery Siły Elementarne.

Lewy słup kończy się czworokątem, zaciśniętą pięścią, to znak siły, prawy ma otwartą dłoń, symbol tego, co zasadnicze i decydujące.

Przyglądali się skalnej ścianie, stojąc na usypanym z ziemi wale. W ciągu dnia bardzo trudno było dostrzec Wrota, teraz jednak poranne słońce padało na nie od drugiej strony i znów wydobyło cienie. Ponadto kiedy już się wiedziało, gdzie są Wrota, łatwiej było je znaleźć.

Fionella miała wrażenie, że rysunek przede wszystkim przypomina twarz z otwartą paszczą, która chce ich połknąć, ale głośno nie ośmieliła się tego powiedzieć.

Magiczne chwile nocy zastąpiło poczucie winy. Co ona właściwie zrobiła? Czyżby nie miała ani krztyny wstydu? Co powie księżna Theresa, jeśli się o tym dowie? Albo raczej kiedy się dowie, bo przecież jej postępek musi mieć następstwa. Jakiś potwór, czy też co?

Chyba że wszystko było snem.

Tak, oczywiście, odetchnęła z ulgą.

Bardzo brzydki sen, ale to przez tę duszną noc. I na dodatek jeszcze spała pod kocem. Tak, tak oczywiście musiało być.

Udało jej się zbagatelizować uciążliwy ból w podbrzuszu, pojawił się z pewnością dlatego, że tego ranka już trzykrotnie musiała się oddalić w prywatnej sprawie, a teraz zastanawiała się, czy jeszcze raz nie zniknąć w lesie, dla pewności.

Ale sen był naprawdę bardzo rzeczywisty. Maleńki cień strachu wciąż tkwił w sercu biednej Fionelli.

Villemann i Mariatta stali ściskając się za ręce, a po bokach wolną ręką trzymali każde swoje dziecko i starali się odcyfrować widniejące na skale symbole.

Villemann zdążył już rano przeprowadzić rozmowę z rodzicami. Nie wspominał oczywiście, co przydarzyło się nocą, ale powiedział, że pragnie poślubić Mariattę. Oznajmił, że traktuje tę sprawę poważnie, jest gotów być ojcem dla jej dzieci, poinformował też, że Mariatta na to przystała. Czekał teraz tylko na zgodę matki i ojca.

Tiril i Móri popatrzyli na siebie.

- Mój kochany - powiedział Móri wreszcie. - Poznałem Marię dobrze i wiem, że to dziewczyna odpowiednia dla ciebie. Mówiłem o niej twojej matce, przypuszczałem bowiem, że taka chwila nadejdzie. Ale, kochany, jak masz zamiar załatwić teraz ślub? Nic nie wiemy o przyszłości, nie wiemy nawet, co nam przyniesie dzisiejszy dzień, przecież wszystko się może zdarzyć.

Villemann przygnębiony musiał przyznać, że rzeczywiście jest to kłopot.

- E, tam! - rzuciła Tiril wesoło. - Wiemy, że macie po ważne zamiary, czy naprawdę tak bardzo trzeba się spieszyć ze ślubem? Jest tu więcej niezamężnych par. Mama zamierzała zorganizować podwójne wesele dla swoich dzieci, ale do tego nie doszło, nie zdążyli. Ty i Mariatta macie nasze błogosławieństwo. Myślę, że to na jakiś czas wystarczy.

Móri kiwnął głową.

- Do czasu aż znajdziemy księdza lub kogoś równie godnego.

Rozradowany Villemann podziękował promiennie i pobiegł do Marii, by jej wszystko powtórzyć.

Żadne z nich jednak nawet w myślach nie śmiało zadać sobie pytania, gdzie szukać kogoś takiego jak ksiądz tam, dokąd zamierzali wyruszyć?

Na wale ziemnym zgromadziło się sporo osób, stali w jasnym, ukośnie padającym świetle porannego słońca. Na pajęczynach lśniły krople rosy, wypoczęte o poranku ptaki radowały uszy śpiewem, a skała wciąż jeszcze pozostawała wilgotna po deszczu, który przyniosła burza.

Lemurowie omawiali między sobą mniejsze symbole.

- Możemy posłuchać? - zapytał Móri.

- Tak - odparł uczonego Strażnik. - Wszystko stało się teraz dla nas znacznie jaśniejsze. Wczoraj kolejność symboli wydawała nam się jednym wielkim chaosem, nie widzieliśmy też wszystkich znaków, a ponadto nie które z nich były niepełne. Teraz widzimy całość.

- L..?

- Zastanawialiśmy się, dla kogo wyryto te znaki? Dla nas, prawda? Dla nas, czworga Strażników, którzy po zostali?

- To prawda.

Oblicze Cienia było jak wyrzeźbione w kamieniu. Nikt nie wiedział, czy i on również się do nich zaliczał. Nikt, nawet on sam, bo przecież wówczas przed dziesięcioma tysiącami lat został tutaj dobrowolnie.

- Chcesz powiedzieć, że to jakiś kod? - spytał Móri Strażnika. - Taki, którego nikt niepowołany nie może pojąć?

- Właśnie. Umilkli.

- Wy nie jesteście niepowołani - oświadczył Strażnik.

- To wasza zasługa, że stoimy tu dzisiaj. I za to winni wam jesteśmy ogromną wdzięczność.

Móri skinął głową.

- Udało wam się rozszyfrować kod?

- Chyba tak. Jeszcze nie skończyliśmy, ale...

- Mów.

- Jak widzicie, pod górnymi znakami wyłoniło się kilka mniejszych, składających się z kropek i kresek. Zaczynając od lewej strony, pod pierwszym znakiem widzimy taki rysunek: *** . Te kropki i kreski symbolizują liczbę osiem. Widzicie, liczyliśmy za pomocą tabeli, która jako główną cyfrę miała pięć, unikaliśmy cyfry dziesięć, ponieważ oznaczała naszego Stwórcę, czyli Świętość.

- A kto był waszym Stwórcą? - prędko spytała Taran. Nie zdążyła ugryźć się w język.

Lerhur popatrzył na nią.

- Powinnaś to wiedzieć. Słońce. Święte Słońce. Teraz, w dzisiejszych czasach, mówimy głośno o Słońcu i o cyfrze dziesięć. Przedtem nigdy się to nie zdarzało.

- Oczywiście, wybaczyć nieoświeconej Ziemiance. Strażnik się uśmiechnął.

- Pod następnym znakiem widzimy tylko dwie kropki, liczbę dwa, a następnie jedną kropkę nad dwiema kreskami, czyli jedenaście, i tak dalej wzdłuż skały. Jak

widzicie, nie ma tu żadnego porządku.

- Owszem, ale ponieważ wy znacie sposób liczenia, potraficie przeczytać znaki we właściwej kolejności.

- Tak, z jednym tylko wyjątkiem, którego rozwiązania jeszcze nie odnaleźliśmy.

- Przeczytaj, do czego doszliście - poprosił Dolg.

- Spróbujemy jakoś dociec reszty.

- Dobrze.

Lemurowie przez chwilę konferowali między sobą, w końcu pokiwali głowami i uczony Strażnik oznajmił:

- Jeśli zaczniemy tutaj, od dwójki, a potem przeskoczmy do trójki i tak dalej, to otrzymamy tekst, który brzmi mniej więcej tak: Czarne słońce króluje nad krainą, która zniknęła. Czarna żałoba nad naszymi krewniakami, którzy zapadli się w morze. Chodzi tu o dziesięć plemion. Pójdźcie za nami ku światłu, do świata przodków. Trzy są znaki, które prowadzą do Wrót. Dwie są drogi, które wiodą do Słońca. Jeden zbierze je wszystkie.

Zapadła cisza.

- Ach, tak - mruknął Villemann.

- No właśnie - zawtórował mu Rafael; zawsze oni dwaj jako pierwsi rozwiązywali zagadki. - Większość rozumiem, ale nie pojmuję, co ma znaczyć to trzy, dwa i jeden.

- Za to ja rozumiem - pochwaliła się Taran. - Ale zaczęłeś od znaku numer dwa, Strażniku. A jaki jest pierwszy znak?

- Tego właśnie jeszcze nie wiemy.

- Chcecie powiedzieć, że rozumiecie, co znaczy to trzy, dwa i jeden - upewniała się Tiril.

- Oczywiście. Trzy są znaki, które prowadzą do Wrót. To rzecz jasna szafir, farangil i Święte Słońce.

- Ojej! Wobec tego wiem, co oznacza dwa. Dwie są drogi, które wiodą do Słońca - ucieszył się Villemann. - To szafir i farangil.

- Słusznie. A ten jeden, który zbierze je wszystkie?
- To Dolg - dokończył Rafael.
- Znowu racja. Przecież właśnie on odnalazł kamienie i uwolnił nas. To on ma odszukać Słońce i otworzyć Wrota.

Milczeli.

- Reszta jest więc moim zadaniem - wyszeptał Dolg.
- Tak, reszta należy do ciebie - potwierdził Strażnik.
- Opuścimy cię teraz.

Nie możecie tego zrobić, pomyślał Dolg wystraszony.

- Żałuję, że nie mogę z tobą zostać - westchnął Rafael.
- Ja też - tęsknie przyznał Villemann.
- Niestety, to niemożliwe - powiedział Strażnik.
- Wszyscy bardzo byśmy chcieli pomóc Dolgowi w rozwiązywaniu zagadki, lecz jego zadanie wymaga niezwyklej koncentracji. Mózg musi mieć całkiem oczyszczony z innych myśli, a kiedy my będziemy tu obecni i nasze myśli będą mu zakłócać skupienie, niebezpieczeństwo de koncentracji może stać się zbyt wielkie. Na przykład ty, Villemannie, nie wydaje ci się, że od czasu do czasu posyłasz jakąś myśl Mariatcie? Jakąś myśl pełną szczęścia?
- To bardzo możliwe - zgodził się Villemann wyraź nie zakłopotany.
- I więcej nie trzeba, żeby wszystko zepsuć. Wycofujemy się teraz, Dolgu. Nie spiesz się, poświęć na to tyle czasu, ile potrzebujesz. Zaczekamy w domu.
- Ale... co mam robić?

Żywił nadzieję, że jego strach nie jest zbyt widoczny. Oczywiście powinien być na tę chwilę przygotowany, czekał na nią całe życie, teraz jednak wypadki następowały po sobie zbyt szybko. Uzyskał za mało informacji, nie wiedział, czego powinien szukać. No tak, Słońca, oczywiście, ale jak, nikt mu tego nie powiedział. Strażnicy tylko kręcili głowami. Cień patrzył na niego z żalem, ale i on nie potrafił pomóc.

- Nie możecie tego zrobić - gwałtownie zaprotestowała Taran. - Mój brat...

- Musimy - przerwał jej Cień zasmucony. - Dolg mu si zostać sam i sam
wszystkiego dokonać.

Odeszli. Wielu odwracając się stwierdziło, że młody chłopiec stojący pod wysoką
góram z ukrytymi w niej Wrotami wygląda na rozpaczliwie osamotnionego.

Móri czuł, że oto zdradza swego syna. Przypomnił sobie Dolga, kiedy ten był
jeszcze dzieckiem, samotnym dzieckiem, którego uczył magii i islandzkich
galdrów, dzieckiem, które tak jak teraz musiało zostawać w domu samo, podczas
gdy innych zapraszano w gości, ponieważ gospodarze obawiali się, że ich dzieci
wystraszą się odmieńca.

Odmieniec, jakież to okropne słowo! Dziecko podkładane przez trolle do kołyski, z
której w ciemną noc kradły ludzkie dzieci. Tak mówiły skandynawskie baśnie.

Samotne dorastanie Dolga... Czy taki był tego cel? Czy to ze względu na ten
moment syn Móriego otrzymał swój szczególny wygląd, swoje zdolności i talenty
okultystyczne? Czy teraz naprawdę nadeszła ta chwila?

Tak, tak właśnie było. Móri musiał spojrzeć prawdzie w oczy.

Mój syn zawsze stał z boku, nigdy nie potrafiłem do niego dotrzeć. Zawsze
pozostawał dla mnie obcy, nawet kiedy jako małe dziecko dreptał u mego boku,
niczemu się nie dziwiąc. Zawsze czułem się wobec niego trochę zakłopotany. Pod
skałą Graben ocalił mi życie, a raczej mi je przywrócił, mały chłopczyk stawiający
czoło niebezpiecznemu rycerskiemu zakonowi. To on wyzwolił Tiril z lochów w
Pirenejach. To on, sam wystraszony, odnalazł najpierw szafir, później odzyskał
farangil na Islandii, w mojej ojczyźnie.

Dolg jest już dorosły; wspinały młody człowiek.

Móri z dumą wspomniął, z jakim szacunkiem pozdrowili Dolga dwaj rycerze w
czerni, kiedy postanowili zrezygnować z walki o Święte Słońce. Był to naprawdę
wielki moment w życiu Móriego.

Zamierzał wszak posłużyć się magią imienia, by unieszkodliwić tych dwóch
rycerzy, znacznie przewyższających urodzeniem pozostałych braci zakonnych.
Teraz już nie było to konieczne, okazali się zbyt dumni, by dopuścić możliwość

klęski, już raczej zdecydowali się odjechać z podniesioną głową. W istocie, było to dostojne pożegnanie. Ach, Boże, jakże wielcy się okazali w tym momencie gorzkiej prawdy!

I dobrze wiedzieli, komu należny jest szacunek. Nie jemu, czarnoksiężnikowi Móriemu, lecz młodemu Dolgowi.

Móri zawsze zdawał sobie sprawę, że syn znacznie go przewyższa.

Uśmiechnął się nie bez goryczy. Wiedział teraz, kim są owi rycerze, znał ich imiona, chociaż do niczego już mu się nie przydadzą.

To Heinrich Reuss wywęszył prawdę o pochodzeniu czarnych rycerzy. Dręczony śmiertelnym strachem przed Zakonem Świętego Słońca, zabrał się do dzieła z niezwykłą ostrożnością, pragnął jednak dopomóc przyjacielowi Móriemu, aby ten mógł odprawić magiczny rytuał. W największej tajemnicy szperał wśród ksiąg hofburskiej biblioteki, a ponadto dyskretnie się rozpytywał, tak by nikt się nie zorientował, co właściwie go interesuje.

Wieczorem w dniu, kiedy przybyła grupa z Austrii, opowiedział Móriemu o rycerzach w czerni. Zasiedli w niedużej komorze, starannie zamknawszy drzwi, przy jednej tylko łojowej świeczce.

Jeden z rycerzy, książę niemiecki, pochodził z obodrzyckiego rodu Strelitz. Nosił tytuł wielkiego księcia Konstantyna von Strelitz i gdyby zechciał, mógłby pretendować do tronu dwóch północnoniemieckich księstw. Dokonał jednak wyboru i, zachowując swój książęcy tytuł, poświęcił się całkowicie Zakonowi Świętego Słońca.

Właściwie dynastia Strelitzów już wymarła i pytanie, czy Konstantyn miał prawo tytułować się wielkim księciem, nasuwało niejaki wątpliwości. Dla pewności więc pozostał przy księciu, co nie było wcale bezprawne. Strelitzowie byli niegdyś w oddziałach strzelców, gwardii przybocznej cara Rosji, Iwana Groźnego, i z czasem zdobyli władzę tak wielką, że sto pięćdziesiąt lat później Piotr Wielki zgładził najpotężniejszych i rozwiązał gwardię. Książę Konstantyn niewątpliwie wiele odziedziczył po swoich rosyjskich przodkach.

Drugim z czarnych rycerzy był gospodar Radu Brankovan z Wołoszczyzny, również z rodu książęcego, który przestał już istnieć, lecz którego potomkowie zachowali prawo do tytułów książęcych, a w każdym razie postanowili wciąż je nosić. Gospodar Radu, podobnie jak książę Konstantyn, opływał w nieprzyzwoite bogactwa, miał też bardzo sławnego przodka... Był nim ni mniej, ni więcej jak tylko żyjący w XV wieku Vlad Tepes, który przeszedł do historii pod imieniem Dracula, krwiożerczy, znany z okrucieństwa pan. Zasłynął z tego, że lubił jadać obiad, patrząc, jak jego wrogów nabija się na pal i zadaje się im najwymyślniejsze tortury. Poszeptowano, że Dracula nigdy nie umarł...

Ile z krwiożerczości odziedziczył po swym antenacie gospodar Radu, tego Heinrich Reuss nie wiedział, nikt jednak nie miał najmniejszych wątpliwości, że młody książę jest niezwykle dumny ze swego rodowodu.

Obaj książęta we wszelkich poczynaniach Zakonu zawsze trzymali się razem, podobnie jak to czynili od najwcześniejszych młodzieńczych lat. Obaj we wszystkim, co miało cokolwiek wspólnego z walką i bronią, starali się być najzręczniejsi.

Pochylili jednak swe szlachetne głowy przed młodym człowiekiem, wywodzącym się z jałowych wzgórz Islandii. Może okazywali szacunek płynącej w żyłach Dolga krwi Habsburgów? Nie, Móri odrzucił tę możliwość. Młodzieniec osobiście im zaimponował.

Tak, tak, dorosły. Dwadzieścia jeden lat? Czy taki wiek może mieć jakiegokolwiek znaczenie w obliczu zadania, które zdawało się absolutnie niemożliwe do wykonania, bez niczyjej pomocy czy choćby porady?

Nie, nie mogę go teraz opuścić, doszedł do wniosku Móri. Potrzeba mu mojego doświadczenia.

Cień mocno ujął czarnoksiężnika za ramię i stanowczo skierował na drogę do domu.

Villemann, Taran, Uriel i wszyscy pozostali także czuli się nieswojo. Ogromnie pragnęli pomóc Dolgowi, nikomu jednak na to nie pozwolono. Nero zapierał się

wszystkimi czterema łapami, tak bardzo pragnął zostać ze swoim panem.

W oddalającej się gromadzie ktoś nieustannie się odwracał i machał Dolgowi na pożegnanie.

Tiril miała łzy w oczach.

- Czy my naprawdę wiemy, co robimy, Móri? - szepnęła. - Czy to słuszne z naszej strony?

- Najważniejsi są Lemurowie - odparł cicho. - Musi my umożliwić im połączenie się ze współplemieńcami. Madragowie również nie mogą tu zostać przez całą wieczność, a dla nas też będzie lepiej opuścić ten świat. Dolg i ja jesteśmy teraz nieśmiertelni, mam niejakię podejrzenia, że i Villemann również, tak długo wszak opiekował się szafirem. Rodzina Theresy utraciła wszystko. Nie zapominajmy też o zastępach, które tu przybyły, aby przejść przez Wrota, o błędnych ognikach i całej reszcie.

- Czy duchy nie mogą nic zrobić dla Dolga?

- Nie. Nie wolno im się angażować. Ludziom Lodu także, zresztą już ich tu nie ma. Poza tym duchy również pragną opuścić nasz świat, ich sytuacja staje się co raz trudniejsza, a pewnie będzie jeszcze gorzej.

- Ja w każdym razie bardzo się cieszę, że wyruszamy wszyscy razem. Żle by było, gdyby ktoś postanowił zostać.

Umilkła. Myślami powędrowała daleko.

Jeden z moich synów... To straszne, okropne przeczucie znów powróciło.

Och, Dolgu, moje dziecię smutku, oby nie dotyczyło ciebie!

Ale też i nie Villemanna!

Nie mogę stracić żadnego z nich.

Właściwie nigdy nie miała wrażenia, że chodzi o utracenie któregoś z synów, raczej że coś się jednemu z nich przydarzy.

Dolgu, Dolgu! Moje myśli są przy tobie, dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Nero, mocno trzymany na smyczy przez Uriela, odwrócił się w stronę skały, przy

której stał jego ukochany pan, i usiadł na ziemi. Rozżalony, że musi opuścić swego pana w tak trudnej sytuacji, zaskowyczał z rozpaczą.

13

Dolg oceniał sytuację.

Na szczęście Madragowie doskonale się spisali, bardzo starannie wykonali swoją pracę. Przekopali się przez kolejne warstwy ziemi aż do piaszczystej plaży. Wtedy się zatrzymali, pobrali tu i ówdzie kilka próbek, by sprawdzić, co kryje się pod pokładem piasku, lecz nie było tam nic godnego uwagi.

A za plażą rozciągało się wtedy morze.

Dolg mógł więc mieć pewność, że Słońce nie zostało ukryte poza okolicą góry. Wyjął olbrzymie kule; jak wcześniej zaśniły tęczowym blaskiem, gwałtownym, niemal, jak mu się wydawało, nerwowo poszukującym.

Chciały czegoś od niego, sprawiały wrażenie zniecierpliwionych tym, że on nie rozumie. Nie skupiały jednak swych promieni w żadnym określonym punkcie.

Dolg zastanawiał się.

Pierwszy znak... ten którego brakowało.

Tam musiało kryć się rozwiązanie zagadki.

Dlaczego Strażnicy nie mogli jej rozwikłać? Przecież to dla nich pozostawiono Słońce na Ziemi.

Czy ostatni król Lemurii i jego mędrzy wiedzieli, że on, Dolg, przybędzie?

Nie mogli o tym wiedzieć. Sądziłi wszak, że Strażnicy przyjdą wkrótce za nimi.

„Jeden zbierze je wszystkie”.

A jeśli te słowa wcale nie wskazują na niego? Jeśli chodzi o coś zupełnie innego? Zszedł z usypanego wału ziemi bliżej skalnej ściany. Niepojęte się wydawało, że Wrota, wyryte w skale w niepamiętnych czasach, da się w ogóle otworzyć. W kamieniu nie widać było najmniejszej nawet szczeliny. Tylko prastary relief, zatarty niemal całkiem przez wichry i niepogodę.

A jeśli te Wrota rzeczywiście nie dadzą się odemknąć? Jeśli stanowią tylko wskazówkę: „W tym oto miejscu znajdują się jedne z Wrót na świecie”? Trzeba

będzie odnaleźć te prawdziwe.

Deprymująca myśl.

Dolg uznał, że musi zacząć się koncentrować. Co prawda nie myślał o niczym innym, jak o rozwiązaniu zagadki, lecz niewiele brakowało, by się od niej oderwał.

Musi wyeliminować wszelkie napływające z zewnątrz zakłócenia.

Lemurowie nie mówili nic o tym, że posługiwanie się galdrami jest zabronione, usadowił się więc oparty plecami o ścianę, ze skrzyżowanymi nogami, niemal w pozycji lotosu, tylko nieco bardziej swobodnie, mniej więcej tak, jak siadają indiańscy szamani, i zaintonował magiczną pieśń, wymyśloną specjalnie na tę okoliczność.

- Ptaki niebieskie i leśne zwierzęta - zaczęły i dalej zaklinał, prosząc, by trzymały się z dala, niewidzialne i niesłyszalne dla niego, by mu nie przeszkadzały, zawsze bowiem ulegał przemożnemu wpływowi tego miejsca.

Ptasi świergot umilkł, w lesie i na bagnisku zapadła niesamowita cisza. Dolg nie mógł się oprzeć wrażeniu, że został na świecie sam jeden. Gorąco pragnął mieć przy sobie Nera, lecz obecność psa mogłaby zakłócić jego koncentrację.

Celowo usiadł oparty plecami o górę, pragnął poczuć bliskość skały, stopić się z nią w jedność. Doszedł do wniosku, że ponieważ często udawało mu się odczytać historię jakiegoś przedmiotu już przez samo trzymanie go w ręku, to zdoła być może poznać przeszłość góry, dotykając jej plecami.

Wreszcie zaczął oczyszczać mózg ze wszelkich myśli.

Jest to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakiej dokonać może człowiek, mózg bowiem pracuje nieprzerwanie, czy się tego chce, czy też nie. Nawet kiedy śpimy, przędzie swoje długie historie, zwane przez nas snami. Jedyne więc, co osiągnąć mógł Dolg, to chwilowy brak myśli - nigdy nie trwa długo - i zaraz potem skupienie się tylko i wyłącznie na czekającym go zadaniu.

Słońce zaczynało grzać, dopóki jednak nie świeciło mu prosto w oczy, mógł to wytrzymać. Z ziemi po nocnym deszczu unosiła się para, podłoże wysychało.

Dużo czasu upłynęło, zanim dotarł do punktu zerowego. Musiał znaleźć

najwygodniejszą pozycję tak, by nic go nie - uwierało, by nie ścierpła mu noga, która odezwałaby się w najmniej odpowiednim momencie. Wszystko musiało być jak najdoskonalsze. Po kolei zapominał o poszczególnych częściach swego ciała, o stopach, nogach i tak dalej. Następnie odsunął wszelkie codzienne myśli związane z rodziną, z jego własnym życiem, z przyszłością, z otoczeniem... Kiedy wreszcie poczuł, że jest od nich wolny, słońce znacznie się przesunęło na niebie. Dolg znajdował się teraz w stanie bliskim transu czy wręcz omdlenia i mógł skoncentrować się na wznoszącej się za jego plecami skale, spróbować ją wyczuć, stwierdzić, czy nie ma mu nic do przekazania.

To trwało, niedobrze, bo ogromną trudność sprawiało mu niedopuszczanie do głosu żadnych innych myśli. Skalna ściana, skalna ściana... Usiłował skupić się wyłącznie na niej. Gdyby tylko miał tu ze sobą Nera...

Koncentracja myśli Dolga była tak silna, że Nero w domu przejął jego pragnienie i zaczął głośno wyć. Próbował rzucić się na drzwi, ale starannie przywiązano go do ławy i choć przesunął ją spory kawałek, z jego zamiarów i tak nic nie wyszło.

Ale Dolg myślą o psie wyrwał się z koncentracji i musiał zaczynać wszystko od nowa.

Czas płynął, słońce wędrowało po niebie swoim torem, zaszło daleko, kiedy Dolg wreszcie coś poczuł...

Jakiś przebłysk... Czego?

Rysunki przemawiały do niego, w jego świadomość zaczęły się wdzierać zupełnie obce myśli.

„Pierwszy znak”.

Jak go znajdę? odpowiedziały myśli Dolga.

„Szukaj, przeczytaj inskrypcję jeszcze raz”.

Dolg miał ją w głowie, nie musiał nawet się podnosić.

Czarne słońce króluje nad krainą, która zniknęła. Czarna żałoba nad naszymi krewniakami, którzy zapadli się w morze. Pójdźcie za nami ku światłu, do świata przodków. Trzy są znaki, które prowadzą do Wrót. Dwie są drogi, które wiedą do

Słońca. Jeden zbierze je wszystkie.

Czy to słuszne? zastanawiał się. Czy właściwie przetłumaczone?

„Prawie”, zabrzmiała odpowiedź w jego głowie. „Przemyśl to jeszcze raz”.

Po krótkiej chwili rzekł bezgłośnie: Po pierwsze, myli mnie trochę słowo

„przodkowie”, chodzi wszak o krainę Obcych. Dlaczego nagle nazywa się ich przodkami? Nigdy dotąd się to nie zdarzyło, zawsze mówi się o nich jak o Obcych.

„Masz rację, Dolgu, dobrze myślisz, ale to akurat jest nieistotne. Zastanawiaj się dalej nad innymi źle przetłumaczonymi znakami”. To musi dotyczyć tego „trzy... dwa... jeden”.

Milczenie.

Dolgu wysłał umysł do granic możliwości.

„Przypatrz się znakom, Dolgu!”

Wstał, w niczym nie mogło mu to już teraz zaszkodzić, gdyż skupił się wyłącznie na zagadce góry.

Nagle zdał sobie z czegoś sprawę. To wcale nie góra ani nie rysunki do niego przemawiały, lecz coś zupełnie innego, ale co? No cóż, na razie trzeba o tym zapomnieć.

Znaki.

„Trzy są... dwie są...” Jeśli liczba trzy nie dotyczy Słońca, szafiru i farangila, a dwa szafiru i farangila... To co miało znaczyć to trzy i dwa?

Znak numer dwa i trzy?

Odnalazł je. Umieszczono je dość daleko od siebie, oba jednak miały pewien wspólny element: głębokie wyżłobienie symbolizujące pociemniałe słońce, które komuś znajdującemu się w zatopionym świecie Lemurii musiało świecić poprzez fale...

Z wolna w głowie Dolga rodził się pomysł.

Zbyt daleko od siebie, by mógł osiągnąć obu jednocześnie. Potrzebował pomocy.

Ale to przecież zabronione.

Jeszcze raz przyjrzał się reliefom. Znak numer dwa, symbolizujący „czarne słońce królujące nad krainą, która zniknęła”, wyglądał następująco: hiś, znak numer trzy, „czarna żałoba”, składał się tylko z jednego słońca • , a bezpośrednio po nim następował znak numer cztery: „nasi krewniacy, którzy zapadli się w morze”. Dolga najbardziej zainteresowały okrągłe wyźłobienia przy znakach dwa i trzy. Wryto je o wiele głębiej niż wszystkie pozostałe symbole, a skalna ściana właśnie w tym miejscu znacznie mocniej się nachylała.

Powinien dać sobie z tym radę sam...

Jeśli zacznie od znaku numer trzy, znajdującego się na bardziej nachylonym fragmencie ściany.

Dolg wstrzymał oddech, czy starczy mu odwagi? Co miał do stracenia? Czy może tym coś zepsuć?

Chyba raczej nie.

Wciąż bał się oddychać normalnie, wolno wyjął dwie szlachetne kule, podniósł do góry szafir...

Nie, szafir był pierwszym kamieniem, jaki znalazł, w takim więc razie przypisany był do znaku numer dwa, a on musi zacząć od znaku numer trzy. Wobec tego, jeśli nie pomylił się w obliczeniach, tutaj potrzebny jest farangil.

Nerwy miał napięte jak struny.

Cichutko szepnął do kryjącej się gdzieś w pobliżu nieznannej mocy:

- Czy słusznie postępuję?

Brak jakiegokolwiek odpowiedzi, ani słowa zachęty, ale też i nic go nie powstrzymywało.

To znaczy, że sam musi myśleć. No cóż...

Nie, nie wolno mu się gniewać, na to pozwolić sobie nie może. Skup myśl na tym, na czym powinieneś, upominał sam siebie.

Farangil... Lśnił wszystkimi odcieniami czerwieni. Jakiż piękny, sprowadzony z głębi, do jakich ludzie jeszcze nie dotarli. A może przybył z gwiazd, nie wiadomo.

Podobnego jemu nie było na świecie.

Drżącymi dłońmi, nieśmiało, jak gdyby chciał zachować prawo, by w każdej chwili móc się wycofać, ułożył kamień w wyżłobieniu, właściwie stanowczo za małym dla kuli, lecz ze względu na nachylenie powierzchni skały istniała możliwość, że się w nim utrzyma. Farangil leżał, nie spadając. Dolg odetchnął z ulgą.

Nie zauważył natomiast żadnej nawet najdrobniejszej zmiany w grze kolorów wysyłanych przez kulę. Nadeszła kolej szafiru i umieszczonego w znacznej odległości znaku numer dwa.

- Leż tutaj! - poprosił czerwoną kulę, odchodząc ostrożnie.

Bał się stapać po ziemi w obawie, że czerwony kamień się stoczy. Mógł spaść z wysoka i uszkodzić się przy upadku.

Prowadzę bardzo ryzykowną grę, której stawką są klejnoty Lemurii.

Stanął przy drugim znaku, podniósł szafir.

Tutaj wyżłobienie było jeszcze mniejsze, za to skała nachylała się mocniej. Czy powinien spróbować?

Przełknął ślinę i położył szafir w malutkiej niecce.

Kolejne westchnienie ulgi. Zrobił to, co zamierzał, ale nic się nie działo.

Ledwie zdążył doprowadzić tę myśl do końca, kiedy z kamieni wytrysnęły czerwone i niebieskie płomienie. Nie kierowały się na niego, lecz omiatały całą skałę, sypiąc iskry w powietrze, lśniąc wszystkimi kolorami tęczy z przewagą odcieni czerwieni i błękitu.

Niesamowite, nigdy nic podobnego nie widział, to najniezwykłejsza orgia barw, jaką kiedykolwiek zaprezentowały kamienie. Ale co to miało znaczyć? Co chciały mu przekazać? Zaskoczony świetlnym zjawiskiem odskoczył do tyłu, zatrzymując się na wale z ziemi, i wtedy zobaczył.

Nastąpiło to całkiem nieoczekiwanie, kamienie zaczęły się poruszać. Powolutku wypadły z wyżłobień i potoczyły się na ziemię. Och, nie, błagał Dolg w myślach, niech tak się nie dzieje, to przecież znaczy, że popełniłem katastrofalny błąd, one nie chcą tam być, one...

Z przejęcia zabrakło mu słów, nawet jego myśli oniemiały. Farangil poruszany

wewnętrzna siła toczył się w jego stronę i w stronę szafiru, a gdy oba kamienie zbliżyły się do siebie, razem poturlały się dalej w lewo od Dolga.

To przecież czyste szaleństwo, pomyślał, to się nie może dziać.

Tak jednak było naprawdę. Kamienie toczyły się po plaży, do której dokopali się Madragowie, przez cały czas kierując się w lewo do końca skalnej ściany. Tam się zatrzymały, napotykając opór usypanego z ziemi wału.

Dolg, rzecz jasna, szedł za nimi, znalazł się już poza obszarem, gdzie skałę pokrywały reliefy, dotarł do punktu, w którym góra skręcała pod miękkim kątem, znacznie się obniżając. Rósł tu gęsty, kłujący mieszany las, składający się z sosen, świerków i drzew liściastych, o bujnym podszyciu.

Kamienie zatrzymały się w kącie na dnie rozkopów.

Co teraz robić? Wysyłały tak intensywne, niespokojne światło, iż Dolg zrozumiał, że jeszcze nie osiągnęły celu. Założył ręce na plecy i długo się zastanawiał, czy nie popełnia świętokradztwa, wreszcie jednak się zdecydował. Kamienie zatrzymały się, ponieważ drogę zagroziła im naturalna przeszkoda, ale był przecież ktoś, kto mógł im pomóc.

Przepraszam, szepnął podnosząc dwa cudowne arcydzieła. Mylił się, jeśli sądził, że się o nie poparzy. Kule pozwoliły się przenieść na krawędź wału.

Gdy tylko znów dotknęły ziemi, zaczęły toczyć się dalej w las u podnóża góry.

Po pewnym czasie znieruchomiały. Zgasły. Wyglądały teraz jak całkiem zwyczajne kule z kolorowego szkła.

Były u celu.

U celu?

Dolg niczego nie rozumiał. Przed nim w gęstym lesie ziemia podnosiła się, z prawej strony w znacznej odległości dostrzegał górę, a z lewej strony widział pagórek, gdzie pod gęstą roślinnością kryła się zapewne skała. Stał więc u wejścia do wąwozu.

Czy miał tutaj kopać? Właśnie w tym miejscu, gdzie zatrzymały się kamienie?

Czy w takim razie nie powinny zapłonąć mocniejszym blaskiem, aby pokazać, że

znajdują się już blisko Słońca?

- A może co innego chcecie mi powiedzieć? Nie odpowiedziały nawet najmniejszą iskierką.

- Czy to znaczy, że wykonałyście już swoje zadanie i że dalej muszę radzić sobie sam?

W dalszym ciągu nie doczekał się żadnej odpowiedzi, przypuszczał jednak, że ma rację. Podniósł kule i umieścił je w ich miękkich futerałach.

- Dziękuję za, pomoc, przyjaciele. Spróbuję coś wymyślić.

Tylko jak to zrobić?

Nie przypuszczał, by należało kopać akurat w tym miejscu. Kamienie już wcześniej pokazały, że nie potrafią toczyć się pod górę, a to znaczy, że chyba powinien podejść troszkę wyżej, wejść do wąwozu.

Co innego mu pozostawało?

Zaczął piąć się po niewygodnej drodze. Wąwóz wkrótce zrobił się węższy, po obu stronach wznosiły się coraz wyższe wierzchołki wzgórz.

Ciekawe, czy tędy właśnie szedł Cień, wówczas kiedy wędrował na szczyt góry?

To by się mogło zgadzać, chociaż... Nie, chyba raczej łatwiej było wejść od drugiej strony, bardzo teraz odległej.

Znów zbliżył się do góry, nowa skalna ściana, która... Nowa skalna ściana?

Pokryta mchem.

Przecież właściwie był to dalszy ciąg, a raczej wręcz początek wielkiej skały pokrytej rzeźbieniami. A ponieważ tam nie znaleźli pierwszego znaku, może więc - Dolg przyjrzał się skale. Tutaj nie musiał brać pod uwagę nowych warstw ziemi, stąpał bowiem po niemal gołym skalnym podłożu, pokrytym tylko pewnym szczególnym gatunkiem mchu, typowym dla Tiveden, tworzącym na kamieniach olbrzymie szarozielone wykwity, prawdziwe dzieła sztuki przyrody.

Pokryta mchem skała...

Dolg nigdy nie lubił zakłócać spokoju niczemu, co rosło i żyło, teraz jednak się na to zdecydował. Wielkimi płatami odrywał mech ze skały.

Nic.

Ale tam dalej... Jeśli zdoła pokonać usypisko głazów, wśród których zieją głębokie czarne dziury, dotrze do gładkiej skały, wprost stworzonej po to, by w niej rzeźbić. Z mozołem wspinał się po ciężkich blokach kamienia, aż wreszcie stanął naprzeciwko skalnej płaszczyzny. Z niej także ostrożnie ściągnął mech, a kiedy ujrzał fragment, który, jak mu się wydawało, mógł zostać wyrzeźbiony, przystąpił do pracy z większym zapalem.

Pracował szybko i dokładnie, już wkrótce odsłonił cały rysunek.

Z początku ogarnęło go rozczarowanie, nie był to żaden symbol pochodzący z pradawnych czasów, tylko najzwyczajniejsza kreska. Ukośna kreska przecinająca skałę.

Mogło to być cokolwiek, na przykład zwykłe zadrapanie poczynione przez głaz popychany przez lodowiec.

Chyba że...

Dolg zastanowiwszy się i pozwoliwszy, by rozczarowanie ustąpiło miejsca bardziej konstruktywnemu myśleniu, uwierzył, że w istocie jest to znak.

Obejrzał dokładniej skałę na dole, czy to nie...?

Jest! Ledwie widoczne niewielkie wgłębienie. Symbolizujące liczbę jeden.

Czy rzeczywiście odnalazł pierwszy znak?

Wszystko pozostawało niepewne, ale może tak właśnie miało być? Może rozwiązanie zagadki nikomu nie miało przyjść z łatwością?

A jeśli założyć, że żyjący tu wcześniej używali innego symbolu strzały niż współcześni ludzie? Może posługiwali się do tego zwyczajną kreską?

Wówczas ta strzałka pokazywałaby bądź prosto w niebo, bądź w usypisko głazów, które mogło równie dobrze powstać przed wiekami, jak i całkiem niedawno, nie potrafił tego określić

Między blokami kamienia rosły drzewa i krzewy, lecz to akurat nie miało większego znaczenia, las wszak nie potrzebuje aż tak wielu lat, by wyrosnąć.

Popatrzył w kierunku wyznaczonym przez strzałkę, wskazywała wprost na wielki

głaz zasłaniający... No właśnie, co?

Dolg uklęknął i zjrzał pod kamień. Widniał tam otwór, wyglądało na to, że wiedzie ukosem w dół, więcej stwierdzić nie zdołał, nie wiedział, jak głęboka może być ta szczelina.

Od jak dawna leży tutaj ten głaz? Czy ułożono go celowo, czy też stoczył się później? Nie da się tego stwierdzić.

Dolg znów wyjął cudowne kule, wsunął je pod głaz.

Powoli w przygasłych kamieniach zapłonął ogień. Tak jak przedtem posypały się iskry i błyskawice.

- Dziękuję - powiedział, chowając je do woreczków.

Potrzebna mi pomoc, pomyślał. Z tym głazem sam nie dam sobie rady, myślę zresztą, że on spadł znacznie później. Ale przecież nie wolno mi nikogo prosić o asystę.

Rozglądał się za słońcem, ale nie było go już widać. Ze zdziwieniem stwierdził, że dzień minął, nie zauważył, jak długo trwał w stanie koncentracji przy skale.

Na razie jakoś radzę sobie sam, pocieszał się w duchu, samodzielnie dotarłem tak daleko, jak to możliwe. Nikt nie może wymagać, abym własnymi siłami przesunął tego kolosa.

W jednej chwili samotność w ciemnym lesie stała się bardzo dokuczliwa. Zatęsknił za rozmową, wokół niego panowała taka cisza, zresztą chwile o zmierzchu dla ludzi wrażliwych bywają najtrudniejsze. Dolg zadrżał, spoglądając na mroczne korony drzew. Świerki często potrafią wywołać melancholię i przygnębienie.

Tym razem odezwała się wrodzona samotność Dolga, dał się odczuć dystans dzielący go od innych ludzi, nawet od najbliższych. Jak miał stawić czoło temu zadaniu najzupełniej sam? Dlaczego? Co by zmieniło, gdyby ktoś mu pomógł? Nigdy nie potrafił tego zrozumieć.

Musi istnieć jakiś powód, chociaż on go nie dostrzega. Nie pojmował, dlaczego pozbawiono go uczuć silniejszych niż przyjaźń, dlaczego pod tak wieloma względami był niepodobny do zwyczajnych ludzi. Zdarzało się, że ta świadomość

napełniała go niewysłowionym smutkiem.

Niechętnie przyjrzał się wielkiemu głazowi. Nie, nie miał żadnych możliwości, by go choć krztynę przesunąć.

Wstał.

Sprowadzę Madragów, pomyślał. To nie w porządku, że wykorzystujemy te fantastyczne stworzenia wyłącznie do najcięższych prac, przecież są obdarzone taką niezwykłą inteligencją. Ale z przyjemnością ich teraz zobaczę, porozmawiam z nimi, skorzystam z ich mądrości i życzliwości. W dodatku przecież oni należą do tej epoki, tłumaczył sobie, wywodzą się z pradawnych czasów, najnajpradawniejszych.

Próbował uśmiechnąć się z własnego dowcipu, ale śmiech uwiązał mu w gardle i z ust wyrwał mu się odgłos przypominający raczej skrzek.

Cóż za przygnębiający las! Doprawdy, rozumiem teraz, dlaczego dzieci w świerkowym lesie tak się boją. Ja się nie lękam, ale mam wrażenie, że leśny mrok ściska mnie, miazdży olbrzymią dłonią melancholii i pragnienia śmierci.

Sprowadzę Madragów, niech się dzieje, co chce, po prostu potrzebuję pomocy, a przede wszystkim towarzystwa, inaczej zadławi mnie melancholia.

Już sama myśl o spotkaniu z innymi poprawiła mu nastrój. Opuścił ponury las i unikając patrzenia na moczary, na których czternastu rycerzy Zakonu Świętego Słońca, poniósłszy straszliwą śmierć, znalazło swój grób, ruszył do domu.

Musi zobaczyć zwyczajnych, wesołych, żywych ludzi.

14

Erling i Theresa wyszli na wieczorną przechadzkę po ziemiach Mariatty. Nie zapuszczali się daleko, przez cały czas mieli zabudowania w zasięgu wzroku, nie wiadomo bowiem było, co i kiedy się zdarzy. Tym razem nie zabrali ze sobą Nera, jeszcze by się zerwał i pobiegł do Dolga, zostawili go pod opieką silniejszych.

- Czy słusznie robimy, Erlingu? - pytała zatroskana Theresa.

- Zamierzając przejść przez Wrota?

- Tak, wszystkie nasze nadzieje związane z dziećmi i wnukami...

- Wiem, Rafael miał studiować w Wiedniu, Danielle zostać panią na dworze Leonarda. Zaplanowaliśmy nawet przyszłość Villemanna, tylko o Dolgu i Taran nie mogliśmy decydować. Tiril i Móri mieli przejąć Theresenhof...

- Nowy cesarz już zniszczył większość z naszych marzeń, wciąż jednak mamy dość pieniędzy i na pewno znalazłaby się jakaś możliwość, by pomóc młodym.

- Gdyby zechcieli zostać - zauważył Erling. - No a oni są bardzo ciekawi tego, co znajduje się za Wrotami. Wcale się nie boją jak my.

- A czy my się boimy?

- Nie boimy się Wrót, ale lękamy się opuścić to, co wydaje nam się spokojne i bezpieczne.

- A przecież tego już nie ma. Wiesz, Erlingu, wydaje mi się, że nie potrafiłabym żyć bez Theresenhof. Nie jesteśmy już młodzi, któreś z nas zostanie kiedyś samo, jak zdołamy to znieść?

- No tak, masz rację, ja sam jestem bardzo ciekaw, co zastaniemy za Wrotami, lecz to, że zabieramy naszą rodzinę... Czy wolno nam?

Theresa przystanęła i popatrzyła na niego z uśmiechem.

- A czy nie jest odwrotnie? Czy to nie oni zabierają nas?

Erling roześmiał się.

- Chyba rzeczywiście tak jest. Ale co my wiemy o tych Wrotach? Czy one istnieją naprawdę? Albo czy Dolg zdoła je otworzyć? To przecież tylko legenda, Thereso.

- Baśń o morzu, które nie istnieje - wyszeptała zamyślona. - Czy ty sam wierzysz w to, co mówisz?

- Nie - odparł z uśmiechem. - Chciałem po prostu się z tobą podroczyć. Ojej! Dolg biegnie, chodź!

Ruszyli mu na spotkanie, opowiedział, co się stało. Wszyscy razem weszli do domu i chwilę później, kiedy Dolg nieco się posilił i zrelacjonował swe przeżycia wszystkim pozostałym, wyruszył znów w okolice góry, zabierając Madragów.

Znalazło się wielu chętnych do pomocy, lecz Dolg zapewnił, że pośle po nich, gdy nadejdzie na to czas.

Madragowie uważnie przyglądali się głazowi.

- Łom - wyjaśnił Tam. - Mamy tylko jeden, ale jako podpór użyjemy pni drzew.

Dalej, przyjaciele, przysłuż my się Dolgowi!

Księżyc z wolna wznosił się nad Tiveden, a Madragowie kawałek po kawałku przesuwali ciężki głaz. W końcu pozwolili mu zsunąć się na bok. Zleciał z hukiem na dno wąwozu, dokonując po drodze straszliwych spustoszeń wśród mniejszych drzew i zarośli.

- Przepraszam - szepnął Dolg.

Przyglądali się otworowi, który ukazał się po usunięciu głazu.

- Rzeczywiście, kamień na pewno spadł później - stwierdził Tich. - Zobacz, Dolgu, dalej w głębi widać kamienną płytę, i to, mój przyjacielu, jak sądzę, były kamienne drzwi Lemurów, które tutaj umieścili, by zagradzały drogę ciekawskim intruzom.

- Widzę. Będziemy musieli usunąć także i je. Wczołgali się do środka. To znaczy Dolg się wsunął,

Madragowie pochylili się nad wejściem, zbyt wielcy, by móc się wślizgnąć w otwór.

- Co widzisz? - zawołała Misa. Dolg odparł rozradowany:

- Znak symbolizujący drzwi! Symbol Słońca.

- Chcesz powiedzieć, że to są Wrota?

- Nie, tak nie myślę. Pamiętajcie, że Cień ujrzał Wrota, kiedy leżał na plaży, ale czy wy tego nie widzicie? Nie dostrzegacie, że płyta jest oświetlona od środka? Blask przenika przez szpary.

- Słońce! Hurra!

- I jeszcze coś, moi przyjaciele. Wydaje mi się, że wiem, jak otworzyć te drzwi, bez proszenia was o to, byście się tu wciskali i być może na dobre utknęli.

- Wspaniale! A jak to zrobisz?

- W kamieniu są dwa wyżłobienia.

- Dobrze więc - zdecydował Tam. - Wobec tego możemy cię teraz zostawić, bo chyba powinienesz raczej do końca tego sam, prawda?

- Niestety. Dziękuję wam za pomoc. Zdacie relację, z tego, co się stało?

- Oczywiście. Życzymy ci szczęścia.

Naprawdę może mi się przydać, pomyślał Dolg nie bez goryczy.

Wyjął czerwony i niebieski kamień, oba roziskrzzone, świecące.

- A teraz, moi kolorowi przyjaciele, kolej na was.

Smugi światła sączącego się przez szpary wokół kamiennej płyty ledwie było widać, ale najważniejsze, że w ogóle je dostrzegął.

Zastanawiał się, czy sposób, w jaki umieści obie kule, będzie miał jakiegokolwiek znaczenie. Zawsze uważał szafir za pierwszy kamień, bo przecież znalazł go na początku, i dlatego właśnie kładł niebieską kulę z lewej strony, farangil zaś z prawej. Dotychczas taki układ się sprawdzał, teraz więc postąpił podobnie.

Umieścił kamienie w zagłębieniach, szepnąwszy uprzednio do nich kilka słów z prośbą, by mu pomogły. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby trafił tutaj zwykły człowiek i spostrzegł te drzwi. Doszedł jednak do wniosku, że chyba raczej nic, smugi światła były wszak tak słabe, że należało szukać czegoś szczególnego, by je zauważyć.

Ale gdyby komuś przyszło do głowy uprzętnąć usypisko głazów?

Podejrzewał, że istnieje jakiś mechanizm lub coś w tym rodzaju, co nie dopuszcza niepowołanych osób do tego miejsca, chociaż za nic nie mógł sobie wyobrazić, jaki

Akurat tu, gdzie znajdowały się dwa zagłębienia, na płycie widniała też drobna nierówność, biegnące pionowo niewielkie uwypuklenie. Kamienie spoczywały w swych nieckach zaledwie przez moment i zaraz zaczęły świecić wewnętrznym światłem. A wówczas nierówność okazała się ledwie dostrzegalną szczeliną, która rozszerzyła się z cichym trzaskiem. Kamienna płyta podzieliła się na dwie części. Dolg za nic na świecie nie zdołałby poruszyć całej płyty, lecz jedna jej część była znacznie mniejsza niż druga i dała się bez trudu przekręcić w stronę bocznej ściany korytarza, stanowiącego jednocześnie krawędź wąwozu.

Dolg schylił się i wpelzł za drzwi. W środku królowała delikatna złocista poświata, światło płynęło z wąskiego korytarzyka, obniżającego się w głąb ziemi. Zaraz za

kamiennymi drzwiami natomiast znajdowało się coś w rodzaju komory, nasunęło mu się skojarzenie z kryptą, a to dlatego, że, jak się okazało, nie był w tym pomieszczeniu sam.

Starał się przełknąć strach, który zalał go gwałtowną falą, oddychał ciężko i prędko, czuł, że zbladł, i musiał oprzeć się o skałę.

Pomieszczenie było na tyle wysokie, że stał wyprostowany. Zamknął oczy, starając się odzyskać panowanie nad sobą, po czym znów je otworzył.

Na przypominającym katafalk podwyższeniu leżała wyciągnięta postać. Dolg nigdy jeszcze nie widział istoty tak pięknej, lecz na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest to zwykły człowiek. To któryś ze świętych, przeleciało mu przez głowę.

Najwidoczniej został tutaj wtedy, a może umarł i musieli go tu pochować? Tak, tak właśnie zapewne się stało.

Była to istota płci męskiej, ubrana w długą białą suknię. Błada twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z marmuru, dłonie długie i wąskie, niezwykle kształtne, o sześciokątnych, a nie jak u dorosłych ludzi czworokątnych, palcach, były skrzyżowane na piersiach. Mężczyzna miał długie czarne włosy i owe osobliwe oczy, które Dolg znał tak dobrze. Sam wszak miał identyczne. Z tą tylko różnicą, że u tego mężczyzny wszystkie ich niesamowite cechy uwidoczniły się w ekstremalnym stopniu. Wprawdzie oczy pozostawały zamknięte, lecz mimo to Dolg poznał, że są wydłużone, skośne i zapewne całkiem czarne.

Mężczyzna był niesłychanie wysoki, niewątpliwie znacznie wyższy niż Cień.

- Jaka szkoda - szepnął Dolg do siebie. - Szkoda, że coś tak pięknego musiało umrzeć.

Postanowił w jakiś sposób uhonorować zmarłego, może nazbiera kwiatów i ułoży je przy wejściu do jego grobu, najpierw jednak postanowił zbadać kryptę, dotrzeć do źródła światła.

Chociaż schował szafir i farangil ze względu na świetlistą orgię kolorów, jaką urządziły, to i tak ich blask przenikał przez aksamit i skórę, w które były owinięte. Sprawiały wrażenie, jakby chciały się wydostać, jakby wiedziały, że są już u kresu

drogi, i z całych sił starały się pomóc.

Dolg jednak musiał skupić się teraz na żółtozłotym świetle dobywającym się z ziemnego korytarza. Kusiło go i pociągało, choć jednocześnie czuł, jak wzbiera w nim pomieszany ze strachem szacunek. Miał wrażenie, że na to nie zasłużył, że nie jest godzien, nie powinien nawet sobie wyobrażać, iż ma prawo zbliżyć się do Świętego Słońca.

Ale przecież po to tutaj przyszedł. Właśnie on, wybrany do tego. Los wyznaczył dla niego taką właśnie drogę, zbliżał się teraz do jej końca.

Jeszcze raz się odwrócił, by popatrzeć na zmarłego, napawać się widokiem arcydzieła mistrza, zdumiał się, że mężczyzna spoczywa jak nietknięty, jakby zmarł dopiero dziś rano, a nie przed dziesięcioma tysiącami lat. Kamienne bloki nad jego grobem przemawiały jednak swoim językiem, tkwiły tu od tak dawna, że niektóre z nich stopiły się w jedno z ziemią.

W krypcie panował nastrój jak w świątyni. Brakowało jedynie tonu organów, było tak cicho, tak strasznie cicho. Dolg miał wrażenie, że oddalił się o setki mil od otaczającego go świata, o eony czasu od współczesności, jakby na całym ziemskim globie był tylko on i ten mężczyzna z dawno minionych wieków.

Delikatny blask płynący z korytarza kładł się na kamiennych ścianach podziemnej krypty, wydobywając z twarzy zmarłego niezwykle światła i cienie. Dolg, zafascynowany, z trudem oderwał wzrok od leżącego. Ogarnął go bezgraniczny smutek, wreszcie nie miał już sił dłużej na to patrzeć, nie śmiał nawet myśleć o tym, co później począć ze zmarłym. Pochować go gdzieś poza tym miejscem? Czy też zostawić tutaj samego w tym pustym lesie?

Akurat w tej chwili odpowiedź na to pytanie przerastała możliwości Dolga.

Wyprostował się i obrócił ku wnętrzu groty. Najwyższy czas ruszyć dalej.

Kiedy nastąpił na kamienną płytę, ugięła się pod jego stopami z lekkim trzaskiem, który w uszach Dolga zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Nerwy miał zbyt napięte jak na takie nieprzewidziane odgłosy.

Popatrzył w stronę korytarzyka, lekko opuszczającego się w dół. Czy ma tam iść?

Przecież musi.

Być może był zbyt zdenerwowany i kiedy ktoś od tyłu położył mu dłoń na ramieniu, ledwie zdołał powstrzymać się od krzyku. Poczuł, jak nowa fala strachu paraliżuje ciało.

Skamieniał, chociaż czuł, że całe ciało mu drży.

Jakby po to, by ratować mocno zachwianą równowagę duchową, uciekł się do czarnego humoru i w milczeniu podziękował dobrym mocom za to, że nie zaczął histerycznie wrzeszczeć. To dopiero byłby wstyd!

Łagodny głos w języku, jakiego Dolg nigdy dotąd nie słyszał, lecz który zrozumiał dzięki genialnemu wynalazkowi Madragów, zapytał:

- Dokąd to zmierza młody intruz?

15

Dolg odwrócił się w stronę sarkofagu.

Był pusty. „Zmarły” zmartwychwstał, prawdopodobnie kamienna płyta zwolniła mechanizm alarmowy, który go obudził.

Jeszcze jeden Strażnik? No tak, oczywiście, wszak to miejsce ukrycia samego Słońca.

Cień twierdził jednak, że nie było więcej Strażników, najwidoczniej więc musieli wyznaczyć tę rolę któremuś ze świętych.

Dolg obrócił się teraz całkiem, pobladły ze strachu. Jak przewidywał, piękny mężczyzna okazał się bardzo wysoki. Górował nad młodym chłopcem, a na twarzy malowała mu się niezwykła wprost surowość.

- Kim jesteś, młodzieńcze? Przypominasz Lemura, lecz cię nie znam. Czyżbyś był synem tego, który pozostał tutaj z własnej woli, wojownika?

Cienia? Dolg stłumił uśmiech.

- Nie, świętobliwy panie. Sądzę, że mylisz się w rachubie czasu. Upłynęło co najmniej dziesięć tysięcy lat od chwili, gdy ostatni Lemurowie opuścili nasz świat. Informacja ta bardzo poruszyła mężczyznę. Dopiero po dłuższej chwili przyszedł do siebie, z bolesnym wyrazem twarzy wpatrując się w panujący w krypcie

półmrok. Wreszcie znów spojrzął na Dolga.

- Twój język jest mi nieznany... Kim jesteś i co tu robisz?

- Moje imię brzmi Dolg Lanjelin Matthias z rodu islandzkich czarnoksiężników, mamy rok tysiąc siedem set czterdziesty szósty po urodzeniu Chrystusa...

- Kto to jest Chrystus?

- Mędrzec i zbawiciel.

- Mów dalej.

Dolg przełknął ślinę. Ten mężczyzna był tak dominujący, budził przy tym niezwykle szacunek Dolg nigdy jeszcze się nie zetknął z takim zjawiskiem.

- Prawdą jest, że w moich żyłach płynie krew Lemurów, lecz jestem jedynym, który nosi w sobie ich dziedzictwo. Historia moja jest długa...

- Dziesięć tysięcy lat? - ze smutkiem uśmiechnął się mężczyzna.

- Nie, nie aż tyle - odparł Dolg nieco raźniej.

- Mam czas - oświadczyła istota, uśmiechając się nie co krzywo.

Zaprosił Dolga, by zajął miejsce na katafalku, i sam też usiadł przy nim.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli nie spodoba mi się cel twojego przyścia tutaj, czeka cię śmierć?

- Rozumiem - przytaknął Dolg z powagą i zaczął mówić - Zostałem wybrany przez waszego dawnego pobratymca, wojownika, którego my nazywamy Cieniem. To on domieszał mi krwi Lemurów. Wszyscy inni Lemurowie na Ziemi wyginęli. Do tej pory udało mi się odnaleźć niebieski szafir i oswobodzić czuwającą nad nim Strażniczkę, a także czerwony farangil i zwolnić troje Strażników z wyznaczonego im zadania. Wyzwoliłem także wszystkich potomków wojownika; jak sam zapewne wiesz, panie, wy, Lemurowie, potraficie żyć w innej formie.

Kiedy Dolg po kolei wspominał szlachetne kamienie, mężczyzna oddychał coraz gwałtowniej. Przypatrywał się teraz mówiącemu Dolgowi z jeszcze większą uwagą.

- Walczyliśmy ze złym zakonem, mówię my, ponieważ jest nas więcej. Po drodze, jaką musiałem przejść, spotkałem wielu, którzy mi pomogli, a teraz jestem gotów,

by odnaleźć Słońce i otworzyć Wrota wszystkim tym, którzy pozostali. Być może również tobie, panie.

- Tak, również mnie - potwierdziła szlachetna istota. - Moje zadanie będzie wypełnione, jeśli ty okażesz się tym właściwym.

- Jesteś tu sam, panie?

- Nie, jest nas więcej.

- Więcej? - odpowiedź ta niepomrotnie zdziwiła Dolga. - No tak - szepnął w przeblysku świadomości. - Rozumiem, musiało was być więcej, ktoś wszak musiał cię, panie, pogrze... Przepraszam, ułożyć na spoczynek i za pieczętować wejście. Mój przyjaciel Cień widział kogoś, podczas gdy Wrota były otwarte.

- Tak, było nas dwóch przy tych Wrotach nad brzegiem morza.

Dolg uśmiechnął się przepaszająco.

- Obawiam się, panie, że będziesz miał problemy z odnalezieniem tego brzegu. Od tamtego czasu wiele się wydarzyło.

Mężczyzna popatrzył pytająco na młodzieńca, a potem rzekł z uśmiechem:

- Rzeczywiście na to wygląda, lecz twoja obecność i twoje słowa mnie cieszą, wciąż jednak jeszcze nie jestem przekonany, musisz mi dać dowód.

- Czy one wystarczą? - spytał Dolg i wyjął kamienie. Rozjarzyły się niecierpliwie jak barwne gwiazdy, w swej urodzie nieporównywalne z niczym.

Mężczyzna odetchnął głęboko.

- Cudowne kamienie! I w twoich rękach nie straciły nic ze swego blasku. Jesteś właściwą osobą, Dolgu Lanjelinie Matthiasie.

- Oczywiście, że jest - rozległ się wesoły głos od drzwi prowadzących do wyjścia. - Długo na niego czekaliśmy, bracie. Cieszę się, że widzę cię obudzonym.

Dwaj mężczyźni przywitali się, a Dolg przez moment poczuł się zbędny. Jasne było, że ci dwaj wywodzą się z tej samej rasy, obdarzeni zostali takim samym wzrostem i taką samą wyjątkową urodą. Poza tym jednak różnili się od siebie, tak jak różni się od siebie dwoje ludzi.

Niezwykła chwila, spotkanie różnych epok. Strażnik i strażnik Strażnika.

A jednak coś w tym wszystkim się Dolgowi nie zgadzało. Jak to możliwe, by zostało ich tutaj wielu? Cień nic o tym nie wiedział, a przecież Lemurów było zaledwie tyłu, że wszyscy zmieścili się na jednym statku.

I wszyscy przeszli przez Wrota, z nikogo nie zrezygnowali.

- To ty, panie, byłeś wtedy na brzegu - zwrócił się Dolg do nowo przybyłego. - To ty stałeś w oślepiającym blasku Słońca, a później wyryłeś znaki w kamieniu?

- Nie masz racji, aż tak stary nie jestem, lecz rzeczywiście uczynił to jeden z nas.

- W jaki sposób zdążyliście przygotować tę kryptę?

- Twój przyjaciel Cień, nasz wojownik, o wiele dłużej był nieprzytomny, niż mu się wydawało. Nie na brzegu, stracił przytomność jeszcze raz w drodze na szczyt góry. Ale teraz, mój przyjacielu, dokończ nam swoją historię.

Zasiedli we trzech na przypominającej katafalk ławie, Dolg w środku pomiędzy niezwykłymi istotami, z uwagą słuchającymi jego opowieści. W delikatnym złotawym świetle Dolg miał wrażenie poczucia nierzeczywistości. Postąpił jednak tak, jak zwykle się zachowywał w nadzwyczajnych sytuacjach, przyjmował wszystko całkiem naturalnie, jakby miał do czynienia z najbardziej codzienną rzeczą. Dzięki temu udawało mu się zachować równowagę.

Mówił właśnie o wydarzeniach ostatnich dni, kiedy Lemur przerwał mu z pociemniałą twarzą:

- Tak, Hiisi, straszliwy ciężar, którego nie zdołaliśmy się pozbyć. Przez to, że był bóstwem przyrody, nie wierzyliśmy, że uda się wam go pokonać, niemniej jednak tak właśnie się stało.

- Właściwie nie - stwierdził Dolg po namyśle. - Hiisi zgodził się oddalić stąd za cenę ofiary. I rzeczywiście ofiarę otrzymał, lecz nie było to naszym celem ani też zasługą czy winą. Wszystko jedno jak to .zwać, nienawidzę myśli, że mniej lub bardziej przypadkiem wysłaliśmy rycerzy na śmierć, i to taką straszną. Hiisi tkwił tam przez setki lat, cóż zresztą miał począć, kiedy nikt już w niego nie wierzył? I nie wiem, czy był wygłodzony, czy też miał jakiś inny powód, by żądać ofiary w zamian za opuszczenie tego miejsca.

- W każdym razie się nasycił - cierpko zauważył Strażnik. - Brakowało jedynie, żeby mu się odbiło. Wybacz, paskudnie z mojej strony tak mówić, lecz obserwowałem wszystko, co się działo. Nie było w tym winy naszych przyjaciół, rycerzom cios zadała ich własna chciwość.

Dolga na wspomnienie śmierci rycerzy pochwylił mdłości. Chciał mówić o czymś innym, lecz właściwie skończył już swoją opowieść.

Lemur, który przybył jako ostatni, wstał.

- Z wielkim zainteresowaniem obserwowałem wasze poczynania tu na miejscu, Dolgu. Świetnie się spisywaliście, w dużej mierze było to zasługą panującej między wami przyjaźni i miłości, nasz przyjaciel wojownik doznał naprawdę najlepszego wyboru.

Dolg nie mógł powstrzymać cisnącego mu się na usta pytania:

- Dlaczego wy nie uratowaliście Strażników i wszystkich innych z waszego plemienia? Dlaczego nie otworzyliście Wrót?

- My? Nie, my nie mamy na to czasu. Nie na tym polegało nasze zadanie.

Jakiś lodowaty domysł przemknął przez głowę Dolga.

- A jakież było wasze zadanie?

- Strzec Słońca - rzekł ten, który spał tak długo. - Strzec tego miejsca, a także sporo innych rzeczy.

Dolg przyglądał im się osłupiały. Patrzył na ich wzrost, szlachetną postawę, na to, co tak bardzo różniło ich od ludzi, i wreszcie pojął, kim są. W końcu to zrozumiał. Na jego obronę jednak należy zauważyć, że trudno jest myśleć jasno, kiedy tyle się wokół dzieje.

Wstał i głęboko się pokłonił, a prawdę mówiąc ledwie się powstrzymał od padnięcia na kolana przed tymi niezwykłymi istotami. W gardle uwiązał mu płacz.

- Wy nie jesteście Lemurami - szepnął przez łzy. - Wy jesteście Obcy.

- Tak się nas nazywa? - zapytali ze śmiechem. - Masz rację, absolutną rację.

- I jesteście tutaj po to, by...

- ...by czuwać nad nieszczęśliwymi ludzkimi istotami.

Dolg potrzebował czasu na zebranie myśli. Zareagował na to, że znaki mówiły o świecie Obcych jak o kraju przodków, lecz przecież to właśnie Obcy je wyrył.

- Było was więcej, jak mówiliście - wyjąkał w końcu.

- Jest nas całkiem sporo, nie tak wielu nas samych, ale się mnożymy.

- Mnożycie? - powtórzył pobladły Dolg. - Płodzicie dzieci? Tak jak postąpiliście z Lemurami przed wieloma laty?

- Niezupełnie. Wówczas stworzyliśmy całkiem nową rasę przypominającą nas samych, która niestety wymarła. Teraz staramy się, aby nasze potomstwo miało bardziej ziemskie rysy. Ale to ludzie najlepszego pokroju, wierz mi. Są tacy, którzy wiedzą o istnieniu tych dzieci, nazywa się je, troszkę myląc, dziećmi gwiazd.

Dolg znieruchomiał. Myślał o swym własnym pochodzeniu.

- Nie, nie ty - łagodnym głosem rzekł ten, który przez cały czas mówił. - Ty jesteś eksperymentem twojego przyjaciela, Cienia, ale jest ktoś taki wśród twoich bliskich.

- Kto? - wyrwało się Dolgowi.

Obcy patrzył tylko na niego z uśmiechem, więc chłopak nabrał powietrza w płuca i sam powiedział:

- Uriel.

- Właśnie. Został spłodzony przez nas już bardzo dawno temu i jego dusza wędrowała tak długo, że zapomniał o swym pochodzeniu.

- Czy wciąż płodzicie „dzieci gwiazd”?

- Przez cały czas. Kiedy znajdujemy dobrego człowieka o czystym sercu, takiego, komu można zaufać, nasi mężczyźni albo kobiety łączą się z nim i płodzą dzieci obdarzone najwspanialszymi zaletami.

Dolgowi wciąż nie mogło się to pomieścić w głowie.

- Nie rozumiem... I czy mogę spytać was, jak się nazywacie?

Wymienili swoje imiona, okazały się jednak dla niego za trudne.

- Czy pozwolicie, bym zwał was Strażnikiem Słońca i Strażnikiem Góry?

Chętnie na to przystali.

Strażnik Słońca także się podniósł.

- Tak długo spoczywałem w tym mroku, czy może my stąd wyjść? Chciałbym znów zobaczyć plażę.

Niestety, do brzegu morza było bardzo daleko, w dodatku na zewnątrz panowała jeszcze ciemna noc, lecz nad bagniskiem widać już było wschód.

- Jakie to smutne - powiedział. - Jak nieskończenie smutne.

- Rzeczywiście, przygnębiający widok - zgodził się z nim Dolg. - Mimo wszystko jednak nie rozumiem, co się wówczas wydarzyło. Dlaczego musieliście czekać z otwarciem Wrót aż do moich czasów?

- Ponieważ ten, który był tu na brzegu, został unicestwiony.

- Nie przypuszczałem, że was można unicestwić?

- Ależ tak - krótko odparł Strażnik Góry. - Tak jak wy mieliście Zakon rycerski, my również mamy swoich przeciwników.

- Kogo?

- Tyranów. Ale o tym dość, pewnie nigdy ich nie spotkasz.

Wędrowali wzdłuż skały, podczas gdy Obcy opowiadali.

Wówczas, wyjaśnili Dolgowi, liczone na Cienia. Ostatni król Lemurów wraz z dwoma Obcymi, którzy byli u Wrót, by im pomóc, uzgodnili, że pozostawią Święte Słońce, aby czworo Strażników wraz ze szlachetnymi kamieniami oraz Cień mogli później przejść przez Wrota. Byli przekonani, że Cień powróci na brzeg. Dlatego właśnie ukryli Słońce i pograżyli jednego z Obcych we śnie w krypcie. Miał się przebudzić natychmiast, gdy tylko ktoś stąpnie na kamienną płytę prowadzącą do Słońca, drugi zapieczętował kryptę w taki sposób, by otworzyć ją mogły tylko szafir i farangil. Wrył później w skale znaki uzgodnione z królem Lemurów, takie, które zrozumieć mógł tylko potomek Lemurów.

- Zostały, więc napisane dla Cienia? - wtrącił Dolg. Tak właśnie było, Cień jednak nigdy nie odnalazł brzegu, chociaż tak rozpaczliwie go szukał. Nic dziwnego, wówczas bowiem nastąpił kolejny przełom w geologicznej historii Północy. Masy lodu stopniały, ląd podniósł się i otoczył wodę w Morzu Yoldiowym, które przestało mieć połączenie z oceanem światowym. Rozpoczęła się epoka w historii Bałtyku,

zwana Jeziorem Ancylusowym. Morski brzeg Cienia przestał istnieć.

- „Morze, które nie istnieje” - mruknął Dolg pod nosem.

Obcy rzecz jasna nie posługiwali się określeniami „Morze Yoldiowe” i Jezioro Ancylusowe”, gdyż te nazwy pojawiły się znacznie później, mówili po prostu o różnych epokach w historii Morza Bałtyckiego.

- Ale przecież on mógł odszukać Strażników - zauważył Dolg. - Wiedział wszak, gdzie znajdują się kamienie.

Cień umarł, wyjaśnili Obcy. Osiągnął stan nie będący ani życiem, ani śmiercią.

Mógł pojawiać się i znikać jak chciał, natomiast Słońce miał odnaleźć żywy człowiek. Wówczas przed wiekami na brzegu morza wielokrotnie to powtarzano.

Tak, i co więcej, miał to być potomek Lemurów, dlatego również Obcy nie mogli nic zrobić. Wszystko postawiono na jedną kartę, na powrót Cienia. Cień przekazał swoim dzieciom i wnukom historię Słońca, Wrót i tego, co znajdowało się za nimi... Byli oni jednak tylko jego potomstwem, wywodzącym się z prymitywnego szczepu, nie mieli zdolności niezbędnych, by wykonać to zadanie. Nie znali się na czarach, nie umieli czytać ani pisać, zapewne usiłowali dotrzeć do Wrót, lecz im także nie udało się ich znaleźć. Jeszcze mniej zrozumieli z jego wskazówek dotyczących miejsca ukrycia szafiru i farangila. Najgorsze, że z czasem wszyscy wymarli, zmienili się w błędne ogniki, ani żywe, ani umarłe. Dopiero wtedy odkryli, gdzie znajduje się szafir, i tam wszyscy wyruszyli. Było już jednak za późno, przestali być żywymi ludźmi.

Cień także zaniechał starań i dopiero przed mniej więcej dwudziestu pięciu laty zorientował się, co robi Móri, czego już dokonał. Móri był czarnoksiężnikiem, dobrze znającym się na magii, i ze swoich straszliwych wypraw do Świata Obok i do Świata Później przywiódł ze sobą nieocenionych sprzymierzeńców. Spotkał niezwykłą kobietę, Tiril, której własnością w dodatku były przedmioty powiązane ze Świętym Słońcem: część klucza do Tiersteingram położonego tu w pobliżu, a także naszyjnik z dziwaczną inskrypcją. Ponadto w rękach Habsburgów, rodu jej matki Theresy, znajdował się kielich z reliefem przedstawiającym legendę o

morzu, które nie istnieje.

Wszystko się zgadzało, Cień postanowił więc spłodzić dziecko, które mogło być potomkiem Lemurów. Dalszą część tej historii Dolg znał już dobrze.

- Jakie to musiało być dla ciebie straszne, panie - rzekł, zwracając się do Strażnika Słońca. - Przebywać w zamknięciu przez tyle tysięcy lat, w tym mrocznym pomieszczeniu. Tak wiele straconych lat.

- No, nie wiem - odparł Obcy żartobliwie. - Rzeczywiście byłoby to straszne, gdybym zdawał sobie z tego sprawę, i w pierwszej chwili, kiedy powiedziałaś mi o tych dziesięciu tysiącach lat, jakie upłynęły, ogarnął mnie gniew, wpadłem w rozpacz, ale wiesz, młody Dolgu, myślę, że dane mi było doświadczyć tego, o czym wielu ludzi marzy - życie od nowa, w całkiem nowych, nieznanym czasach w bardzo odległej przyszłości.

- No tak, to rozumiem - szeroko uśmiechnął się Dolg.

- Inaczej dawno już bym nie żył. Stwierdzenie to bardzo zdumiało Dolga.

- Nie przypuszczałem, że możecie umrzeć. No tak, mówicie o unicestwieniu, ale przecież jesteście w stanie żyć dalej jako swego rodzaju duchy, prawda?

- Nie, jeśli zostaniemy unicestwieni, jak to przydarzyło się naszemu pobratymcowi na brzegu dawno temu. Poza tym jednak umieramy tak jak wy, co prawda żyjemy o wiele dłużej od was, a później możemy istnieć w innej formie, czego nauczyliśmy również Lemurów, możemy żyć wiecznym życiem tu we wszechświecie, kiedy zechcemy, materializujemy się lub znikamy.

- Bardzo praktyczne - cierpko zauważył Dolg. Głos zabrał teraz Strażnik Góry.

- Zrozum to, nasz młody przyjacielu, materia umiera, lecz my wszyscy jesteśmy energią, a energia nigdy nie ginie, ona tylko przejawia się w inny sposób. To tak jak z waszą wędrówką dusz, powracacie w nowych wcieleniach, na ogół w ogóle tego nieświadomi. Z nami jest inaczej, po pierwsze żyjemy dłużej, a później przechodzimy - w swoistą formę duchowego istnienia, lecz przez cały czas jesteśmy tymi samymi osobami.

- Ale wy dwaj żyjecie?

- Tak, na razie. Nie jesteśmy bardzo wiekowi, a w do datku mój krewniak został w pewnym sensie unieruchomiony w czasie. Nie jest więc nawet o dzień starszy niż wówczas, gdy przed dziesięcioma tysiącami lat zamknięto go i wyznaczono mu rolę Strażnika.

Czerwień brzasku pojawiła się nad horyzontem, czarodziejskim światłem rozjaśniając przepiękne twarze dwóch nowych przyjaciół Dolga. Odwrócił wzrok, popatrzył na inskrypcje na skalnej ścianie. Uświadomił sobie, że relief przedstawiający Wrota musiał widnieć na niej długo przedtem, nim przybyli ostatni Lemurowie. Było więc tak, jak mówili Dolg i jego rodzina.

Dotknął skalnej ściany.

- Istnieje więcej Wrót?

- Bardzo wiele.

- Gdzie leżą najbliższe? Zastanowili się.

- W południowej Finlandii są Wrota zwane Wrotami Boćków, od nazwiska niezwykłego rodu, na Islandii jest ich parę, w Norwegii...? Owszem, lecz mało znane, nigdy nie używane. I tak dalej, na całym świecie.

- Wracając do tego, o czym mówiliśmy - powiedział Strażnik Słońca. - My sami możemy postanowić, kiedy chcemy umrzeć. Całkiem zgasnąć. Wtapiamy się wówczas w Światłość.

- W Wielką Światłość? - podchwycił Dolg. - Ależ oj ciec nam o tym mówił. On ją widział. To olbrzymie owalne światło miłości.

Jego rozmówcy nie posiadali się ze zdumienia.

- Masz całkowitą rację - uśmiechnął się Strażnik Słońca. - Czy ktoś jeszcze zastanawia się, dlaczego Ciebie wybrał właśnie Móriego czarnoksiężnika?

Jego krewniak dodał:

- Nasz przyjaciel, który był tu na tym brzegu i został unicestwiony przez Tyranów... wtopił się w Wielką Światłość i jego energii nie dało się zniszczyć, chociaż oni za troszczyli się o to, by przestał istnieć we wszechświecie.

- Zwycięstwo więc właściwie należało do niego - stwierdził Strażnik Słońca.

- Rozumiem. Czy Tyrani również mogą wejść w Wielką Światłość?
- O, nie. Światłość jest, jak mówisz, miłością. Tyrani należą do innej grupy...
istnień. Ale tłumaczenie ci tego trwałoby za długo.
- Dolg namyślał się przez chwilę.
- Powiedzcie mi - poprosił wreszcie. - Czym jest Święte Słońce? Skąd się wzięło?
Czy naprawdę jest zrobione ze złota?
- Drugi z Obcych uśmiechnął się równie ciepło jak pierwszy.
- A ja pytam, czy ktoś jeszcze się zastanawia, dlaczego Ciebie wybrał ciebie, Dolgu,
synu czarnoksiężnika?
- Jesteś mądrym młodzieńcem - zgodził się Strażnik Słońca. - Masz rację, Święte
Słońce sprowadzono z Wielkiej Światłości przed niepamiętnymi czasami.
- Ojej! - westchnął Dolg. - I stać was było na to, by podarować je Lemurom i
pozostawić je tutaj poza Wrotami?
- Święte Słońce jest jednym z wielu. Kiedyś w zamierzchłej przeszłości
otrzymaliśmy płomień od Wielkiej Światłości, ponieważ nauczyliśmy się znaczenia
słowa „miłość” .
- To znaczy, że reszta Świętych Słońc znajduje się... za Wrotami?
- Tak.
- Dolg był oszołomiony.
- Ale jak można trzymać w ręku płomień?
- Kiedy dostaliśmy płomień, Słońce otrzymało stałą formę, tworzywo przypomina
złoto, lecz jest o wiele cenniejsze.
- Dolg już chciał zapytać, od kogo dostali płomień, lecz po wyrazie ich twarzy
poznał, że nie wypada. Zamiast tego zwrócił się do Strażnika Góry:
- To ty, panie, przejąłeś więc służbę po tym, który został unicestwiony? Krążysz tu
od wielu tysięcy lat?
- Nie, wymieniamy się tu, na Ziemi, wyznacza nam się pewien okres pobytu,
uznawane jest to niemal za karę - dokończył żartobliwie.
- To znaczy, że za Wrotami jest lepiej? Wybuchnęli śmiechem.

- Tego się nie da porównać. Poczekaj, sam się prze konasz.

W tym momencie Dolg zdał sobie sprawę, że rzeczywiście wkrótce czeka go przejście na drugą stronę. I to już bardzo niedługo.

Miał wrażenie, jakby stanął pod zimnym prysznicem radości i nadziei przemieszanej ze strachem.

16

Powrócili do krypty.

- Uf - wzdrygnął się Strażnik Słońca na widok poro śniętego splątanych zaroślami usypiska głazów. - Nie jest to szczególnie przyjemne miejsce na odpoczynek.

- To prawda - przyznał jego towarzysz.

Strażnik Słońca położył dłonie na ramionach Dolga. Wprawdzie Dolg był nadzwyczaj wysokim młodzieńcem, a mimo wszystko wyglądało to, jakby dorosły stanął przy dziesięciolatku.

- Nosisz imię Dolg, w języku Lemurów oznaczało ono samotnika, bardzo szczególną osobę, wybitną. To odpowiednie imię dla ciebie, chłopcze.

- Dziękuję.

- Wiesz, bardzo jesteśmy ciekawi, jak to się dzieje, że rozumiesz nasz język. W tym, że my cię rozumiemy, nie ma nic dziwnego, posiadamy bowiem taką zdolność, ale nie mieli jej nawet Lemurowie, a ty przecież jesteś człowiekiem i nie są ci obce ludzkie słabości. Jak to możliwe, że potrafisz z nami rozmawiać?

- To zasługa Madragów - odpowiedział Dolg. - Spójrzcie, dali nam taki aparacik. Rośli mężczyźni przyjrzeni się klockowi z zainteresowaniem, a potem popatrzyli po sobie zdziwieni. r Bawoli lud - wyjaśnił Dolg. Strażnikowi Góry rozjaśniło się w głowie.

- No tak, oczywiście, Madragowie, słyszałem o nich, o istotach obdarzonych niezwykle wysoką inteligencją i zmysłem technicznym. Czy oni jednak nie żyli za czasów Lemurów? Sądziłem, że już wyginęli.

Dolg opowiedział o wyprawie do Karakorum.

- Karakorum? - powtórzył zdumiony Strażnik Góry. - Tam przecież znajdują się

jedne z najważniejszych Wrót, w pewnej górskiej dolinie położone jest miasto zwane Szambala czy też Shangrila. Tamtejsi mieszkańcy mają połączenie z naszym światem.

- No cóż, w każdym razie my tam nie byliśmy - zdecydowanie oświadczył Dolg. - Gdyby Sigilion o tym wiedział, to...

Zamyślił się. Przypomnił sobie miejsce, w którym ukrył się wielki jaszczur. Ale nie, to się nie zgadzało. Gotów był przysiąc, że Sigilion nic o tym nie wiedział. Strażnicy wyrazili uznanie dla rodziny czarnoksiężnika za uwolnienie Madragów, a potem Strażnik Słońca niechętnie wszedł do krypty.

- Mam nadzieję, że to już po raz ostatni - stwierdził chłodno.

- No tak, bo Słońce przejdzie chyba teraz przez Wrota? - spytał Dolg.

- Jeśli uda nam się zgromadzić wszystkich, to zabierzemy je ze sobą - przyznał Strażnik Góry.

Dolg miał jeszcze jedno pytanie.

- Skoro w świecie, do którego prowadzą Wrota, możecie żyć tak długo, musi tam chyba być ciasno.

- Nie mamy z tym żadnych problemów - odparł Strażnik Góry. - W przeciwieństwie do was, ludzi, którzy płodzicie się bez żadnych zahamowań, mamy kontrolę nad tym, co robimy. A przecież i wśród was czasami się przerzedza. Spójrz tylko na Bengal, w żadnym innym miejscu na Ziemi nie przychodzi na świat tak dużo dzieci, ale też i w żadnym innym miejscu nie wydarza się tak wiele katastrof. Przyroda sama to reguluje, jedno jest następstwem drugiego, w obie strony. U nas najważniejsze jest to, że nie mamy tak wielu dzieci jak wy i w ten sposób udaje nam się utrzymać równowagę.

Dolg skinął głową na znak, że zrozumiał.

- Ale wam nie udało się otworzyć tych Wrót?

- Nie wiedzieliśmy, gdzie znajdują się szafir i farangil ani też gdzie może przebywać Cień, zresztą on nie potrafił odnaleźć tego miejsca. Z początku nawet on nie wie dział, gdzie szukać towarzyszących Słońcu kamieni. Za gubił się

bowiem na Ziemi, wszystko wokół niego się zmieniło, zniknął gdzieś brzeg morza, a wraz z nim punkt odniesienia dla poszukiwań dwóch cudownych kul. Później, co prawda, ustalili, gdzie są, lecz zrobić nie mógł nic, gdyż tajemny zapis na skale przeznaczony był dla żywego człowieka. No i nigdy nie odnalazł brzegu, to dopiero wasza zasługa. Ja osobiście zostałem przypisany do tego miejsca i nie miałem pojęcia o losach Cienia. Dowiedziałem się o nich dopiero teraz, kiedy tu przybyliście.

- To znaczy, że widziałeś nas, panie?

- Owszem, od jakiegoś czasu - odparł Strażnik Góry z zagadkowym uśmiechem. - Słuchałem i uczyłem się.

Dolg rzekł po namyśle:

- Właściwie Cień wykorzystał nas, a w szczególności mnie.

- To prawda, ale otrzymacie dobrą zapłatę.

- Doprawdy? - nie dowierzał Dolg.

- Zaczekaj, a sam się przekonasz!

Znajdowali się w podziemnym pomieszczeniu. Strażnik Słońca z rezygnacją pokręcił głową.

- Dziesięć tysięcy lat - szepnął.

Zapadło milczenie, zamyślili się nad tym faktem. Wreszcie Strażnik Góry powiedział:

- Dolgu Lanjelinie, niedługo wstanie dzień, chyba nadszedł już czas, zanim ktoś się tu zjawi zaniepokojony, co cię tak opóźnia.

Młodzieniec zebrał się na odwagę:

- Oczywiście pójdziecie ze mną?

- Nie - zaprzeczył Strażnik Słońca. - To twoja rzecz, lecz jeśli odnajdziesz Święte Słońce, pomożemy ci z resztą. Weź ze sobą farangil i szafir.

Dolg kiwnął głową i przygotował się do odejścia.

Najgorsze już za mną, doszedł do wniosku, ruszając w dół podziemnego korytarza. Pozostaje tylko zabranie stąd Świętego Słońca.

Czyżby?

Pod wielkim usypiskiem głazów panowała wilgoć i mrok. Wkrótce stracił obcych z oczu i zauważył, że korytarz się zwęża.

Stawał się także coraz niższy.

Gdyby nie bijące z głębi bladożółte światło, musiałby posuwać się po omacku w ciemnościach, a tak przynajmniej widział, gdzie stąpa i w którą stronę powinien się kierować.

Wilgoć ciągnąca od ścian z ziemi i kamienia stała się wręcz namacalna, ciałem wstrząsnął dreszcz zimna. Korytarz gwałtownie się zwężał, teraz już Dolg musiał czołgać się na kolanach, pojął, że z biegiem czasu sklepienie musiało się obsunąć, z całą pewnością Obcy nie chcieli, aby tak wyglądała droga do ich największego skarbu tu na Ziemi.

Światło pozostawało takie jak przedtem, dość skąpe, tajemnicze, jakby zaczarowane.

To dopiero...! Dolg musiał położyć się na brzuchu i pełznąć pod zwałami ziemi i kamieni. Wcale, ale to wcale mu się to nie podobało.

Wreszcie dalej nie mógł się już przedostać, sklepienie osunęło się za nisko, nie mieścił się w korytarzu. Głęboko odetchnął, aby zwalczyć ogarniającą go klaustrofobię.

Może lepiej zawrócić i powiedzieć Obcym, że musiał zrezygnować?

O, nie, nie tak prędko, przynajmniej spróbuje.

A gdybym tak podkopał trochę sklepienie?

Nie, to zły pomysł, jeszcze wszystko zwali mi się na głowę.

Trzeba raczej zrobić coś z podłożem, miejmy nadzieję, że skała nie znajduje się tuż pod powierzchnią ziemi, bo wtedy będę musiał się poddać, porzucić myśl o Słońcu, cudowny święty skarb zostanie w tej ponurej jamie w ziemi na całą wieczność.

Tak stać się nie może.

Gołymi rękami zaczął ryć w mocno ubitej ziemi. No, już po moich paznokciach,

pomyślał, ale to drobiazg.

Szafir i farangil niemal histerycznie jarzyły się i połyskiwały w swych skórzanych woreczkach i prawdę powiedziawszy dość skutecznie oświetlały ciasne przejście. Rzeczywiście ich blask był potrzebny, o dziwo bowiem światło Słońca wcale nie przybierało na sile, choć Dolg znacznie się przecież do niego zbliżył. Widać zasłaniają je jakieś drzwi czy kamienna płyta, doszedł do wniosku.

- To uwłaczające - mruknął pod nosem i odkrył, że dźwięk własnego głosu w pewnym sensie dotrzymuje mu towarzystwa. - Czołgam się na brzuchu jak w lisiej jamie. Czy naprawdę musieli ukryć wszystkie swoje drogocенności w taki sposób? Na bagnie, żeby dotrzeć do szafiru, przeciskałem się między ściśniętymi blokami kamienia, a pod mostem nad Ófaerufoss młody B jar ni musiał przedrzeć się przez podobny korytarz, aby dotrzeć do króla elfów. No i wcale niełatwo było znaleźć farangil. Och, przestańcie marudzić! - prychnął zirytowany, zwracając się do kamieni.

Nie, nie wolno mi się denerwować, wtedy wszystko będzie stracone.

- Przepraszam, nie chciałem tego powiedzieć - szepnął cudownym kulom.

Palcami wyczuł skaliste podłoże. No cóż, ta droga była zamknięta. Podniósł wzrok na sklepienie, obmacał je. Jeszcze raz dotknął podłogi, tym razem z boku.

- Ależ... Cóż na miłość boską... To przecież mur zbudowany czyimiś rękami! Tak wąsko? Jak mogli przypuszczać, że ktokolwiek zdoła się tędy przecisnąć?

A może...?

Ponownie obmacał podłogę i nagle odkrył coś, czego nie zauważył wcześniej.

Dwie równoległe rynny ciągnące się w dół korytarza. „Zabierz ze sobą szafir i farangil!” Odetchnął głęboko.

- Przepraszam - powtórzył. - To ja jestem głupcem. Wyjęcie kamieni z sakiewek w ciasnym korytarzu nie było wcale łatwe, ledwie zdołał opuścić ręce do pasa, a co dopiero odwiązać woreczki.

„Bez pomocy dwóch kamieni nie da się dotrzeć do Słońca”. Takie stwierdzenie słyszał wielokrotnie w ciągu ostatnich lat, jego wymowa stała się teraz bardziej

wyrazista niż kiedykolwiek.

Zdołał wyluskać farangil z sakiewki. Kula zaśniła czerwonym blaskiem, umożliwiając Dolgowi zajrzenie w głąb korytarza. Wydawało mu się jednak, że nic nie widzi, chociaż...

Rzeczywiście korytarz zagradzała ściana, lecz tak odległa, że ledwie domyślił się jej istnienia. Cień mówił, że mieli wielkie kłopoty z otwarciem Wrót, ponieważ nie zabrali dwóch towarzyszących Słońcu kamieni. Dolg świetnie to zrozumiał. Jak zdołałby bez nich dać sobie radę tutaj? Nic by nie działał.

Nareszcie... Narazając się na wykręcenie ręki ze stawu, zdołał w końcu wyjąć również drugi kamień. Obie kule rozjarzyły się, oślepiając go na moment. Ułożył kamienie w rynnach.

- No, a teraz ruszajcie!

Nic się nie wydarzyło. Kule zamrugały tylko, jakby urażone.

- Czyżby potrzebne wam było jakieś hasło? Ileż wy właściwie ode mnie wymagacie...? Ach, nie, wybaczenie, ułożyłem was odwrotnie.

Zmienił położenie kul.

Migotanie kamieni natychmiast ustało, zapłonęły jasnym, mocnym, równym blaskiem. Równocześnie potoczyły się w głąb korytarza.

Dolg odetchnął z ulgą. Pojmował, że jego nerwy niedługo już nie wytrzymają napięcia. W jednej chwili poczuł, - jak bardzo się spocił od koncentracji, zdenerwowania i strachu przed tym, że nie zdoła wypełnić zadania.

Nietrudno było śledzić trasę kamieni, świeciły niczym maleńkie planety, czerwona i niebieska, rzucając blask na murowane ściany. Jakiż to piękny widok, jaki wzruszający! Dolg poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

Dotarły do kamiennej ściany, ale... Nie była to wcale ściana, lecz kłapa z kamienia. Kiedy kule w nią trafiły, odchyliła się w tył, otwierając półkę położoną nad nią pod odpowiednim kątem. I nagle Dolg został całkiem oślepiony. Z okrzykiem bólu zasłonił oczy rękami, pojął jednak, co się stało:

Święte Słońce spadło w korytarz i toczyło się teraz wprost na niego. Słyszał, że

jest już coraz bliżej.

Jęknął ze strachu. W jaki sposób zdoła je przyjąć? Jak weźmie w dłonie tę kulę ognia? I co się stało z jego najdroższymi przyjaciółmi, szafirem i farangilem?

Najpewniej utknęły za klapą, czyżby miały zostać tu na wieki?

Nigdy!

Trzepocząc powiekami zdołał wreszcie zobaczyć dostatecznie dużo, by zatrzymać Słońce, przekonany, że spłonie, gdy tylko go dotknie. O dziwo, jednak tak się wcale nie stało. Kula w dotyku okazała się przyjemnie chłodna.

- Witaj! - powiedział ze wzruszeniem. - Już niedługo wyjdiesz na światło.

Ale nie bez szafiru i farangila.

Zdołał umieścić Słońce z boku przy głowie, w taki sposób, że przynajmniej jednym okiem mógł patrzeć w głąb korytarza.

Dzięki Bogu, lękał się niepotrzebnie. Klapa z kamienia wróciła do swej poprzedniej pozycji i popchnęła kamienie do tyłu, turlały się teraz w stronę Dolga wyraźnie zadowolone i dumne.

Chłopak na przemian śmiał się i płakał.

- Najmilsi przyjaciele - uśmiechnął się szeroko. - Najmilsi, najdrożsi przyjaciele, jak dobrze znów was widzieć! Dziękuję za pomoc, dobrze sobie radziliśmy, prawda?

W wyobraźni usłyszał odpowiedź cudownych kul: „Czasami ciężko myślisz, niewiedzący Ziemianinie”.

Nie tracąc czasu na chowanie kamieni, zaczął wycofywać się z korytarza. Szafir i farangil same dawały sobie radę, po prostu toczyły się za nim, ze Słońcem natomiast starał się zachować jak największą ostrożność. Nie mógł patrzeć na ognistą kulę, przez cały czas więc miał oczy zamknięte, pilnował jednak, aby Słońce przypadkiem nie otarło się o skałę, bo jeszcze by się porysowało. Był to prawdopodobnie nadmiar ostrożności, lecz Dolg nawet w taki sposób chciał okazać Słońcu szacunek.

Najbardziej zdumiewała jednak niezwykła miłość, jaką promieniowało Słońce.

Trafiała ona wprost w duszę Dolga.

Kiedy korytarz się rozszerzył, chłopak wstał, wsunął szafir i farangil do ich sakiewek, a Słońce owinał własną koszulą. Jeszcze raz głęboko odetchnął i wszedł do krypty niczym latarnia morska, oświetlony blaskiem trzech klejnotów.

Obcy przyglądali mu się bacznie, a Dolg głosem drżącym ze wzruszenia oznajmił:
- Zadanie wykonane.

17

Właściwie poszło znacznie łatwiej, niż przypuszczał. Żadnych prób tak jak w Gjain, żadnych podstępnych pułapek jak w miejscu, gdzie znalazł szafir. Mimo to jednak osłabł tak bardzo, że musiał się położyć na katafalku Strażnika Słońca.

Ostatnim Lemurom w otwarciu Wrót musieli pomóc Obcy, podczas gdy on...

Wprawdzie teraz także mu pomogli, lecz i tak w najważniejszych momentach radził sobie sam.

Ta myśl przepełniła - go dumą i pomogła zebrać siły.

Wstał wreszcie i oznajmił, że jest gotów iść dalej.

Mężczyźni przyglądali mu się uważnie.

- Wrócisz teraz do domu, do innych, i tam postarasz się porządnie wypocząć, a w nocy, kiedy księżyc będzie w pełni, przyjdziecie wszyscy tutaj, pod tę górę. W tym czasie my wzniesiemy rusztowanie dla trzech świętych kamieni i przygotujemy wszystko do przeprawy w inny świat.

Dolg popatrzył na szafir i farangil, lekko pulsujące w dłoniach jednego ze Strażników. Drugi trzymał Słońce owinięte w swoją szatę.

- Możesz nam zaufać - rzekł Strażnik Słońca z po wagą.

Dolg wiedział, że to prawda. Nie otworzyliby Wrót i nie przeszli przez nie, gdyby mieli kogoś pozostawić. Nawet najmniejszy błędny ognik miał wyruszyć wraz z nimi. Skinął więc głową i odszedł.

Zmierzch zapadł wokół domu Mariatty.

Ostatnie przygotowania dobiegały końca.

Theresa obserwowała bliskich. Załatwiła już chyba wszystko. Sztabowi służących

w Austrii zapewniła przyszłość, powiadomiła też Aurorę o tym, że cała wielka rodzina opuszcza Ziemię w poszukiwaniu nowego życia. Miała nadzieję, że o niczym nie zapomniła.

W milczeniu uścisnęła rękę Erlinga.

Villemann pomagał Mariatcie ubierać dzieci na tę ostatnią podróż. Obcy wydali Dolgowi rozporządzenia odnoszące się do tego, co każdy powinien ze sobą zabrać. Nie potrzebowali wiele bagażu, czekał ich zupełnie nowy styl życia w świecie, gdzie nie ma wiatrów.

Zbudzili już Dolga, wraz z innymi przygotowywał się do wyruszenia. Kiedy wrócił rano, wysłuchali jego długiej opowieści. Najbardziej chyba zdziwiło ich spotkanie z Obcymi.

I to, że odnalazł Słońce.

A więc jednak wszystko okazało się prawdą. Wcale nie legendą ani też interesującą baśnią na granicy rzeczywistości. To była rzeczywistość.

Dzieci, małomówne i podniecone, w pełni ufały swoim nowym przyjaciołom.

Wszyscy zajmowali się nimi z taką sympatią, a mały Jonas znalazł swego szczególnego przyjaciela w Nerze.

Taran, dowiedziawszy się, że w żyłach Uriela płynie krew Obcych, patrzyła na męża zupełnie inaczej. Uriel także zachowywał się jakoś bardziej uroczyście, lecz jak powiedział, dopiero teraz zrozumiał wiele spraw. Swoje niezwykle poczucie obcości na świecie, ognisty miecz... Skąd się właściwie wziął?

Móri i jego żona nie rozstawali się nawet na chwilę. Tiril przez cały czas czuła, że coś ściska ją w gardle, wciąż niepewna, czy słusznie postępują wobec rodziny.

Oni sami nie mieli żadnych wątpliwości, że powinni udać się na drugą stronę, ale dzieci...

„Są dorosłe”, upewniał ją Móri, lecz w jego głosie dawało się wyczuć drżenie.

Islandia, powtarzał w duchu. Nigdy już nie ujrzę Islandii ani też Norwegii.

Tyle lat już upłynęło od czasu, kiedy jako chłopiec służył u Eirikura w Vogsos, jeszcze dawniej studiował w Hólar i uprawiał czary w Myrka. Te działania skazały

jego matkę na śmierć.

Czy udało mu się odpokutować tę tragedię? Czy dostatecznie dużo dobra czynił w życiu?

Nie, tego nigdy nie da się odpokutować. Starał się jednak robić co tylko w jego mocy dla rodziny. I dla świata.

Marzyciel Rafael wzdychał drżąc. Ciągnął swą ukochaną Amalie na jakąś szaleńczą wyprawę, ona jednak sprawiała wrażenie szczęśliwej, że może mu towarzyszyć. Rafaelowi podróż jawiła się niczym najczarowniejszy sen, oto trafił do baśniowej krainy. Był przekonany, że w tym nowym świecie wszystko będzie idealne.

Leonard był gotów bronić swej kruchej Danielle, gotów stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu i nie wierzył wcale zapewnieniom innych, że wszelkie zagrożenia już minęły.

Madragom, tym życzliwym, dobrodusznym istotom, ze wzruszenia kręciły się w oczach łzy. Pojawiły się też wszystkie duchy Móriego, niektóre z nich co prawda wciąż nie mogły wyzbyć się wątpliwości, czy naprawdę mogą opuścić Ziemię.

Hraundrangi - Móri i Nauczyciel już podjęli decyzję, jako czarnoksiężnicy nie mieli przed sobą żadnej przyszłości, Zwierzę opuszczało świat wraz ze swym towarzyszem Nerem, Pustka i Duch Zgasłych Nadziei nie chciały zostać, wierzyły, że Wrota uwolnią je od ciężaru, jaki zawsze nosiły. Budzące grozę duchy miały też pewnie nadzieję, że przywrócony im zostanie ich dawny, normalny wygląd.

Jednak były także dwa duchy przyrody, pani wody i pani powietrza, oraz Nidhogg, symbol. Czy one w ogóle mogą opuścić ziemię? Słyszając jednak te wątpliwości Tiril włączyła się w sprawę. Ujęła długą, pozbawioną substancji dłoń Nidhogga i poprosiła go, by się do nich przyłączył, inaczej zawsze będzie za nim tęsknić. A Móri błagał obie piękne panie, by zastanowiły się, jaka przyszłość czeka je w świecie ludzi. On, podobnie jak i one, doświadczył wizji tego, co ma nadejść, i nie były to piękne obrazy, zarówno te, które dotyczyły nieba, jak i te dotyczące wody. Stało więc na tym, że wszystkie osiem duchów zdecydowało się na przeprawę.

Villemann podsumował ich decyzję głośnym „hurra”.

Cień i czworo Strażników nie mieli ani krztyny wątpliwości, od tysięcy lat czekali na ten moment. Chwila ta wreszcie nadeszła, nastąpi kres ich niepokoju.

Maria jeszcze raz przejrzała ubrania dzieci. Była pewna swej decyzji, malcy ani razu nie wspomnieli ojca, Inez ani dworu. Nie okazali nawet cienia tęsknoty za dawnym domem. Maria odetchnęła z ulgą, Nils Bórje nigdy nie będzie już ich ścigał.

Ludzi Lodu nie było wśród nich, ale Móri oznajmił: „Mam wrażenie, że jeszcze ich ujrzymy”.

Heinrich Reuss von Gera nie miał co pakować ani co robić. Siedział na ławie i próbował zebrać myśli. Dla niego to przedsięwzięcie było eksperymentem, o którym dowiedział się całkiem niedawno. Marzył o tym, by ujrzeć Słońce, być może poprosić o spełnienie jakiegoś życzenia. Fakt, że wybierali się do jakiejś nieznanej krainy, poruszył go właściwie do tego stopnia, że jeszcze nie zdążył się do tego ustosunkować. W przyływie dobrego humoru i odwagi powiedział „niech będzie” i postanowił im towarzyszyć. Był wszak już stary i nie miał przed sobą żadnej przyszłości, teraz jednak nękały go wątpliwości co do słuszności tej decyzji.

Inną przeżywającą rozterki osobą była młoda Fionella.

Marzyła o jednym - o tym, by jeszcze raz ujrzeć nocnego zalotnika. Doszła do wniosku, że dopóki go nie spotka, nie może opuścić świata. Co będzie, jeśli przyjdzie do niej następnej nocy i już jej nie zastanie? Co sobie pomyśli? Że go nie chciała? O, nigdy już nie spotka kogoś takiego jak on, tego była pewna, kogoś tak pięknego, czulego i... tak podniecającego. Całe ciało tęskniło za nim, już • w chwili, kiedy przy niej był, i później. Może spodziewa się jego dziecka, to bardzo prawdopodobne.

O, Święta Dziewico, jak mogłaś mi to zrobić? Co powinnam wybrać? Czy zdradzić swoją panią, czy ukochanego?

Stłumiła łkanie, pakując skromny dobytek, ciepłą bieliznę, zapasową parę

pończoch. Co mam zrobić, jak postąpić, zastanawiała się gorączkowo. Dlaczego tak się stało?

Wszyscy pozostali natomiast nie mieli wątpliwości, jaki uczynić krok. I tak nie mogli już powrócić do Theresenhof, a w Norwegii także czekała ich bardzo niepewna przyszłość. Opowieści Cienia o cudownym świetle za Wrotami bardzo kusily, wszyscy przecież lubili przygody i tak wiele ich przeżyli.

Mimo to cisza panująca w leśnej zagrodzie przytłaczała. Nikt nic nie mówił, wszyscy chodzili pogrążeni we własnych myślach. Nigdy jeszcze nastrój rozstania nie był aż tak wyczuwalny.

O północy olbrzymia gromada powędrowała przez las. Żywi i umarli, duchy przyrody i istoty ludzkie, a także jeden pies. Pan Dolg wrócił, Nero dla pewności nie odstępował go nawet o krok, wyczuwał bowiem, że wkrótce nastąpi coś niezwykłego.

Dawne błędne ogniki, które odzyskały pierwotną formę życia, krążyły pełne radosnego wyczekiwania. Szły też nieprzeliczone gromady elfów, karłów i innych duchów przyrody, nie mogły bowiem dłużej znieść wdzierania się ludzi na ich obszary i straszego niszczenia natury. Zresztą mało kto już w nie wierzył. Lasem wędrował także zastęp nieszczęsnych dusz, zmarłych, którzy nigdy nie znaleźli spokoju ani za życia, ani też po śmierci, narażonych na niezrozumienie ze strony bliźnich.

Dolg z prawdziwym przerażeniem patrzył, jak wielu postanowiło wyruszyć wraz z nimi. A jeśli to wszystko jest tylko ułudą, jeśli z popiołu prowadzi ich prosto w ogień do straszniejszego świata lub wręcz ku unicestwieniu?

No cóż, na takie wątpliwości już za późno.

Z daleka ujrzeli ogniska rozpalone na „plaży”. Dolg na moment się przestraszył, że sąsiad Mariatty lub też ktoś inny ujrzy te ognie, lecz przecież od ludzi oddzielał ich las i wzgórze. Rzeczywiście, takie niebezpieczeństwo nie groziło. W dodatku była północ, a przecież wieśniacy wcześniej udają się na spoczynek. Nikt raczej nie czuwa o tej porze. Zbliżywszy się, ujrzeli konstrukcję z kamieni i pni drzew,

przypominającą wysoki ołtarz z trzema wyeksponowanymi miejscami. Najwyższe w środku. Na razie jednak nic na nich nie leżało.

Nagle Fionella gwałtownie przystanęła.

- Nie, nie mogę - powiedziała żałośnie, lecz zdecydowanie.

Inni także się zatrzymali.

- Czego nie możesz? - spytał Móri.

- Opuścić tego świata - oświadczyła dziewczyna ze łzami w głosie. - Cięży na mnie odpowiedzialność, mam obowiązek, zadanie do wypełnienia. Niestłusznie postąpię znikając.

- Ależ, Fionello - zdziwiła się Theresa. - O czym ty mówisz?

- Nie jest moją sprawą o tym opowiadać - załkała dziewczyna.

Wzniosłe słowa w jej ustach wydawały się trochę nie na miejscu.

Theresa pokręciła głową.

- Za późno teraz na wątpliwości. Co my z tobą poczniemy? Nie możemy cię tu zostawić samej w obcym kraju.

- Nie zostanę sama - Fionella próbowała tłumaczyć tak, by niczego nie wyjaśnić.

Starali się ją przekonać, wiedzieli jednak, że właściwie nie mają do tego prawa.

Nikogo nie wolno zmuszać do wyruszenia w nieznane przez jakieś Wrota.

Theresa była bliska rozpacz.

- Kto... Kto z nią zostanie? Milczenie.

- Nie, nikt nie musi zostawać - zapewniła Fionella. - Sama dam sobie radę.

- Nie, na pewno. Ach, mój Boże, to dopiero kłopot!

- Może ja mógłbym... - zaczął Heinrich Reuss nieśmiało.

- O, nie, drogi przyjacielu. Nie możesz się tak poświęcać - powiedziała Theresa.

Wszyscy bardzo się przejęli.

Przygnębieni popatrzyli na plażę. Zdumieli się widząc, że ołtarz nie został wzniesiony naprzeciwko wykutych w skale Wrót, lecz znacznie bardziej z boku. I to wcale nie tam, gdzie Dolg odnalazł Słońce, lecz z prawej strony.

Między ogniskami krążyły dwie wysokie postacie.

- Czy to oni? - szeptem spytała Dolga Tiril.

- Tak, są bardzo przyjaźni.

Dolgowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Fionello, chodź przynajmniej z nami i porozmawiaj ze Strażnikami. Może wyjaśnią ci dokładniej, co znajduje się za Wrotami, i przestaniesz się bać.

- Wcale się nie boję, to nie o to chodzi. Po prostu chcę tu zostać, mam swoje powody.

- Rozumiem, ale chodź z nami. Zaraz się nad tym za stanowimy.

Dziewczyna zgodziła się niechętnie.

- Fionello, nikt z nas nie chce cię zmuszać - zapewnił Uriel.

Uśmiechnęła się do niego drżąc, strasznie jej było głupio, że sprawia swym dobrym gospodarzom tyle kłopotu. Kiedy cała gromada opuściła już krawędź bagniska i doszła do miejsca, gdzie kiedyś ciągnął się brzeg morza, dwie olbrzymie postacie wyszły im na spotkanie.

- Rzeczywiście, sporo was się tu zebrało - powiedział z uśmiechem Strażnik Słońca. - Ale witamy każdego z was, wszystko gotowe do drogi.

- Dobrze - odparł Dolg.

Tłum ludzi i duchów obserwował niezwykłych Obcych ze zdziwieniem i podziwem.

- Niestety, mamy pewien kłopot... - Odwrócił się w stronę Fionelli i umilkł.

Dziewczyna z rozdziawioną buzią i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w Strażnika Góry.

- To on - szepnęła do siebie.

- Co mówisz? - dopytywała się Theresa. Fionella wzięła się w garść.

- Nic, nic w ogóle... ja... może jednak pójdę z wami. Chyba. Jeśli...

Strażnik Góry zauważył ją i zaraz do niej podszedł. Uśmiechnął się do dziewczyny i szepnął jej coś do ucha. Rozpromieniła się.

- Idę z wami - oświadczyła bez cienia wątpliwości.

Nikt inny nie usłyszał tego, co jej powiedział: „Ty też masz zamiar przejść przez Wrota? To znaczy, że popełniłem pewien błąd, sądziłem bowiem, że zostajesz,

właściwie powinienem tu pobyc jeszcze przez jakiś czas, ale w tej sytuacji poproszę, aby ktoś mnie zmienił. Wtedy będę mógł pójść razem z wami”. Strażnikowi Góry bowiem, który zapewne nie po raz pierwszy zasiał swoje nasienie w Ziemiance, wypełniając rozkazy dane mu z góry, spodobała się miła samotna Fionella. Właściwie Obcy mieli zadawać się wyłącznie z zamężnymi kobietami, i to pogrążywszy je uprzednio w głębokim śnie, tak aby o niczym nie wiedziały i przypuszczały, że ojcem dziecka jest ich mąż. Tym razem jednak Strażnik Góry nie potrafił się oprzeć tej młodej panie, wdzięcznie drepczącej przez podwórze w duszną od zmysłowości, zaklętą noc. A ona przyjęła go ufnie, okazując ciepło i czułość, jakich samotny Obcy nigdy na tym świecie nie zaznał. Kiedy teraz znów ją ujrzał, serce zabiło mu w piersi radośnie i natychmiast postanowił, że sam będzie nad nią czuwał. Zamiaru takiego chciał dopełnić również tu na Ziemi, przynajmniej dopóki by tu pozostał. Wiedział, że samotne matki wiele muszą wycierpieć, chciał więc wynagrodzić jej przykrości, które spotkałyby ją za jego przyczyną, lecz przecież czas jego pobytu na Ziemi był ograniczony.

Tymczasem znalazło się rozwiązanie jego kłopotów, żalu i smutku, jakie czuł na myśl o mającym wkrótce nastąpić rozstaniu z dziewczyną. Mogli zostać na Ziemi oboje, dopóki nie minie wyznaczony mu czas, ale teraz w duszy Fionelli nie było już wątpliwości, razem z nim postanowiła przejść przez Wrota. Tam poznać go lepiej i znów poczuć pieszczotę dłoni na policzku i jego bliskość, taką jak tamtej nocy.

- Posiadasz, panie, niezwykły dar przekonywania - rzekła Theresa Strażnikowi Góry z uznaniem. - Wystarczyło zaledwie kilka słów.

Uśmiechnęli się do niej tajemniczo.

Dolga bardziej interesowały sprawy praktyczne.

- Dlaczego umieściliście rusztowanie tak daleko od góry? - zapytał.

- Nie sądziłeś chyba, że będziemy przechodzić przez skałę? - z lekką kpina spytał Strażnik Słońca.

No cóż, Dolg właściwie gotów był uwierzyć we wszystko. Okazało się jednak, że dyskusje prowadzone w rodzinie nie były pozbawione racji. Naskalny relief stanowił jedynie wskazówkę.

- Głupi jestem - przyznał. - Przecież ludzie muszą tędy wchodzić i wychodzić również w przyszłości.

- Mylisz się, Dolgu. I to podwójnie. Przez Wrota można tylko wejść, nigdy wyjść.

- Wy też nie możecie?

- My mamy inne drogi.

- Ach, tak! A moja druga omyłka?

- Te Wrota zostaną teraz zamknięte po wsze czasy. Czekaliśmy tylko na Strażników, na potomków Lemurów, na ciebie, szafir i farangil, i na Święte Słońce. Dolg poczuł, jak wielka jest to chwila. Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa, jakby spłynęła mu po plecach kropelka lodowatej wody.

Ogniska płonęły, trzaskając od czasu do czasu, z sykiem sypiąc iskrami palił się krzak jałowca. Skalną ścianę pokryły groteskowe cienie.

Dolg spostrzegł, że jego przyjaciel Cień stoi nieco z boku i przygląda się całej scenie. Jego twarz pozostawała niczym wykuta w kamieniu, jak gdyby nie chciał pokazać, jak gwałtowne uczucia targają nim w tej chwili. Już wkrótce jego długa, zdająca się nie mieć kresu wędrówka po Ziemi miała dobiec końca. Strażnicy stali przy nim z podobnymi wyrazami twarzy.

Obcy omawiali coś między sobą. W końcu Strażnik Góry zwrócił się do oczekujących go tłumów:

- Jest was tak wielu, że musimy wprowadzić jakiś porządek. Ja pójdę z pierwszymi, aby czuli się bezpieczni. Mój współplemieniec dołączy do ostatnich, a czwórka Strażników zajmie się swoimi grupami. Ty, młoda panie, będziesz szła ze mną - zwrócił się do Fionelli, która natychmiast oblała się rumieńcem, lecz w blasku ognia nikt tego nie zauważył. - Stań tu i czekaj, aż wezmę cię za rękę. Za nami pójdą inni. Czy wielka grupa potomków Lemurów może pójść przodem?

Dawne błędne ogniki napłynęły długim szeregiem i stanęły jak najbliżej Fionelli

oszołomionej tym, że oto znalazła się nagle w centrum zainteresowania.

- Potem pójda duchy przyrody, duchy Móriego, Madragowie oraz ludzie, którzy czekali już w przedśionku śmierci.

Miał na myśli nieszczęsne upiory i tych, którzy nie zaznali w życiu żadnej radości.

- Na ostatku pójda żywi ludzie. Urielu, proszę, zajmij się psem.

- Chwileczkę - odezwała się Taran. - Czy tam u was są jakieś zwierzęta?

- Są, wprowadzie trochę inne, ale są. Taran uspokojona kiwnęła głową.

Wreszcie grupy zostały rozmieszczone. Zapadła pełna napięcia uroczysta cisza.

Strażnik Słońca stojący wraz z ludźmi zwierzył się Erlingowi i Móriemu:

- Jestem tak samo spięty. Sen trwający dziesięć tysięcy lat to długi czas oczekiwania.

- Rzeczywiście, można tak powiedzieć - przyznał Erling.

- A teraz Dolg i ja opuścimy was, aby wraz z moim pobratymcem otworzyć Wrota.

Strażnicy szafiru i farangila, chodźcie ze mną!

Taran nie śmiała oddychać, spostrzegła, że nie tylko ona ma ten problem.

Heinrich Reuss był niezmiernie blady w blasku dogasających ognisk.

Najodleglejsze już się dopaliły. Płonęło tylko jedno, lecz i ono również miało wkrótce zgasnąć.

Ujrzała, jak jej starszy brat wraz z Obcymi i Strażnikami podchodzi do wysokiej konstrukcji. Stali tyłem do Taran, twarzami zwróceni w stronę góry, czy też raczej lasu rosnącego tuż z prawej strony skały.

Obcy rozwiązali jakieś zawiniątka.

Żaden powiew wiatru nie zmaćił ciszy zaległej nad bagniskiem. Tym bagnem, nad którym tak długo panował zły urok. W lesie nie drgnął nawet listek.

Na brzegu morza, które nie istnieje, nastąpiła taka cisza, jak wtedy przed tysiącami lat, kiedy zakłócały ją tylko fale Morza Yoldiowego.

18

Tiril uścisnęła Móriego za rękę, uścisk mówił: nasz Dolg jest z nimi. Móri odpowiedział tym samym.

Nagle czarodziejska niebieska poświata padła na skalną ścianę, dawny brzeg morza i wszystkich, którzy tam stali. To Strażnik Góry podniósł szafir lśniący z baśniową wprost siłą. Spostrzegli, że wargi Obcego się poruszają, szeptał coś, być może odmawiał modlitwę lub też odprawiał jakiś inny święty rytuał, trzymając kamień wysoko ponad głową.

Dopiero w tym momencie młodzianka Fionella zrozumiała, że zakochała się w kimś właściwie nieosiągalnym, w kimś, kto nie pochodził z tej ziemi.

Miłość jej jednak wcale przez to nie osłabła, przeciwnie, stała się jeszcze świętsza, wznioślejsza. Ze wzruszenia do oczu dziewczyny napłynęły łzy.

Strażnik Góry podał szafir Strażniczce, która czuwała nad nim na wyspie wśród bagien w Europie Środkowej.

Uroczyście wzięła go w ręce i położyła w przeznaczonym mu miejscu, z lewej strony konstrukcji.

W milczeniu podziwiali przepiękny niebieski blask.

Nawet Nero miał dość rozumu, by zachować spokój, chociaż jego pan znajdował się daleko.

Później Strażnik Góry wyjął farangil. Czerwona kula zapłonęła rubinowym blaskiem, który mieszając się z ogniem szafiru mienił się purpurą w środku, a po bokach rozpływał w bardziej czerwone lub bardziej niebieskie odcienie. Takim blaskiem kamienie nie płonęły nigdy dotąd.

Strażnik Góry powtórzył ceremonię z farangilem. Szeptał coś do niego, trzymając go nad głową, a później wręczył kulę Strażniczce strzegącej jej w dolinie Gjain.

Stała wraz ze swymi współtowarzyszami stamtąd po prawej stronie rusztowania i tam położyła kamień.

Strażnicy cofnęli się, przy konstrukcji zostało tylko ich trzech.

Strażnik Góry odwrócił się ku zebranych gromadom i powiedział cicho, lecz na tyle donośnie, by wszyscy go usłyszeli:

- Proszę, abyście chronili teraz wzrok. Urielu, zasłoń oczy psu, a Villemann i Mariatta niech się zajmą dziećmi.

Usłuchali.

Strażnik Słońca rozwiązał trzeci węzelek.

Chociaż zostali ostrzeżeni, cofnęli się z krzykiem na widok rozpalonego złotego światła, gdy Strażnik uniósł Święte Słońce ku niebu. Jakby pożoga ogarnęła cały wszechświat. Blask ich oślepił, usiłując chronić oczy, pochylali się lub odwracali. Cała okolica zmieniła się w gorejące białe ognisko.

Mijały chwile, powoli przyzwyczajali się do światła i stwierdzili wreszcie, że ciepły złocisty blask jest w rzeczywistości dość łagodny. Przyjazny i... jak to nazwać? Przesycony miłością? Wszystkich ogarnęło takie ciepłe uczucie. Zauważyli, że Strażnik Słońca monotonnym tonem odmawia jakieś zaklęcia, mówił jednak na tyle cicho, by nie zdołali pojąć słów. Długo przemawiał do Świętego Słońca, które trzymał przed sobą, zwrócony w stronę lasu rosnącego przy skale.

Później podał Słońce Dolgowi.

O, nie, nie dotykaj go, spłoniesz, ogień strawi twoje ciało, jęknęła w duchu Tiril. Ognista kula nie wyrządziła jednak Dolgowi żadnej krzywdy. Spowił go tylko blask, kiedy kładł niezwyklej skarb na środkowej części rusztowania.

Strażnik Słońca gestem dał znać Dolgowi, by został tam i strzegł Słońca, a sam za pomocą dłoni i głosu poprowadził jego promienie ku krawędzi góry.

Jednocześnie Strażnik Góry skierował blask szafiru i farangila w tę samą stronę. Promień światła migoczący teraz trzema barwami zgęstniał, skupił się w jednym punkcie przy krawędzi skały. W ostrym blasku zdumieni spostrzegli coś, czego nie odkryli wcześniej.

W skale od strony lasu ukazała się szczelina, jak gdyby rozsadził ją lód czy też kiedyś dawno rozłupała błyskawica. Zewnętrzna część tworzyła półkę ustawioną pionowo wzdłuż krawędzi skały.

Promień światła nabierał intensywności, aż wreszcie przypominał ostrze miecza.

Na ich oczach wąziutka szczelina zaczęła się rozszerzać, następowało to niezwykle wolno, lecz nikt nie zważał na upływający czas, gdyż to, co się teraz rozgrywało, zafascynowało wszystkich bez reszty.

Powoli otwierało się wielkie wejście. Nie widzieli, czy to góra się rozstąpiła, czy też ziemia, światło bowiem było zbyt intensywne, bardzo ostre. Otwór przywodził na myśl gardziel bez dna, otchłań, do której nie dało się zajrzeć.

Wreszcie szczelina przestała się rozszerzać.

- Wrota są otwarte - oznajmił Strażnik Góry.

Wszyscy zorientowali się, że długo stali, wstrzymując oddech. W ciszy, jaka nagle zapadła, uświadomili sobie, że otwieraniu się Wrót towarzyszył straszliwy huk.

Zdali sobie z tego sprawę dopiero teraz, tak bowiem pochłonięci byli niesamowitym widokiem.

W odległym mieście nocni wędrowcy spostrzegli na niebie od północnego wschodu niezwykle świetlne zjawisko, któremu towarzyszył przeciągły grzmot. Sąsiedzi Mariatty jednak niczego nie zauważyli, spali pokrzepiającym głębokim snem spracowanych.

Światło pozostawało tak samo silne. Dolg wiedział, że będzie świecić, dopóki Wrota są otwarte. I odwrotnie: Wrota się nie zamkną, dopóki Święte Słońce i jego dwaj towarzysze będą płonąć. Kiedy Słońce zniknie ze swego rusztowania, Wrota się zasuną, tym razem ostatecznie, i żadna siła na niebie i na ziemi nie zdoła ich już otworzyć. Nigdy.

Czuł, że robi mu się słabo, i z pewnością nie był w tym osamotniony. Ujrzał, że Strażnik Góry podchodzi do Fionelli, wiedział, co to znaczy. Wszyscy wyprostowali się, gotowi, by ruszyć za nimi.

Mariana odwróciła się i popatrzyła na bagno w stronę, gdzie, jak wiedziała, została zagroda dziadków. Tam miała zamieszkać, tyle jednak się wydarzyło, odkąd się tam sprowadziła, zaszły tak wielkie zmiany. Villemann, dzieci, a teraz to, najdziwniejsze ze wszystkiego.

Żegnaj, Ziemi, pomyślała, żegnajcie, lasy i łąki, i ty, jezioro koło domu. Nigdy więcej się już nie zobaczymy.

Poczuła ściskanie w gardle i odwróciła się ku Wrotom.

Usłyszała pieśń, delikatną, pełną radości. To błędne ogniki zanurzały się w

rozjarzone światło.

Elfy również już zaczynały się ruszać, podjęły pieśń rozpoczętą przez błędne ogniki, lecz z większym smutkiem. Opuszczały ziemię, na której nie było już dla nich miejsca, gdyż ludzka mądrość zabiła fantazję.

Największą grupę stanowiły duchy przyrody. Przemarsz trwał. Dolg słyszał okrzyki zdumienia dobiegające stamtąd, gdzie padało światło, bardzo był ciekaw, co też takiego widzą. Nikt nie krzychał ze strachu ani nie próbował uciekać, zresztą ucieczka nie była możliwa.

Wrota oczyszczały, po przejściu przez nie zapominało się o tym, co złe, tak twierdził Cień, stawało się innym, nowym człowiekiem.

Dolg czuł, że już nim jest. Trzymał w rękach Święte Słońce, umysł miał taki czysty, przepełniony miłością do wszystkich stworzeń, do wszystkiego, co rosło i żyło na ziemi, nawet do rzeczy martwych.

Madragowie. Pomachał im, odpowiedzieli, widać było, jak bardzo podzielał na nich uroczysty nastrój tej chwili.

Duchy ojca. Śmiały się do niego kpiąco, że przyszło mu czekać tak długo. Wesół machnął im ręką.

Każdej grupie towarzyszył jeden Strażnik, który miał dać im poczucie bezpieczeństwa po drodze w nowe życie. Każdy ze Strażników zabrał ze sobą pochodnię odpaloną od ostatniego ogniska. Prawdopodobnie pierwszy odcinek drogi tuż przy górze wiódł w ciemnościach.

W końcu zostali już tylko ludzie i Strażnik Słońca. Zbocze pomiędzy górą a moczarami opustoszało.

Strażnik Słońca wezwał do siebie Móriego i Ville - manna oraz Uriela, który oddał Nera pod opiekę Taran.

- Nas pięciu pójdzie na samym końcu - rzekł Strażnik Słońca. - Villemannie, ty będziesz odpowiedzialny za szafir, a ja zajmę się farangilem. Uriel i Móri rozbiorą rusztowanie i dogaszą ognisko. Dolgu, ty pójdiesz na samym końcu ze Słońcem. Kiedy przeniesiesz je przez Wrota, zamkną się za tobą.

Pokiwali głowami, a Móri powiedział:

- Sądziłem, że to ty będziesz niósł Słońce, panie. Obcy pokręcił głową.

- Ja byłem tylko Strażnikiem, moje zadanie już się wypełniło, Słońce może nieść tylko Wybrany. Poprzednio był nim ostatni król Lemurów, nieskończenie mądry i dobry człowiek. Domyślam się, że przeniesienie Słońca przez Wrota to wielki zaszczyt? - spytał Móri.

- Ogromny - zapewnił Strażnik.

Cień także był z nimi, to on miał ich poprowadzić, niosąc ostatnią pochodnię.

Uriel zajął się gaszeniem ogniska, a pozostali ruszyli ku Wrotom. Za Cieniem szedł Rafael i jego Amalie, Danielle i Leonard.

- Przyjdźcie niedługo! - zawołała Danielle.

- Zaraz do was dołączymy, nie bójcie się.

Tiril nieco drżąco pomachała Móriemu i ruszyła wraz z Theresą i Erlingiem.

Heinrich Reuss, wciąż niezupełnie przekonany, szedł z Mariattą i Taran. Obie kobiety zajęły się i nim, i Nerem, który z zapalem ciągnął do przodu, podniecony nową przygodą.

- Zaraz przyjdę! - krzyknął Villemann do Mariatty.

Heinrich Reuss usłyszawszy pełen zdumienia, ale wesoły okrzyk Tiril: „Zupełnie inaczej niż sobie wyobrażałam!”, dobiegający z głębi światła, zebrał się na odwagę i ruszył do przodu.

Zniknęli w blasku kamieni.

- Teraz nasza kolej - oznajmił Strażnik Słońca. - Chodź ze mną, Villemannie, przeniesiemy kamienie. Ale ty czekaj, Dolgu, musisz trzymać Słońce wysoko nad głową w tym czasie, kiedy twój ojciec i Uriel będą rozbierać rusztowanie. Widzę, że ognisko już zgasło. Kiedy oni będą wchodzić do środka, wciąż kieruj Słońce na Wrota, wbiegniesz jako ostatni. Potem Wrota się zamkną.

Dolg skinął głową. Znów poczuł, jak bardzo jest spięty, nareszcie się przekona, co jest po drugiej stronie.

Strażnik Słońca wyjaśnił, że rozebranie konstrukcji jest konieczne, została bowiem

uświęcona jego rytuałami, a także bliskością trzech kamieni. Dlatego nie wolno jej profanować, nie wolno ryzykować, że jej elementy zostaną użyte jako żerdzie w płocie lub też porąbane na drwa do pieca. Kamienie natomiast, które zostały, wykorzystane do jej zbudowania, mogły tu pozostać.

Nareszcie nadeszła ta chwila. Dolg zobaczył, jak Villemann i Strażnik Słońca znikają wraz ze świętymi kamieniami, podniósł Słońce wysoko nad głowę, kierując jego światło na Wrota, a w tym czasie Uriel i ojciec rozbierali rusztowanie.

Pracowali szybko i skutecznie. Zdjęli cienkie pnie drzewa, które dźwigały święte kamienie, i pospieszyli ku Wrotom.

Dolg czekał, aż znikną mu z oczu. Usłyszał dudnienie, ziemia lekko się zatrzęsała, przypuszczał jednak, że to dlatego, iż Słońce miało opuścić ten świat. Niezwykła, podniosła chwila.

Nagle przestał widzieć ojca i Uriela, wiedział, że są przy wejściu, lecz zasłoniło ich coś czarnego.

Tak bardzo koncentrował się na wyznaczonym mu zadaniu, że nie zadbał o to, by rozejrzeć się na boki.

A powinien był to zrobić.

Upłynęła chwila, zanim zorientował się, co się dzieje.

Uderzył w krzyk, Uriel i Móri także krzyknęli, a z głębi Wrót rozległo się rozpaczliwe wołanie Strażnika Słońca i Villemanna:

- Uważaj, Dolgu, uważaj!

Tym, co zasłoniło Dolgowi widok, okazały się trzy konie, noszące na swych grzbietach jeźdźców. Jednego spowitego w czerń, dwóch pozostałych w ciemnych szatach.

Trzej rycerze Zakonu Świętego Słońca. Jeden z książąt i... Sixtus i Clements, tak chyba się nazywali.

Kątem oka dostrzegł na skraju lasu drugiego czarnego szlachcica obserwującego całą scenę. Rycerzom nie towarzyszyli żadni pomocnicy.

Książę - był to Konstantyn von Strelitz z północnych Niemiec - sięgnął po Słońce.

Dwaj pozostali zeskoczyli z koni, żeby przytrzymać Dolga.

Uriel coś wołał.

Jest! Dolg dojrzał go, stał tuż przy Wrotach, właściwie w nich. Bez chwili wahania Dolg rzucił mu Słońce, Uriel pochwycił je w powietrzu.

Z ogłuszającym hukiem Wrota się zatrzęsły.

Zapadły ciemności. Oszalały z gniewu i rozczarowania Clements wyciągnął pistolet, nie zdążył go naładować, tylko uderzył nim Dolga w głowę. Młodzieniec osunął się na ziemię.

- Idioci! - wrzasnął książę Konstantyn. - Zabiliście syna czarnoksiężnika? Jest więcej wart niż...

Więcej powiedzieć nie zdążył, gdyż Móri, który nie przekroczył Wrót, rzucił się na Clementsa. Czarnoksiężnik, który nigdy nie chciał zabijać, stracił głowę i nie wiedział, co czyni. Przebił nożem pierś brata Clementsa, zadając mu natychmiastową śmierć.

- Dolg - jęknął Móri.

Od strony lasu nadbiegł Radu, gospodar. Płazem miecza zadał cios Móriemu, czarnoksiężnik stracił przytomność.

- Bierz chłopaka - nakazał gospodar Sixtusowi. - Prze rzuć go przez siodło.

Odjedziemy stąd, zanim czarnoksiężnik się ocknie.

- Zabijemy go? - zapytał brat Sixtus.

- Nie zdziwiłoby mnie, gdyby był nieśmiertelny - burknął Radu.

- Dalej, nie mamy czasu do stracenia, to miejsce jest zaklęte. A Słońce i pozostałe kamienie zniknęły.

- Dokąd zmierzamy? - dopytywał się Sixtus bliski płaczu z rozczarowania. - Nic przecież nie zostało.

- Ten młodzieniaszek nam wszystko powie. Pospiesz się, zanim duchy czarnoksiężnika przystąpią do działania. Nie wiedzieli, że duchy przekroczyły już Wrota, z których nie ma wyjścia.

- Słyszeliśmy przecież o Wrotach - zawołał Konstantyn do swoich towarzyszy,

kiedy odjeżdżali stamtąd galopem. - Nie przypuszczaliśmy jednak, że ich celem jest przejście przez nie, fatalna pomyłką z naszej strony.

- Nie sądziliśmy, że Wrota mają jakiegokolwiek znaczenie - odparł gospodar Radu. - Powinniśmy starannie przystudiować ten materiał, przekleństwo!

Suctus nie włączał się do rozmowy, dość miał zajęcia z przytrzymywaniem nieprzytomnego Dolga. Syn czarnoksiężnika leżał przewieszony przez siodło przed Sixtusem, ogromnie utrudniając mu jazdę. Brat musiał pozostać z tyłu, za dwoma wielmożami, jak pogardliwie ich nazywał.

Bolał też nad utratą swego kompana Clementsa. Gdyby jemu wolno było decydować, natychmiast uśmierciłby Móriego. Nie mógł się jednak do niego zbliżyć w zamieszaniu na tym okropnym miejscu. Wszystko rozegrało się tak oszalamiająco prędko.

- To znaczy... rezygnujemy ze Świętego Słońca? - spytał książę Konstantyn.

- Zostało nas tylko trzech rycerzy, a Słońce przepadło.

- Nonsens - burknął Radu. - Wrót jest więcej, tak na pisano w księdze, którą mamy ze sobą. Ten piękny młodzieniec sporo nam musi wyjaśnić. Przy jego pomocy dotrzemy do Słońca - dokończył z przekonaniem.

- Potężna siła - kiwnął głową książę Konstantyn. - Po winna należeć do nas, a nie do jakiejś nędznej rodziny czarnoksiężnika, tylko do nas, książąt krwi.

- To jasne - zgodził się z nim gospodar Radu Brankovan.

Wstawał świt. Z wolna niebo jaśniało, na brzegu opustoszałych moczarów koło góry zostały dwa ciała. Zmarły Clements i głęboko nieprzytomny Móri.

Otworu w skalnej ścianie nie było widać. Zniknęły także prastare symbole wyryte w skale. Ziemia odsunięta przez Madragów przesypała się na swoje dawne miejsce. Ani znaku po tym, co się tu wydarzyło. To Słońce zatarało wszelkie ślady. Obraz lasu, w którym nigdy nie stanęła ludzka stopa, zakłócały tylko dwa ciała na ziemi i bezpański już koń Clementsa.

19

Dolg nie zdążył zauważyć, że jego ojciec pozostał na zewnątrz, kiedy Wrota się

zatrzasnęły.

Powstało zamieszanie, które dla nich obu miało przynieść niespodziewane konsekwencje.

Bracia zakonnicy wyruszyli na zachód w stronę morza, uwożąc rannego jeńca, a w tym czasie Móri z wolna odzyskiwał przytomność.

Upłynęła już większa część dnia. Cios rycerza spadł ze śmiertelnie silną siłą i zapewne zgładziłby zwykłego człowieka, ale Móri nie był zwyczajny.

Wieczorne niebo zaczynało się już czerwienić nad pustkowiem moczarów.

Móri wstał. W głowie mu huczało, musiał wesprzeć się o skałę.

Kiedy ustąpił zawrót głowy, boleśnie zdał sobie sprawę ze swojej samotności. Był całkiem sam, tylko u brzegu bagniska szczypał trawę osiodłany koń.

Powoli Móriemu wracała pamięć.

Wszyscy odeszli, Wrota się zamknęły.

Dolg.

Na trawie leżał martwy rycerz. Dzieło Móriego.

Syna natomiast, jego ukochanego syna nigdzie nie było widać. Móri wiedział, że gdyby z Dolgiem wszystko było w porządku, siedziałby teraz przy rannym ojcu.

Rzeczywistość jednak wyglądała inaczej.

Skoro jednak rycerze nie tracili czasu na pogrzebanie swego towarzysza, zapewne nie pochowali też i Dolga.

Pasący się koń nie wskazywał również na to, by młodzieniec wyruszył w świat za rycerzami. To znaczy, że oni zabrali go ze sobą.

W ostatnim przebłysku nadziei Móri wołaniem rozdarł ciszę. Wzywał syna po imieniu, lecz tylko echo odpowiedziało mu z rozpaczą. Głos rozplynął się na bagnie. Znowu zapadła cisza.

Podmokły teren... Ślady kopyt będą z pewnością wyraźnie widoczne.

Móri podjął decyzję. Powinien się pokrzepić i wypocząć, stan jego głowy też trudno nazwać dobrym, nie miał jednak czasu na dalsze opóźnienia. Nawykły do koni, gwizdnął na wierzchowca. Zwierzę podniosło łeb, nasłuchiwało, aż wreszcie

podeszło do niego. Móri nie miał siły wyjść mu naprzeciw.

Koń był szlachetnym zwierzęciem, wytresowanym. Posłusznie zbliżył się do mężczyzny o łagodnym, przyjaznym głosie, może i on tęsknił za towarzystwem. Dość długo trwało, zanim Móri w niepięknym stylu zdołał wciągnąć się na siodło. Powinien pogrzebać martwego rycerza, ale nie miał na to ani sił, ani czasu. Popędził konia i z trudem panując nad bólem głowy, odjechał z tego miejsca, pilnie śledząc ślady na miękkiej ziemi. Skierował się na ścieżkę, minął dom Mariatty, nie wstępując, gdyż nie miał czego tam szukać, i wkrótce wyjechał na gościniec

Trzy konie, z których jeden dźwigał podwójny ciężar, zostawiały ślady. Móri zorientował się, w którą stronę zmierzali jeźdźcy.

Czyżby wybierali się do Norwegii? Prawdę mówiąc na to wyglądało. Dlaczego? A może raczej kierują się ku wybrzeżu?

Móriemu powinien dokuczać głód, lecz burza uczuć blokowała wszelkie doznania fizyczne. Wszystkie myśli skupiały się na sytuacji Dolga.

Tak wiele rozmyślał o losie, jaki spotkał syna, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, iż utracił wszystkich swoich najbliższych.

Myśl ta o mało go nie złamała.

Ważna teraz była wiara w słowa Lemurów o tym, że baśniowa kraina za Wrotami istnieje naprawdę. Musi mieć pewność, że ci, którzy zniknęli, miewają się dobrze i są bezpieczni. Nie może dźwigać dodatkowego ciężaru lęku o rodzinę i przyjaciół. Musi się skupić na Dolgu.

Móri ledwie widział, tak straszny ból rozsadzał mu czaszkę. Zatrzymywał się tylko wtedy, kiedy koń wyraźnie się tego domagał. Jechał przez całą noc, nie tracąc czasu na sen. Miasto minął już dawno, dotarł do innej miejscowości z wielkim kościołem, lecz nie pytał nawet o jej nazwę. Po śladach trzech koni wciąż dawało się jechać bez trudu. Dwukrotnie stracił trop i zmarnował wiele czasu na jego ponowne odnalezienie.

Teraz powinien już zbliżać się do rycerzy.

Suctus był zmęczony i rozgniewany. Jego irytacja nie miała granic. Książęta jechali przodem, nie interesując się nawet, jak się czuje, ani też nie czekając na niego. Mogliby przynajmniej na jakiś czas mu ulżyć, odebrać ten ciężar. Sixtus sam wywodził się z rodziny szlacheckiej, choć nie tak świetnej jak oni. A oni, jego zdaniem, traktowali go jak parobka, nigdy czegoś podobnego nie doświadczył. Został już tak daleko z tyłu, że nie opłacało się nawet ich wołać.

Nocleg też w niczym mu nie pomógł, wszystkie jego aluzje o tym, że ktoś mógłby na jakiś czas przejąć więźnia, spływały po książętach jak woda po gęsi.

Rozmawiali dalej o innych sprawach, tak jakby Sixtusa w ogóle z nimi nie było.

Przemierzali nie kończącą się równinę Vastgota i znaleźli się w bardziej pofałdowanej okolicy. Rycerz miał ochotę cisnąć swój ciężar i samodzielnie odjechać gdzieś inną drogą, tamtych dwóch i tak nic nie obchodzi. Dość mieli własnych spraw, nierozłączni jak zwykle.

Nagle Suctus poderwał się, na równinie pojawił się jeszcze jakiś jeździec.

Powiewała ciemna peleryna, pędził co koń wyskoczy. Koń? Czy to nie nakrapiana kłaczka Clementsa? Wobec tego to może być...

To musi być czarnoksiężnik.

Do diabła! Książęta znacznie go już wyprzedzili, Sixtus sam musiał podjąć decyzję, sam też przyjąć na siebie gniew czarnoksiężnika. Komuś takiemu wszystko może przyjść do głowy, jest o wiele groźniejszy niż zwykły wróg. Sixtus był doskonałym wojownikiem, lecz w czymś takim nie chciał brać udziału.

Może się schować i pozwolić, by gniew Móriego do - sięgnął książąt? Ta myśl była zaiste kusząca, lecz na dłuższą metę nie na wiele się to zda.

A oto i rozstaje, jedna z dróg skręcała w las. Suctus skierował konia na leśny trakt, wrócił bokiem i powtórzył to jeszcze dwukrotnie, aż uzyskał ślad trzech koni, które wjechały w las drogą. Później skrył się nieco głębiej między drzewa, by stamtąd obserwować dalszy przebieg wydarzeń.

Stało się tak, jak miał nadzieję. Móri na każdym rozstajach bacznie przyglądał się śladom. Tym razem także zatrzymał się i zbadał ziemię. Sixtus ogromnie się bał,

że koń zarży, lecz zwierzę zachowało się spokojnie, zastrzygło tylko uszami, wyczuwając w pobliżu szaro nakrapiana klacz. Móri dał się oszukać. Ruszył leśną drogą i wkrótce zniknął mu z oczu.

Suctus dosiadł konia i jak szalencie pognał za książętami. Chociaż jednak koń bardzo się starał, posuwali się za wolno. Rozgniewany i wystraszony Sixtus zrezygnował. Nie chciał dłużej być parobkiem tych snobów.

Zauważył wielki rów na poboczu i tam właśnie wrzucił Dolga. Zatrzaszczył się jeszcze, aby ciało nie było za bardzo widoczne od strony drogi, i ruszył dalej. Ach, jak wspaniale jest galopować bez tak kłopotliwego ciężaru!

Książęta zarządzili postój, czekali na niego przy drodze. Rozłożyli prowiant.

- Nareszcie - tonem nagany przywitał go książę Konstantyn. - Czy zawsze musisz się tak wlec?

Nagle obaj czarni rycerze się poderwali.

- Gdzie masz więźnia? Suctus opowiedział o Mórim.

- Po prostu się bałem wieść dłużej syna czarnoksiężnika. A ponadto musiałem was ostrzec - zakończył.

- Mówiłeś jednak, że pojechał w złą stronę, czego więc mamy się bać?

- No, nigdy nic nie wiadomo.

- Postąpiłeś słusznie - łagodził gospodar Radu. - Schowamy się tutaj na jakiś czas na wypadek, gdyby odkrył pułapkę. Później wrócimy po jeńca.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytał książę Konstantyn z surową miną.

- Inaczej być nie może - ostro odparł Radu.

Suctus przenosił wzrok z jednego na drugiego, szczerze miał ich już dosyć.

Między książętami pojawiła się pewna różnica zdań. Konstantyn nie chciał mieć więcej do czynienia z synem czarnoksiężnika, Radu natomiast twierdził, że chłopak im się przyda.

- Ja w każdym razie idę do lasu, za potrzebą, jeśli mi to wybaczycie - złośliwym tonem oświadczył Sixtus.

Książęta nawet go nie usłyszeli. Zaczęli się pakować. Fakt, że Suctus nie dostał

nic do jedzenia, był nieistotny.

Móri niedługo dał się oszukiwać. Wkrótce zawrócił i wjechał na właściwą drogę. Zauważył ich, zanim oni spostrzegli jego. Najwidoczniej zakończyli właśnie postój. Ujrzał dwóch ubranych w czerń rycerzy, trzy konie, lecz Dolga nigdzie nie było. Wjechał galopem, kierując się prosto na miejsce ich postoju.

- Gdzie mój syn? - zawołał, zeskakując z konia. - Coście zrobili z moim synem?

Książęta byli zaskoczeni, nie spodziewali się Móriego tak prędko.

- Twój syn? - Konstantyn wysilił się na pogardę. - Nie zadajemy się z plebejuszami.

Rozgniewany Móri ciężko oddychał. Spokojnie, upominał sam siebie, nie zepsuj czegoś, zachowaj zimną krew. Wiedział jednak, że jego czarnoksiężskie umiejętności są najsilniejsze, gdy gniew przejmował nad nim władzę. Zaniechał więc prób zapanowania nad sobą.

Zwrócił dłoń wewnętrzną stroną ku Konstantynowi i wprowadził księcia w stan paraliżu. Dopiero wtedy zwrócił się ku gospodarowi.

- Gospodar Radu z Wołoszczyzny! Gospodar drgnął.

- Skąd znasz moje imię? Nikt poza Zakonem nie zna imienia mojego ani mego przyjaciela.

- Księcia Konstantyna? Jeszcze do niego dojdziemy. Ty, panie, jesteś ważniejszy.

Twoje pełne imię brzmi Ra du Brankovan z domu Basrab czy też Besarabia, jesteś potomkiem Hunów i mitycznych Scytów, księciem Wołoszczyzny i Besarabii, wojewodą Mołdawii i Transylwanii, księciem Siedmiogrodu, Dragosh i Bathory. Jesteś w prostej linii potomkiem osławionego Vlada Tepesa zwanego również Dracula, w drzewie genealogicznym masz też jeszcze jedną makabryczną postać, a mianowicie krwawą hrabinę Erzsebet, czyli Elżbietę Bathory. Gdy wdarto się do jej zamku, w lochach wieży znaleziono pięćdziesiąt młodych dziewcząt, opróżnionych z krwi do ostatniej kropli, którą Elżbieta Bathory piła i kąpała się w niej, by zachować młodość. Mógłbym dalej wyliczać twoich przodków, wywodzisz się wszak z rodu krwiopijców, lecz to na razie wystarczy.

Pytam teraz, gdzie jest mój syn? Czy żyje?

Móri przeplatał wyliczanie informacji dotyczących pochodzenia i życia Radu Brankovana gałdami, wybranymi specjalnie do wspomnienia rytuału magii imienia. Inaczej rytuał mógłby nie zadziałać. Miał wszak do czynienia z żywymi ludźmi, o wiele łatwiej jest zaatakować w ten sposób upiory. Gospodar i księżę jednak zachowywali swą tożsamość w tajemnicy, dlatego czary wywierały na nich większy wpływ.

Piękne czarne oczy gospodarza wpatrywały się w czarnoksiężnika jak zakłętę.

Jego opór zaczął słabnąć i Radu odpowiedział jak w transie:

- Syn czarnoksiężnika żyje, leży w...

Więcej powiedzieć nie zdążył, po lesie poniósł się huk wystrzału, ptaki zerwały się wystraszone. To Suctus zorientował się w sytuacji i zdążył naładować swoje pistolety. Strzelił do Móriego od tyłu, lecz był zbyt wystraszony, by dobrze wycelować, i trafił czarnoksiężnika w bok. Kula przeszła nerkę.

Móri, zanim osunął się na ziemię, czując nieznośny ból, odwrócił się jeszcze.

Suctus celował w niego z drugiego pistoletu, nie było więc czasu, by uciec się do zakłęcia. Móri na wpół przytomny zdołał jeszcze wyciągnąć nóż i rzucić nim w brata Suctusa. Rycerz trafiony w szyję upadł na ziemię. Życie uszło z niego bardzo prędko.

Móriego ogarnęła desperacja, lęk o syna był większy niż strach o własny los.

Zabijał, by uratować Dolga.

Stan transu, w jakim znajdowali się obaj książęta, został przerwany, gdy Móri stracił przytomność. Księżę Konstantyn bez wahania chwycił naładowany pistolet Sixtusa i oddał znacznie bardziej celny strzał.

- Zaczekaj - powstrzymał go Radu. - Musimy przebić go kołkiem.

- Przecież on nie jest wampirem - zaprotestował Konstantyn, w pełni zdający sobie sprawę, jakie tradycje wiążące się z wampirami i sposobami ich unieszkodliwiania wywiódł ze swej ojczyzny gospodar.

- Nic nam o tym nie wiadomo - stwierdził Radu Brankovan. - On jest

czarnoksiężnikiem, nieprawdaż? Wszystkie takie nieczyste siły należy unicestwić.

- Potem dodał: - Kiedy już się z nim uporamy, pojedziemy z powrotem po syna.

Przywiążemy go do konia Sixtusa, zabierzemy też wierzchowca Clementsa. Teraz już tak bardzo się nam nie spieszy.

Książę Konstantyn nie całkiem zgadzał się z przyjacielem. Uważał, że Dolg stanie się zbędnym obciążeniem, nie mógł pojąć, dlaczego Radu chce go ciągnąć ze sobą.

Radu jednak postawił na swoim. Znaleźli w lesie głęboką nieckę i tam złożyli Móriego. Gospodar Radu przebił jego ciało kołkiem, a potem przysypali je ziemią i ciężkimi kamieniami. Teraz mieli już pewność, że żaden krążący między życiem a śmiercią upiór nie powstanie ze swego grobu.

Krążący między życiem a śmiercią? Nie zdawali sobie nawet sprawy, jak bliscy są prawdy.

Móri wiedział, że jest nieśmiertelny. Zanim kula Konstantyna zgasła jego przytomność, prędko odmówił zaklęcie, które miało uniemożliwić mu przebudzenie się w grobie, z którego nie zdołałby się wydostać.

„Pozwólcie mi pograżyć się w letargu, dopóki mój syn Dolg nie odnajdzie mego grobu”, taka była jego ostatnia myśl.

Stracił świadomość, nie czuł nawet kołka, który tak okrutnie przebił bezbronne ciało. Móri, czarnoksiężnik z Islandii, został unieszkodliwiony.

Szlachetni książęta krwi stanęli nad Dolgiem. Upłynął jeszcze jeden dzień, kolejny dzień jego omdlenia.

- Długi sen - mruknął Konstantyn. - Czy nie lepiej by było, gdyby...

- Nie - odparł Radu podekscytowany. - On się budzi. Książę Konstantyn zerknął z ukosa na przyjaciela.

Nie spodobał mu się wyraz twarzy Radu.

Dolg wolno pokręcił głową, poruszył wargami. Książęta pochylili się niżej.

- Odeszli - szepnął Dolg ledwie słyszalnie, lecz wy czuli smutek w jego głosie. -

Wszyscy odeszli, wszyscy. Znów sam, w świecie pustki.

Książęta popatrzyli na siebie ze zdumieniem. A więc syn czarnoksiężnika nic nie wie o ojcu! To wspaniale.

Dolg otworzył oczy i ujrzał dwóch niezwykle przystojnych mężczyzn, przyglądających mu się z góry chłodnym spojrzeniem.

Książęta.

Gdzie ja jestem? zastanawiał się Dolg, lecz postanowił ich o to nie pytać.

Ostrożnie rozejrzał się dokoła, na tyle, na ile mógł.

Korony drzew, błękitne niebo, konie i gładka skała w pobliżu.

Pachniało morzem.

Morzem? W środku Szwecji? Morzem, które nie istnieje? Nie, oczywiście, to niemożliwe.

Bolesna rozpacz powróciła z gwałtowną siłą. Dolg nigdy nie miał wielu przyjaciół, najlepiej czuł się w kręgu rodzinnym i w towarzystwie Cienia, duchów ojca, Madragów, Lemurów, niektórych duchów przyrody i przede wszystkim Nera. Oni byli jego przyjaciółmi. A teraz wszyscy odeszli.

Jak zdołam przetrwać?

Gdybym tylko mógł zatrzymać Nera, nie czułbym się tak bezdennie samotny.

Z drugiej jednak strony może lepiej, że pies poszedł wraz z nimi. Wiedzą, że dopóki Nero żyje, mnie także nic złego nie spotkało.

Dolg nie był do końca przekonany o swojej nieśmiertelności. Kiedy potworny upiór kardynała omal nie zabił Nera, Dolg także był bliski uduszenia. Poznał wtedy bliskość śmierci i przestał być pewien swojej nieśmiertelności.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom, że gospodar Radu uśmiecha się do niego, ale uśmiechali się obaj książęta.

W tej chwili Dolg zrozumiał, że bliskość Słońca wywarła na niego wpływ, nie czuł do nikogo żadnej urazy, przepelniała go dobroć dla wszystkiego, co istnieje na ziemi. Wszechogarniająca miłość dotknęła także jego.

Usiadł ostrożnie. Czuł się całkiem nieźle, trochę tylko szumiało mu w głowie, poza tym odzyskał siły.

Głos hospodara Radu brzmiał łagodnie i przyjaźnie:

- Przykro nam, że tak brutalnie przerwaliśmy waszą ceremonię, lecz to nasi bracia zakonni Clements i Sixtus chcieli zaatakować, nie zdołaliśmy ich powstrzymać.

Ponieważ Dolg tylko na nich patrzył, odezwał się książę Konstantyn.

- Źle mnie zrozumiałeś, kiedy sięgnąłem po Święte Słońce - rzekł, a jego szmaragdowozielone oczy rozbłysły. - Chcieliśmy je chronić przed chciwymi rękoma.

- Gdy zorientowaliśmy się, jakie plany mają nasi współpracownicy, ruszyliśmy za nimi - podjął Radu. - Spóźniliśmy się o krótką chwilę.

- Zrozum, mój przyjaciel i ja wycofaliśmy się już wcześniej z Zakonu Świętego Słońca, kiedy ktoś z was powiedział, że powinniśmy przejść na waszą stronę czy też przynajmniej nawiązać z wami współpracę. Te słowa zasiały w nas pewną myśl - dodał książę.

- Podjęliśmy decyzję, zakon rycerski to nie dla nas. Czy naprawdę tak było? Dolg wysilił umysł. Owszem, zawsze żałował, że akurat ci dwaj znaleźli się po stronie zła i nie raz, nie dwa wstawiał się za nimi u swych przyjaciół

A kiedy cały Zakon utonął w bagnie...?

Hospodar i książę nie zaatakowali grupy czarnoksiężnika, stali z tyłu na skraju lasu, inni rycerze weszli na moczary, a książęta nie ruszyli się z miejsca. Później z takim szacunkiem pożegnali Dolga.

A teraz u Wrót?

Hospodar Radu nie brał udziału w napaści, czekał nieco dalej, ale książę Konstantyn...?

No tak, rzeczywiście, wyciągnął rękę po Słońce, tak jak mówił, a cios, który powalił Dolga, padł z tyłu. Ostatnie, co Dolg usłyszał, było wołanie księcia do towarzyszy: „Idioci, zabiliście syna czarnoksiężnika!”

Nic nie wskazywało na to, by szlachcice kłamali, ponadto... Czy i oni nie ulegli działaniu Słońca? Być może i ich obdarowało dobrocią?

Dolg podjął decyzję. Zawsze darzył pewną sympatią tych dwóch, pomimo

okazywanych przez nich skłonności do okrucieństwa. Był też tak rozpaczliwie samotny, potrzebował przyjaciół, którzy pomogą mu zapomnieć o bólu po stracie najbliższych.

Uśmiechnął się do nich drżąc i niepewnie.

- Gdzie jesteśmy? Wyraźnie się rozluźnili.

- Na wybrzeżu - odparł Radu. - I jedziemy dalej.

Móri wyjawił synowi, kim są książęta. Dolg więc również znał ich imiona, więcej informacji przekazanych mu przez Heinricha Reussa Móri nie zdradził, zależało mu na momencie zaskoczenia na wypadek, gdyby musiał posłużyć się magią imienia. Niestety, nie na wiele mu się to przydało.

- Dokąd? - zapytał Dolg, stając na nogi.

Obaj czarni rycerze podtrzymali go, gdy się zachwiał. Książę Konstantyn uśmiechnął się tajemniczo.

- Mamy zamiar pomóc ci odnaleźć inne Wrota i pójść tam razem z tobą.

- A więc wiecie o Wrotach? - zdumiał się Dolg. - Znacie jakieś inne?

- Oczywiście, lecz one położone są bardzo daleko. Zostały opisane w księgach Zakonu, lecz nikt z nas nie brał tego na poważnie. Pragnęliśmy tylko odnaleźć Słońce, by przynosiło nam korzyści tu na Ziemi.

Dolg zrezygnowany pokręcił głową.

- Na cóż się to zda? Nie mamy już Słońca, które otworzyłoby Wrota.

- Mylisz się, drogi przyjacielu - uśmiechnął się Radu. - Tylko te Wrota wymagały blasku Świętego Słońca, przypuszczam, że wybrano je dla was właśnie po to, by przenieść przez nie Słońce.

Syn czarnoksiężnika zamyślił się. Oczywiście mieli rację, ale skąd wiedzieli aż tyle?

Szli do koni, wykorzystał ten czas na wypytanie ich o posiadane informacje.

Ich wiedza składała się głównie z domysłów, lecz w większości słusznych. Obaj książęta byli najwyraźniej obdarzeni wysoką inteligencją. Dolg uznawszy, że nie istnieje już żadne zagrożenie ponieważ wszyscy jego najbliżsi znaleźli się już w

bezpiecznym miejscu, opowiedział co nieco o tym, co się wydarzyło.

- Co to za świat, ten po drugiej stronie? - ostrożnie spytał Radu.

- Nikt z nas tego nie wie - odparł Dolg. - Podobno znacznie lepszy od naszego.

- Do tego niewiele trzeba - cierpko zauważył Konstantyn.

Dolg nie zgadzał się z nim. Właściwie uważał Ziemię za fantastyczne miejsce, prawdą jednak było, że ten drugi świat również ogromnie go pociągał. I tak bardzo chciał zobaczyć najbliższych.

Przed odjazdem nowi towarzysze podzielili się z nim jedzeniem, znacznie wykwintniejszym niż to, do którego przywykła rodzina Dolga. Pokrzepiwszy się, podjęli podróż do portowego miasta.

Wiedzieli więc o istnieniu innych Wrót?

Dolg jaśniej spojrzął na życie.

20

Dolg wyczuł pewne napięcie, jakie zapanowało między jego dwoma nowymi przyjaciółmi. Obaj odnosili się do niego z podobną życzliwością, lecz książę Konstantyn miał surowszy sposób bycia, gospodar Radu był bardziej bezpośredni. Czasami, gdy rozmawiali o czymś zabawnym, potrafił poklepać Dolga po ramieniu czy też przez moment uściskać go za rękę. Konstantynowi nigdy nie przyszłoby do głowy, by okazać taką miękkość, jego pruski oficerski styl takiego zachowania nie dopuszczał. W Radu natomiast dochodził do głosu jego bardziej południowy temperament

Przybyli do miasta, Konstantyn wyszedł, by rozejrzeć się za jakimś statkiem, który mógłby ich stąd zabrać. Wciąż jeszcze nie wyjawili Dolgowi położenia innych Wrót, on także nie miał zamiaru zdradzać im tych, o których sam wiedział, przynajmniej dopóki nie mieli do siebie całkowitego zaufania.

Radu i Dolg czekali w przyzwoitym zajeździe. Książęta zawsze żądali wygod odpowiednich do swego urodzenia.

Radu okazywał Dolgowi wielką życzliwość, troszczył się, by jego kielich z winem nigdy nie był pusty, stale mu dolewał. Dolg hamował go, a ze dwa razy udało mu

się wylać wino do doniczki z kwiatami. Miał nadzieję, że trunek nie zaszkodzi roślinom.

Szkodził natomiast jemu. Tęsknota za rodziną i palący ból jeszcze się wzmógł, musiał opuścić Radu w połowie jego opowieści o będących jego własnością zamkach w Siedmiogrodzie i na Węgrzech.

Radu wstał od stołu razem z nim i długo ścisnął go na dobranoc.

- Wspaniale mieć tak dobrego i pięknego przyjaciela - mruknął.

W drzwiach zajazdu stanął właśnie Konstantyn. Zielone oczy księcia pociemniały. Dolg podszedł do niego.

- I jak poszło? - zagadnął wesoło.

- O tym pomówimy jutro - odparł Konstantyn krótko. Dolg pożegnał się i poszedł do swego pokoju. Zbudził się, bo ktoś nim potrząsał. Na dworze panował jeszcze półmrok.

Konstantyn.

- Za godzinę odplywa statek na Islandię - szepnął.

- Pospiesz się i idź do portu, rozmawiałem już z szyprem, zapłaciłem za podróż, my niedługo przyjdziemy. Radu zawsze się tak wolno rusza rano.

Dolg nie bardzo rozumiał, dlaczego księżę szepcze, ale poderwał się i naciągnął ubranie.

- Na Islandię? - spytał z głową w koszuli. - Tam Wrota są w dwóch miejscach, prawda?

- Tak, pojedziemy do Smoczej Przełęczy.

- Nie słyszałem o tym. Sądziłem, że najlepsze są przy Snsefellsnesjókull. Nigdy nie wspomniano, gdzie leżą drugie. A gdzie jest Smocza Przelecz? -

zainteresował się Dolg, kiedy już uporał się z koszulą.

Księżę uśmiechnął się.

- Nawet niewielu Islandczyków o tym wie.

- Ale skąd ty ją znasz, panie?

Dolg wiedział, że do księcia Konstantyna nie należy zwracać się po imieniu, gdyż

ten bardzo tego nie lubi. Właściwie życzył sobie, aby nazywano go waszą wysokością, lecz na to Dolg nie miał ochoty.

- Skąd ja wiem? Mogę ci zdradzić. Kiedyś w Zakonie Świętego Słońca mieliśmy biskupa z Islandii.

Gottskalk Złego? Tak, jego Dolg znał aż za dobrze.

- Objechał swój kraj, zapuścił się nawet na tereny, po których nikt nie jeździł, to on nadał nazwę Smoczej Przełęczy, Drekačil. Ochrzcił też przylegający do niej wulkan. Okolicę pokrywa biała lawa i popiół, popiół podobno pochodzący z wulkanu, który przez to otrzymał nazwę Askja.

- Jak ja tam trafię?

- Tego nie wiem. Wulkan wznosi się na wielkich obszarach zwanych Ódadhahraun.

Lawa Zbrodni, przetłumaczył Dolg w duchu. Widział to kiedyś z daleka, gdy przemierzał wzgórza północnej Islandii, straszna okolica, ciemna, czerwono-brunatna, pozbawiona jakiegokolwiek życia.

Wiedział mniej więcej, gdzie powinien szukać.

- Czy Gottskalk Zły widział Wrota w Drekačil? Oczy Konstancyzna zabłysły złowrogo.

- Skąd znasz jego imię? Wygadał się, no cóż.

- Nie zapominaj, że sam jestem Islandczykiem i sporo wiem o waszym zakonie - spokojnie odparł Dolg.

Książę kiwnął głową. Jeśli był zły, to dobrze to ukrywał.

Najpiękniejsza góra Islandii, Herdhubreidh, przypominał sobie Dolg w duchu.

Widzieliśmy ten wygasły wulkan ze wzgórz po drodze z Egilsstadir. Na pewno zdołamy odnaleźć Drekačil.

Książę Konstancyzna odpowiedział na jego pytanie. Dolg z początku nie pojmował, o co chodzi, zaraz jednak sobie przypomniał. No tak, chodziło o to, czy Gottskalk widział Wrota.

- Nie, nie zapuścił się w głąb przełęczy. Wjechał za ledwie kawałek, ale zawrócił,

ponieważ leżał tam śnieg. Wrota podobno są na samym końcu, a Gottskalk nie jadł od wielu dni i musiał spieszyć do ludzi, by ratować życie. To było bardzo wczesnym latem, śnieg jeszcze nie stopniał.

- Rozumiem. Teraz jednak mamy możliwość tam się dostać, jeśli wyruszymy natychmiast, zanim nadejdzie jesień.

- Dlatego takie ważne jest, abyśmy wyprawili się już dzisiaj, jeśli nie, na następny statek na Islandię trzeba będzie może czekać do wiosny. Biegnij do portu, a ja obudzę Radu.

Dolga ogarnął zapał. Możliwość przejścia przez Wrota. Czy może być lepiej?

Prędko pomaszerował do portu. Islandzki szkuner nietrudno było odnaleźć.

Kapitan przyjął go dość surowo, ale nie bez życzliwości.

- Moi przyjaciele zapłacili, prawda? - upewnił się Dolg na wszelki wypadek.

Kapitan był przyjemnie zaskoczony, że pasażer mówi po islandzku.

- Tak, tak, jakiś pan załatwił wszystko w najlepszym porządku.

Dolg uspokojony poszedł obejrzeć miejsce, w którym miał sypiać. Rozkładał właśnie rzeczy, kiedy poczuł jakiś ruch przy burcie.

Odplywamy, pomyślał z uśmiechem. To znaczy, że książęta już są na pokładzie.

Widać udało się popędzić Radu.

Wszyscy ludzie są tacy życzliwi, Dolg odwzajemniał życzliwość najlepiej jak umiał.

Święte Słońce uczyniło jego życie lżejszym, a smutek łatwiejszym do zniesienia.

Wkrótce zobaczy już swoich bliskich, tak bardzo go to cieszyło. Kapitan

powiedział mu, że przybiją u wschodnich wybrzeży Islandii. Doskonale, Dolg znał te okolice. Będzie miał krótszą drogę na Odadhahraun.

Chciał jeszcze przez chwilę побыć sam, położył się więc na koi. Rozmyślał o

Islandii. Pragnął ponownie spotkać Hallę, Bjarniego i małego Teitura. Odczuwał potrzebę porozmawiania z psem, tęsknił za wiernym Nerem, ale nie wiedział, czy zdąży ich odwiedzić, mieszkali wszak na południowym zachodzie, a on przybędzie od północnego wschodu.

Islandia...

Nie posiadał się ze szczęścia, że jeszcze raz ujrzy wyspę.

Przypomniał sobie, jak ostatnim razem stał na rufie statku i odpowiadał na wołanie elfów i karłów. „Wróćę”, zapewnił. Później przestał w to wierzyć, miał wszak przejść przez Wrota w Tiveden.

Teraz wszystko się zmieniło, ale nie mogło się lepiej złożyć. Wspaniale, że książęta wybrali Wrota na Islandii.

Zapewne mieli rację, że Wrota w DrekaGil są bardziej odpowiednie niż Snaefellsnes. Tam, bliżej ludzi, bliżej wiosek, bliżej Rejkiawiku zapewne krąży więcej ludzi. Ktoś musiał widzieć tamtejsze Wrota, skoro tak łatwo je znaleźć.

Lepiej wykorzystać nieznanne przejście w DrekaGil, gdzie nikt jeszcze nie dotarł.

Ale skąd Gottskalk Zły mógł wiedzieć o tamtych Wrotach?

Możliwości było wiele, gospodar Radu wspomniął o księgach Zakonu. Oczywiście mieli więcej ksiąg niż te, które Móri i jego przyjaciele oglądali. Wrota mogły tam zostać opisane, chociaż bracia zakonnicy nigdy nie pojęli ich znaczenia, pałając tylko żądzą zdobycia Słońca. A może... Istniała jeszcze inna możliwość. Gottskalk odnalazł stare czarne galdry pozostawione przez Saemunda Uczzonego, największego czarnoksiężnika Islandii wszech czasów, tego, który nauczył się panować nad diabłem. Pisma Saemunda mogły wspominać DrekaGil, a także znajdujące się tam jakieś niezwykle Wrota. Saemund znał wszak Islandię lepiej niż ktokolwiek inny.

Dolg zasnął, Konstantyn bowiem obudził go bardzo wcześnie.

Przespawszy się trochę, poszedł na górę zobaczyć się ze swymi nowymi przyjaciółmi.

Nie zastał ich na pokładzie. Zorientował się, że stał teraz znacznie dalej od wybrzeża, że z wszystkich stron rozciągało się otwarte morze. Wiatr szumiał w żaglach, woda pieniała się za burtą. Kiedyś ojciec mógł we zwać panie wody i powietrza, lecz teraz nie było ich już na Ziemi. Ojca także. !

Serce znów mu się ścisnęło. Odeszli, wszyscy odeszli.

Ale ja pójdę za nimi, pomyślał Dolg. Już niedługo.

U jego boku pojawił się kapitan.

- I co, jak się miewasz? Choroba morska?

- Nigdy - uśmiechnął się Dolg, przypominając sobie Erlinga, który za żadne skarby nie zgodziłby się na morską podróż na Islandię. - Czy moi przyjaciele śpią?

Kapitan popatrzył na niego zdziwiony.

- Moi przyjaciele, książęta? - powtórzył.

- U mnie był tylko jeden - odparł kapitan. - Zapłacił z góry, żebyśmy bez przeszkód wpuścili cię na pokład. Nie, żadnego z nich nie ma na statku.

- Och! - jęknął Dolg. - Powinienem być uprzedzić, kiedy przyszedłem. Oni także mieli jechać na Islandię, sądziłem, że wszystko jest umówione, nie zdążyli, jaka szkoda.

- To oni powinni uprzedzić. Książę powinien to zrobić sam - stwierdził kapitan. - No cóż, za późno, by za wracać. Popłyną innym razem.

Z początku Dolg martwił się w imieniu swoich przyjaciół, wreszcie jednak doszedł do wniosku, że jemu osobiście tak bardzo to nie zaszkodziło. Powinien zaczekać na nich z wyprawą do DrekaGil, lecz zbliżała się już jesień, zresztą wiedzieli, gdzie są Wrota. Mogli tam przybyć później.

Uspokoiwszy się w ten sposób, jeszcze bardziej cieszył się na spotkanie z Islandią. Szkoda, że nie jada razem z nim. Miał nadzieję, że nie gniewają się za to, iż nie dopilnował, by zdążyli na statek.

W tej samej chwili książę Konstantyn i gospodar Radu wyruszali na południe.

Radu nie krył wściekłości.

- Co ty mówisz? Pojechał na Islandię? Nie uprzedzając?

- Najwidoczniej tam się wybrał. Wypytywałem w porcie, ktoś powiedział, że zauważył, jak młody człowiek o wyglądzie Dolga wchodzi na pokład islandzkiego go szkunera.

Hospodar milczał przez długą chwilę. Książę obserwował, jak ciężko oddycha.

Sprawa miała wrażenie zrozpaczonego.

- Czy on tak wiele dla ciebie znaczył? - spytał w końcu. Radu wyrwał się z

zamyślenia.

- Znaczył? Co masz na myśli, mówiąc znaczył? Nie - odparł z wysiłkiem. -

Mówiłem ci już, że moglibyśmy mieć z niego wiele korzyści.

W głosie Konstantyna brzmiała irytacja.

- Myślę, że powiedział nam wszystko, co wiedział. Nie było już z niego co wyciągać. Sądzę poza tym, że nie miał żadnych nadprzyrodzonych zdolności, kiedy nie posiadał ani czerwonego, ani niebieskiego kamienia. To one czyniły go tak potężnym i niebezpiecznym. Prawdziwym czarnoksiężnikiem był ojciec, syn to kompletne zero. Ostatnie słowa wypowiedział niemal z wrzaskiem.

Hospodar Radu zerknął na niego. Ani trochę się nie zgadzał z tym, że Dolg jest zerem, ale Dolga już nie było, a jego drogi Konstantyn gniewał się i nie krył wzburzenia. Radu westchnął więc w duchu i zwrócił się ku przyjacielowi.

Wstrzymał konia, księżę natychmiast poszedł w jego ślady.

- Cieszę się, że znów jest nas tylko dwóch - uśmiechnął się Radu nieco sztucznie.

Księżę Konstantyn wyciągnął rękę, przyjaciel ujął ją. Gospodar kolanem dotknął księcia, który poczuł, jak przenika go dreszcz.

Wszystko wróciło do normy.

21

Tak jak poprzednio Dolg zatrzymał się w Egilsstadir, aby przenocować, zaopatrzyć się w prowiant i w dobrego konia.

W zagrodzie córka wciąż była niezamężna i z taką samą pożądlivością patrzyła na mężczyzn. Dolg zdołał jakoś oderwać się od niej i zasiadł przy stole wraz z kilkoma pasterzami owiec.

Wyznał im, że ma zamiar wyruszyć na Lawę Zbrodni.

- Szalony jesteś, człowieku? - obruszył się któryś. - To nieznana kraina, nikt tam nie przeżyje.

Jeśli udało się Gottskalkowi, to uda się i mnie, w myślach stwierdził Dolg.

Oświadczył, że musi tam jechać, gdyż czegoś szuka.

- Tylko nie zabieraj ze sobą konia - przestrzegł go jeden z pasterzy. - Nie da sobie

radę na polach lawy. Zostaw go w Móðhrudalur albo... Którędy masz zamiar jechać?

- Myślałem, żeby ruszyć wzdłuż rzeki Jókulsa a Fjóllum na południe - wyjaśnił Dolg, pamiętając, co mówił ojciec, kiedy jechali w stronę Myvatn.

- Rozsądnie - stwierdził mężczyzna, który najwidoczniej sporo wiedział. - W ten sposób zawsze będziesz blisko wody. Później może być sucho, wobec tego lepiej zostawić konia w Grimsstadir. Będziesz też mógł dalej jechać wierzchem.

- Jeśli się nie mylę, to powinienem wyjechać w pobliżu Herdhubreidh? - upewniał się Dolg. - Jeśli pojedę wzdłuż Jókulsa.

- Tak przypuszczam - rzekł mężczyzna z uznaniem. - Sporo wiesz jak na Norwega.

- Więcej niż my - roześmieli się inni.

- A. Askja? - spytał Dolg. - Wiesz coś o tym wulkanie? Człowiek popatrzył na niego, jakby nic nie rozumiejąc.

- Askja? Nigdy nic o czymś takim nie słyszałem. Nikt nie wie, jak tam jest na Ódadhahraun i Trólladyngja, nikt nie może się tam zapuszczać.

- Pewnie nigdy też nie słyszałeś o Drekgil? Mężczyzna pokręcił głową.

- Skąd wzięłeś te nazwy?

- Ponad dwieście lat temu pewien Islandczyk nadał nazwy tym miejscom - odparł Dolg. Nie chciał wspominać imienia Gottskalka, mogło się nie spodobać pasterzom. - Udało mu się wrócić.

W zamyśleniu pokiwali głowami.

Ten, który tyle wiedział, przypomniał sobie.

- I pewnie chcesz znaleźć to, o czym opowiadał?

- Właśnie - potwierdził Dolg. Mężczyzna uśmiechnął się zadowolony. Dolg dodał:

- Chciałbym też odwiedzić przyjaciół w Aratunga, ale to za daleko.

- Aratunga? - powtórzył inny. - Moja żona pochodzi z Torfastadir, dobrze więc znam Aratunga. Kogo tam znasz?

Dolg opowiedział o Halli i Bjarnim. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Wiem, o kim mówisz. To dobrzy ludzie, ale już tam nie mieszkają.
- Co takiego? Przenieśli się z powrotem w górską do linę?
- Nie, nie. Chłopiec znalazł skarb na ziemiach swoich dziadków, więc rodzina kupiła o wiele większe gospodarstwo gdzieś na południu. Gdzie dokładnie, tego nie wiem.
- Och! - westchnął Dolg zawiedziony, a czekały go jeszcze inne wieści.
- Słyszałem, że Halla znalazła zalotnika - z chytrą miną powiedział mężczyzna. - Podobno wyszła za męża.
- W Aratunga?
- Nie, na południu.

Dolg pograżył się w ponurych myślach. Wieści oznaczały, że nie mógł odwiedzić Halli i Bjarniego, nawet gdyby ich odnalazł Mąż Halli zapewne nie byłby szczególnie zachwycony, gdyby jakiś mężczyzna, dobry przyjaciel, przybył do jego żony, bez względu na to, jak niewinna była ich przyjaźń. Dolg zdobył już w życiu wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć, że w niektórych przypadkach można go było uważać za zagrożenie.

Jaka szkoda! Chociaż pewnie i tak nie miały czasu, by ich odwiedzić.

Odjechał, zanim spragniona mężczyzny dziewczyna zdążyła się kolejny raz otrzeć o niego biustem. Spieszyło mu się dalej. Do Drekagil...

Zostawił konia, tak jak mu poradzono, w zagrodzie w Grimsstadir. Tam z całą powagą ostrzegano go przed zapuszczaniem się w serce Islandii, na jałowe wyżyny. Był już wrzesień i wkrótce miał spaść śnieg.

Ciekawe, jak długo potrwa podróż?

Z pewnością zajmie mu wiele dni. Gospodarze zaopatrzyli go w suszone mięso baranie i chleb, wodę mógł pić z rzek i strumieni, gdyby jakieś znalazł, lecz nie spodziewali się, że jeszcze go zobaczą.

On także nie przypuszczał, by się znów spotkali. Miał wszak przenieść się do innego świata, w którym przebywali już wszyscy jego krewni i przyjaciele. I Nero, drogi, ukochany Nero, jak cudownie będzie znów zagłębić palce w szczeciniaste

futro.

Nagle ukłucie samotności wyrwało Dolga ze snów na jawie. Wreszcie był gotów opuścić ostatnią samotną górską zagrodę, Grimsstadhir, z jej domami z torfu.

Ostatnia ludzka siedziba.

Pomogli mu jeszcze przedostać się na drugą stronę Jókulsa, powinien bowiem trzymać się lewego brzegu rzeki, po tej właśnie stronie leżał Herdhubreidh.

Najdzielniejsi docierali właśnie do Herdubreidhalindir, spokojnej oazy u stóp pięknej góry.

Później miał zapuścić się na absolutne pustkowie, obszary, które nie znały litości.

Pomachał na pożegnanie ostatnim ludziom, jakich miał ujrzeć.

Przebywszy kawałek wzdłuż Jókulsa, zatrzymał się podziwiając niezwyklej krajobraz. Ktoś być może określiłby go jako pozbawiony wszelkich barw, lecz przecież kamień i lawa potrafią mieć mnóstwo odcieni, jeśli tylko potrafi się to zauważyć. W oddali dostrzegał pokryte śniegiem szczyty, na zachodzie stożkowate wierzchołki, to musiała być okolica Myvatn. W tamtym kierunku leżały także Namaf jall i Namaskardh, lecz on nie mógł ich widzieć.

W pobliżu rzeki było jeszcze odrobinę zielono, przykucnął, delikatnie muskając palcami drobne roślinki.

- Islandia - szepnął.

Chłonał wrażenia, wiedział bowiem, że nigdy już te - | go nie zobaczy. Miał przenieść się do innego nieznanego świata, ale tam czekają na niego najbliżsi, to równoważyło wszystko.

A jednak kiedy wstał i popatrzył na rozległe, pogrążone w ciszy obszary, zapiekł go smutek. Powinien częściej odwiedzać wyspę, wszak to jego kraina, niemal tak samo jak Móriego. Elfy i karły Islandii były jego przyjaciółmi, teraz już odeszły, sam pomógł im przejść przez Wrota. Czy ci, którzy znaleźli się po drugiej stronie, już o nim zapomnieli? Wrota wszak oczyszczały, czy stał się dla nich obcy? Czy nie miał już swojego miejsca?

Czy człowiek może być bardziej samotny?

Wyruszył w dalszą drogę. Od czasu do czasu musiał przeprowiać się przez rzeki, nie przez wielką Jókulsa, lecz przez jej mniejsze dopływy. Nie było to dla niego nic nowego, przez całe swoje życie w ciągu licznych i długich wypraw całej rodziny przeprowiał się przez rzeki. Ponadto te tutaj rzadko bywały głębokie, nie stanowiło więc to większego problemu.

Na nocleg zatrzymywał się chętnie właśnie u brzegów mniejszych rzek. Lawa była tutaj równiejsza, rosło trochę trawy i mchu, zawsze zdołał też znaleźć osłonięte miejsce, gdzie owinąwszy się peleryną mógł się ułożyć do snu.

Z dnia na dzień zrywał się coraz ostrzejszy jesienny wiatr. W powietrzu wyczuwało się już chłód, lecz słońce jeszcze grzało, jeśli udało mu się wyrzeć zza chmur.

Dolg maszerował szybko i tylko dzięki temu nie przemarzał.

Wkrótce ujrział przepiękny górski szczyt, który od razu rozpoznał. Herdhubreidh.

Widok góry dodał mu otuchy, szedł właściwą drogą i miał drogowskaz pokaźnych rozmiarów.

Pokonywał bezkresne połacie szaroczarnej lawy i kamienia. Znalazł się na obszarze, gdzie wielkie fale lawy zastygły, tworząc formacje tak wysokie, że musiał się po nich wspinać, i gdyby nie widział Herdhubreidh, pewnie by się zgubił. Męcząca przeprawa trwała cały dzień.

Znalazł się wtedy niedaleko Herdhubreidhalindir, tej nieoczekiwanej sielanki o zielonych łąkach, poprzecinanych strumieniami, gdzie rosły krzewy u podnóża majestatycznej góry. Herdhubreidh oznacza „szeroki w barach” i właśnie ta nazwa sprawiła, że górę łatwo było odnaleźć, tym bardziej że stała samotnie.

Czy naprawdę jakiś człowiek zapuścił się aż tutaj? Nie mając, jak on, wyznaczonego celu wędrówki, powodowany tylko i wyłącznie żądzą przygód?

Islandczycy to doprawdy twardy lud.

Znów pojawiła się Jókulsa, której nie widział od paru dni. Na południu wznosił się połyskujący chłodnym blaskiem Vatnajókull, z którego rzeka brała swój początek.

Daleko na zachodzie rozciągały się inne masywy górskie. Czyżby wśród nich była Askja?

Pobyt w Herdhubreidhalindir podniósł go na duchu. Cieszył się, że już niedługo będzie u celu, nie zdając sobie sprawy, że to dopiero połowa drogi.

Posilając się, zastanawiał się nad książętami Szkoda, że nie zdążyli na statek.

Przydało by mu się trochę towarzystwa. Jedynymi żywymi istotami, jakie spotykał, były krzyczące przeraźliwie drapieżne ptaki, od czasu do czasu jakiś śnieżny wróbel i muchy. Wielkie roje much, nawet na tych olbrzymich jałowych polach lawy, niepojęte!

Zastanawiał się nad tym, że książęta tak całkowicie zmienili swoje nastawienie. Zrozumiałe, że dość mieli Zakonu, lecz z początku przecież zachowywali się tak brutalnie.

Czy to wpływ Świętego Słońca uczynił ich łagodniejszymi, przyjaźniej nastawionymi do ludzi? Książę Konstantyn prawie wszak dotknął cudownej kuli, lecz właściwie to Radu był miłszy. Książę nie zdołał wyzbyć się pruskiego ducha, nie bardzo więc się to wszystko zgadzało.

Dolg widać był zbyt naiwny, by zrozumieć, co oznaczała życzliwość gospodarza. Jego serce przepelniała miłość do wszystkich, przypuszczał, że to samo stało się z książętami. Wpływ Słońca.

Dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie zaczekał na nich, mogli wszak przypląć następnym statkiem, ale podobno następny statek miał przybić dopiero wiosną... A tak długo Dolg nie mógł czekać.

Rozmyślał także nad bardziej konkretnym, być może w tej chwili poważniejszym, problemem. Skąd będzie wiedział, jak wygląda Askja? Na wyżynach tyle było wulkanów; który z nich jest tym właściwym? I jak odnajdzie DrekaGil?

Następnego poranka skierował się na zachód, bo uznał, że tylko tam może szukać. Ruszył wzdłuż długiej skalnej ściany ciągnącej się, jak mu się wydawało, w nieskończoność. Bał się, że to właśnie może być Askja, że czegoś nie dostrzegł, choć, szczerze mówiąc, nie bardzo w to wierzył.

Jedno go cieszyło, ziemia nie była tu szaroczarna ani też czerwono-bruntana jak na Ódadhahraun, lecz biała. Dotarł do krainy białej lawy i popiołu. To dobry znak.

Kiedy w końcu okrążył długą górę, otworzył się przed nim nowy świat. Wulkaniczne szczyty. Większość z nich prawdopodobnie wybuchła po raz ostatni w czasach zaliczanych do prehistorii. Wyróżniał się wśród nich kolosalny masyw. Nie miał teraz ani cienia wątpliwości. To była Askja.

Lecz, doprawdy, czy musiała leżeć aż tak daleko?

Solidne buty były już niemal zdarte, chodzenie po ostrej, nierównej lawie sprawiało ból, dłonie miał poranione od wspinaczki, o kąpieli w strumieniu przy Herdhubreidhalindir już zapomniał. Pokrywał go biały popiół, włosy spletały się, zeszywniały od pyłu. Peleryna wisiała w strzępach. Jedzenie skończyło mu się już dwa dni wcześniej, to jednak nie budziło jego niepokoju, głód nie był dla niego pierwszoznaczną, poza tym przecież nie zamierzał wyruszać w powrotną drogę. Miał przejść przez Wrota, tam znów wszystko będzie dobrze.

Zdawał sobie sprawę, że jest całkiem sam na obszarze wielkością równym całej Austrii czy też południowej Norwegii lub południowej Szwecji. I znalazł się teraz w jego środku.

Ale już niedługo, niedługo... Znów zobaczy ich wszystkich, matkę i ojca, Villemanna, Taran i Uriela, babcię Theresę i Erlinga, Rafaela i Danielle z ich wybranymi, Nera, Mariattę i dzieci. Heinricha Reussa, Fionellę, Cienia, starego kochanego Cienia, Lemurów, Madragów, duchy i wielu innych przyjaciół.

Ta myśl w samotności była mu wielką pociechą.

Następnego dnia znalazł się u stóp Askja. Z głodu kruczało mu w brzuchu, bardzo osłabł.

Pozostawało teraz odnalezienie Drekgil biskupa Gottskalka.

Nie musiał długo szukać, dostrzegł ją już z daleka, prawdę mówiąc wyszedł wprost na nią, miał szczęście, że ciągnęła się przy wschodnim zboczu. Gdyby przyszło mu okrążyć masyw, nie wiadomo, czy dałby radę. Siły zaczynały go opuszczać, czuł to z bolesną wyrazistością.

Nietrudno było zauważyć, że to Smocza Przełęcz. Na tle białej lawy rdzawobrunatna formacja skalna u wejścia do przełęczy wyglądała niczym

uśpiony smok z łbem wyciągniętym na ziemi.

Nie była to mała przełęcz, o, nie! Dolg zadrżał na widok wznoszących się wysoko w górę niesamowitych skał. Wejścia strzegły dwie majestatyczne iglice, które zdawały się pełnić tu wartę. Cienie ich padały na przeciwległą skałę i wyglądały jak diable rogi. Kiedy zagłębił się w przełęcz, na ścianach lawy dostrzegł wzory przypominające sylwetki smoków i potworów.

Straszne!

W przełęczy panował wilgotny chłód. Słońce wkrótce też zniknęło, zaczął padać deszcz. Dolg mocniej owinął się peleryną i ruszył wzdłuż strumienia płynącego dnem rozpadliny. Chwiał się na nogach, z trudem utrzymywał równowagę, w głowie mu się kręciło, po części z osłabienia, po części był to także skutek uderzenia w tył głowy. Nigdy po nim nie doszedł do siebie, lecz nie przejmował się bólem głowy ani też pojawiającymi się od czasu do czasu zaburzeniami wzroku i myślenia. Teraz odezwały się ze wzmożoną siłą i zrozumiał, że szaleństwem z jego strony było wyruszenie na taką wyprawę. Wola jednak często bywa silniejsza niż rozsądek.

Zapuszczał się coraz dalej w głąb wulkanicznego masywu, formacje lawy po obu stronach wąskiego jaru stawały się coraz straszniejsze.

Światło dzienne dostrzegał już tylko jako wąski pasek gdzieś wysoko w górze.

Wejście do przełęczy dawno stracił z oczu za licznymi zakrętami. Na ziemi wciąż leżało trochę śniegu, lecz to akurat wcale go nie powstrzymywało. Nie tak jak wówczas Gottskalka.

Przypuszczał, że biskup musiał przybyć na to pustkowie inną drogą, nie zdołałby bowiem powrócić. Dolg zabrał ze sobą dużo jedzenia i bardzo je oszczędzał, a jednak przecież już dawno się skończyło. Gottskalk nigdy nie zdołałby tędy wrócić.

Czy ta przełęcz nie będzie miała końca?

Wydawało mu się, że nie starczy mu już sił na nic więcej, że będzie musiał przenocować tutaj, w tej niegościnniej rozpadlinie, kiedy wreszcie dostrzegł jej

kraniec. Już wcześniej zauważył maleńkie strumyki, wydobywające się z lawy, nie wiadomo skąd się biorące, ale teraz ujrzał piękny wysoki wodospad, spływający najwidoczniej z jeziora, położonego bliżej szczytu wulkanu. W pobliżu wodospadu zobaczył zaspę śnieżną, a pod śniegiem coś, co wyglądało na jaskinię. Pospieszył tam po to jedynie, by doznać rozczarowania. To tylko śnieg utworzył dach nad lodową grota.

Obmacał ścianę za wodospadem w poszukiwaniu czegoś, co mogło przypominać Wrota lub jakikolwiek otwór, ale wszędzie tylko straszliwe smoki z lawy wykrzywiały się do niego wychylone ze stromych zboczy.

Deszcz zacinał prosto w twarz, dzień się kończył. Niebo wysoko w górze pociemniało. W Drekgil królowały mroczne cienie.

Dolg zdał sobie sprawę, że księżę Konstantyn go oszukał.

Odetchnął głęboko, boleśnie. Zraniony na duszy, nie mógł pojąć takiej złośliwości, takiej chęci czynienia zła.

W Drekgil nie było Wrót.

Owszem, biskup Gottskalk rzeczywiście mógł tutaj być. On sam albo też ktoś inny w jego czasach, biskup pewnie tylko się przechwalał, Dolg wątpił teraz, by sam wyruszył na takie pustkowia. Ale ktoś musiał tutaj dotrzeć, być może Saemund Uczony, bo wszystko, co wiedział o Drekgil, również nazwa, się zgadzało.

Wulkan z całą pewnością nazywany był Askja, Gottskalk zapewne opowiadał o nim w swoich księgach, które przeczytano w Zakonie Świętego Słońca, lecz Dolg zrozumiał, że biskup na pewno nie wspomniał o Wrotach. Możliwe, że wymienił Snasfellsnes i jeszcze jakieś jedno nieznanne miejsce, lecz nie tutaj, na pewno nie tu.

Dolg zdał sobie sprawę z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazł. Nigdy nie dotrze do, swoich bliskich, nie zdoła odnaleźć żadnych Wrót, nie miał bowiem sił na powrotną drogę do ludzi. Nie zdoła nawet wyjść z Drekgil, woda, którą pił ze strumieni, już nie pomagała, ciało było całkiem wyczerpane. Cóż za straszne miejsce na śmierć!

Zawrócił, ale już po kilku krokach się poddał. Rozczarowanie odebrało mu ostatki woli, nie miał już skąd czerpać sił.

Krzykiem dał wyraz swemu żalowi i samotności. Echo odbiło się od ścian i przetoczyło przez przełęcz.

Usiadł oparty plecami o skałę, podciągnął kolana i ukrył w nich twarz. Owinął się podartą peleryną i czekał na śmierć.

Nigdy jeszcze świat nie wydawał mu się tak pusty. Utracili nawet piękne Theresenhof, stały punkt oparcia rodziny, nie miał tam po co wracać. Wprawdzie zamierzał osiedlić się na Pólnocy, lecz świadomość, że zawsze może powrócić do Theresenhof, pokrzepiała.

Halla i Bjarni także pozostawali niedostępni. Zresztą jakie to miało znaczenie teraz, kiedy nie mógł wydostać się z Drekagil ani nawet stanąć na nogi.

Na moment podniósł wzrok i dostrzegł coś kątem oka.

Na nagiej skale rósł maleńki kwiatek i w chłodnym wrześnieowym wietrze walczył o życie. Latem rozpościerał się tutaj dywan jasnioletowych kwiatków, teraz został tylko ten jeden, bezbronny wobec sił natury.

Dolg pieszczotliwym gestem dotknął delikatnych płatków.

- Ty się niczego nie boisz - powiedział miękko. Kwiatuszek symbolizował nadzieję, tę nadzieję, która żyje w sercu każdej istoty na ziemi. Z oczu Dolga popłynęły łzy.

- Wiem, że jestem głupi - szepnął do roślinki. - Siedzę i użalam się nad sobą, ale zrozum, otaczało mnie tylu ludzi, a teraz nie mam nikogo. I ty, i ja zabląkaliśmy się tutaj i nigdy się już stąd nie wydostaniemy. Ciesz się moją pieszczotą, maleńki kwiatku nadziei. Wiedz, że ta dłoń dotykała Świętego Słońca, pozwól mi przekazać sobie jego życiodajną moc. Pomogło, prawda?

Znów się skulił, mocniej owinął peleryną. Nie pozwól mi długo na siebie czekać, śmierci, prosił w myślach. I na miłość boską, niech nie będzie prawdą to, że jestem nieśmiertelny, moje ciało już się poddało. Jak mam wytrzymać tu w tej mrocznej dolinie, nie mając sił, by żyć, by się poruszyć, i nie mogąc umrzeć.

Starał się odpędzić przygnębiające myśli, lecz kto potrafi zabić myśli?

Nie wiedział, jak długo tak siedzi, lecz nie było jeszcze całkiem ciemno. Twarz miał mokrą od łez i zacinającego deszczu, kiedy nagle wydało mu się, że usłyszał jakiś głos.

Czyżbym oszalał? pomyślał z goryczą. Nawet tego mi nie oszczędzono? I wtedy znów to usłyszał, cichutki głos, i to nie jeden, coraz bliżej. Wołanie, jakieś imię, chociaż brzmiało to raczej jak szept.

- Lanjelin!

Gwałtownie uniósł głowę. Kto mógł znać jego elfie imię? I wtedy je zobaczył, maleńkie, kruche, za nimi nadchodziły większe.

- Lanjelinie - mówiły elfy. - Chodź z nami do zielonej doliny Gjain. Chodź, przyniesiemy ci ludzką strawę, będziesz spał na łóżku z puchu i mieszkał w naszych salach.

- Ale... sądziłem, że wszystkie opuściłyście nasz świat?

- Nie wszystkie, Lanjelinie, wybawicielu naszego króla, nie wszystkie, nie chcemy całkiem opuszczać Islandii, kochamy tę wyspę i musimy nad nią czuwać również w przyszłości. Rzeczywiście niektóre z nas ode szły, ale Starzec wciąż tutaj jest, podobnie jak król elfów i jego królowa. To oni przysłali nas po ciebie.

Dolg wstał, musiał oprzeć się o skałę.

- Ale ja nie mogę" iść - zaprotestował, wciąż niepewny, czy nie śni mu się sen po śmierci. Może już nie żył?

Nie, po śmierci chyba ból głowy tak nie dokucza. Roześmiały się dźwięcznym śmiechem.

- Nie będziesz musiał iść, Lanjelinie. Mamy dla ciebie konia. Pojedziesz na nasz sposób, pamiętasz?

- Wykorzystywaliśmy go wielokrotnie - uśmiechnął się drżąco. - Ale przecież żaden koń tutaj nie dotrze.

Wybuchnęły jeszcze weselszym śmiechem. Zrozumiał, że powiedział głupstwo.

Nieco dalej stał przepiękny biały wierzchowiec.

Maleńka dziewczynka z rodu elfów patrzyła na niego przyjaźnie.

- To smutek tak cię przytłacza, Lanjelinie. Masz o wiele więcej sił, niż ci się wydaje, czyż nie przekazałeś kwiatu życiodajnej siły Słońca? A to znaczy, że sam ją posiadasz, prawda? Nie rozwinęła się ona w tobie w pełni, gdyż jesteś tak zrozpaczony, jak tylko może być człowiek. Ale to przyjdzie, uwierz nam!

Inny elf rzekł miękko:

- Potrafić dać swoją miłość, kiedy rządzi tobą tylko rozpacz, to naprawdę wspaniale, Lanjelinie, wybawicielu. Teraz chodź, a może nie chcesz zamieszkać z nami? - zakończył lękliwie.

- Chcę! Chcę! - wykrzyknął Dolg. Elfy się uśmiechnęły.

- Chodź, Lanjelinie, pomożemy ci. Delikatne rączki podprowadziły go do konia.

- Chciałem znaleźć tutaj Wrota - wyjaśnił zasmucony. - Ale tu ich nie ma.

- Nie, tu ich nie ma. Nie wiemy, gdzie są. To tylko legenda z dawnej Islandii.

- A w Snaefellsnes? - zapytał.

- Nie, to inny rodzaj Wrót, chodź już!

Dolg wreszcie się rozluźnił i uśmiechnął do nich.

- Dziękuję - szepnął.

Pomogły mu dosiąść konia, był tak słaby, że jeden z większych elfów musiał go podtrzymywać.

- Gjain - rzekł Dolg zmęczony. - Szmaragdowozielona trawa, żółte dywany kwiatów, niebieskozielona woda i biała piana wodospadów. Tajemnicze wejście pod złotobrazową skałą. Czyżbym naprawdę miał oglądać to raz jeszcze?

- Tak długo, jak tylko zechcesz - odparł elf. - Chociaż trawa zwiędła i kwiatów też już nie ma, ale wiosną znów powrócą.

Dolg roześmiał się, a śmiech zmienił się w płacz, lecz teraz z jego oczu popłynęły łzy radości i ulgi. Mroczne zbocza Drekgil i wszystkie jej smoki pożegnały go.

Popielatobiały pejzaż i połyskujący śnieg Vatnajókull przelatywały mu przed oczami, kiedy Dolg Lanjelin Matthias z rodu Habsburgów i islandzkich czarnoksiężników wraz z przyjaciółmi jechał oszalałym pędem do pięknej doliny Gjain, do której nie dociera wiatr.

Tak kończy się Saga o czarnoksiężniku Mórím i jego synu. Ale to jeszcze nie koniec historii. Pozostaje wiele zagadek. Dalszego ciągu nie można jednak nazwać „Sagą o Czarnoksiężniku”, gdyż pojawią się w niej znów Ludzie Lodu. Co się stało z tymi, którzy przeszli przez Wrota oraz z ludźmi, którzy osiągnęli nieśmiertelność? Nieśmiertelni są już Móri, Dolg i Villemann, a w roku 1861 w rodzie Ludzi Lodu przyjdzie na świat Marco.

Jak potoczą się losy Gabriela, chłopca wybranego do opowiedzenia historii Ludzi Lodu? Co go spotkało, kiedy dorósł, a wszyscy wielcy z jego rodziny opuścili Ziemię i wyruszyli do Czarnych Sal? Gdzie są te sale i co ich tam czeka?

Czas nie ma znaczenia w Królestwie Elfów ani w świecie za Wrotami.

Nieśmiertelni wyrwali się z paraliżującego uścisku czasu; to, co dla nas jest wiekiem, dla elfów i Obcych może trwać zaledwie rok lub nawet jeszcze krócej.

Jaka przyszłość czeka Fionellę, pałającą namiętym uczuciem do Obcego? Co się stało z Tiril, utraciła wszak męża i syna? A z Mórím, nieśmiertelnym złożonym do grobu w lesie w zachodniej Szwecji? Co przydarzyło się Dolgowi?

O ich losach opowie nowa seria, która nosić będzie tytuł „Saga o Królestwie Światła”.

Pisanie „Sagi o Czarnoksiężniku” sprawiło mi wielką przyjemność, dziękuję, że ktoś zechciał ją przeczytać. To niezmiernie ważne dla pisarza.

Margit Sandemo

LITERATURA

Ólafur Davidsson: GALDUR OG GALDRAMAL A ISLANDI, 1940.

Skuggi: GALDRA - SKILEDI, 1940.

Jón Helgason: ÓLDIN SAUTIANDA, 1501 - 1800.

Dr A. Chr. Bang: NORSKE HEXEFOMULARER OG MAGISKE OPSKRIFTER, 1901.

Mellie Uylert: EDELSTENENES SKJULTE KRÆFTER, 1984.

SZÓSTA I SIÓDMA KSIĘGA MOJŻESZA (Trąd.).

A HISTORY OF LAND MAMMALS.

Richard Carrington: JORDENS OCH LIVETS HISTORIA, 1957.
Carl A. Lindsten: SEVART I TIVEDEN, 1990.
Ake Ohlmarks: STAMTRAD OVER EUROPAS FURSTEHUS, 1980.
GHOSTS, WITCHCRAFT AND THE OTHER WORLD (Trad.).
Nils Petter Sundgren: VAMPYRBITEN. URVAL AV VAMPYRSAGNER, 1957.
W. Scott - EUiot: LEGENDS OF ATLANTIS AND LOST LEMURIA, 1990 (1904).
Col. James Churchward: THE LOST CONTI - NENT OF MU, 1987.
THE CHILDREN OF MU, 1988.
THE SACRED SYMBOLS OF MU, 1988.
Mystikkens verden: MYSTISKE STEDER.
J. Westwood: MYSTISKE MINNER FRA FORTI - DEN.
Forswmne land: LEMURIA, 1989. Gustaf Fróding: SAMLADE DIKTER.
KALEYALA.